

POEZJA
PROZA
ESEJE

ZAPIS

Nr 3

lipiec 1977



Tadeusz Konwiciński

kompleks polski

NIEZALEŻNA
OFICyna
WYDAWNICZA



NOTA O AUTORZE

Tadeusz Komwiski urodził się w roku 1926, podczas wojny był żołnierzem Armii Krajowej na Wileńszczyźnie, następnie przeniósł się na obecne tereny Polski. Debiutował w roku 1950 prozą reportażową "Przy budowie", później wydał m. in. powieści: "Rejsty" /1956/, "Dziura w niebie" /1959/, "Sennik współczesny" /1963/, "Wniebowstąpienie" /1967/, "Zwierzęcszekoupiór" /1969/, "Nie albo nic" /1971/, "Kronika wypadków miłosnych" /1974/, "Kalendarz i klepsydra" /1976/. Jest również scenarzystą i reżyserem filmowym, nakręcił: "Ostatni dzień lata", "Zamaski", "Salto", "Jak daleko stąd, jak blisko". Laureat nagród krajowych i zagranicznych. Strzeżliwszy, że niechwalczono wydanie przez którekolwiek z oficjalnych wyawnictw krajowych najnowszej książki pt. "Kompleks polski" jest praktycznie niemożliwó, Komwiski zdecydował się na ogłoszenie jej w "ZAPISIE".

ZAPIS

3

zapis nr 3

Tadeusz Konwicki

KOMPLEKS POLSKI

powieść

lipiec 1977

copyright by T.Konwicky

Stoję w ogonku przed sklepem państwowej firmy "Jubiler" i jestem dwudziesty trzeci. Niedługo kuranty warszawskie oznajmiają godzinę jedenastą przed południem. Wtedy szczękną zamki wielkich metalowo-szklanych drzwi i my, zakatarzeni klienci, wtargniemy do wytwornego wnętrza, oczywiście wtargniemy w pełnej dyscyplinie, nie burząc kolejności ogonka utrwalonego przez długie kwadransy czekania.

Jest lekko mroźny dzień wigilijny. Dzień na pograniczu spóźnionej jesieni i spóźnionej zimy. Dzień też jakby spóźniony. Nie rozświetlony do końca, mglisty, ślamazarny. Zabłąkane płatki śniegu żeglują w lodowatym powietrzu jak nasienie topoli. Tramwaje zbijają się w stada na tej szerokiej magistrali i dzwonią załośnie. Znany, powszechnie szanowany żebrak rozsiada się na trotuarze koło salonu jubilerskiego. Wyciągnął przed siebie nogi, rozkraczył je w płyciutkim zwiewnym śniegu i straszy nimi wrażliwych przechodniów. Ale ja wiem, że te plastikowo-niklowe protezy są puste w środku i choćby przymarzyły do chodnika, nasz żebrak nie zazna chłodu. Tłumy przechodniów suną nieprzerwanie wzdłuż ścian. Czasem ktoś na kogoś wpadnie i odejdzie bez przeproszenia zatopiony w swoich myślach. Czasem ktoś kogo potrąci krzyżakiem choinki i bluzgnie nieprzystoynym słowem, czasem znów ktoś podchmielony stoczy się na jezdnię, ale szybko powstanie i ruszy w drogę. Zwyczaj, wigilijny dzień.

Ten dzień peźnie przez niedużą planetę małego układu słonecznego. Planeta nazywa się Ziemią, jest jajem skalnym wypełnionym płynną lawą a pokrytym z wierzchu cienkimi warstwami wody oraz powietrza czyli lotnej mieszanki tlenu, wodoru, azotu i kilku jeszcze pierwiastków, które kiedyś mogą zagrozić jej istnieniu. Na tej planecie zbiegiem wielu szczęśliwych okoliczności powstało życie na podstawie białka i to życie po milionach lat wykreowało istoty rozumne, które nazywają siebie ludźmi i do których ja, piszący te słowa, mam zaszczyt należeć. Ludzkość, czyli suma rozumnych mieszkańców ziemi stworzyła cywilizację, co nam pozwala rozumieć wszechświat, a właściwie nie rozumieć go kompletnie, co pozwala zwalczać stare nieszczęścia ludzkiej egzystencji i co tworzy coraz groźniejsze nowe, co wypuściła człowieka na króciutkie spacerki w kosmos i odebrała mu nadzieję na wielkie podróże do jądra tego kosmosu. Trzeba

też dodać informację najistotniejszą: życie na Ziemi podlega dziwnej pulsacji, jej rytm wyznaczają tak niezwykle formy przemiany energii jak narodziny i śmierć, jak dojrzewanie i starzenie się, jak istnienia i nieistnienia.

Jestem zmuszony do tych kilku pobieżnych objaśnień, ponieważ spodziewam się, że jakiś egzemplarz książki, którą mozolnie piszę, trafi do rąk, czułek albo komputerów innych stworzeń rozumnych, co trafią przypadkiem do naszej galaktyki, stworzeń rozumnych z centralnych regionów wszechświata, z eleganckich dzielnic metropolii Pana Boga, istot mądrzejszych i lepszych od nas, szlachetnych nadludzi wymyślonych i wymarzonych przez człowieka. A piszę z takim ambitnym, właściwie nawet niezwykłym zamiarem tylko dlatego, że znudziło mnie już porozumiewanie się z bliźnimi, braćmi-mędrkami i idiotami, braćmi-prorokami i szubrawcami, braćmi-dręczycielami i ofiarami.

Ten dzień wigilijny przynosi nam, ziemianom, co roku jakąś magiczną nadzieję, budzi w nas dziwne i podniecające przeczucie, ożywia w nas tęsknotę za nieznaną praojczyzną. W ten dzień rozpoczynający zimę albo lato urodził się dwa tysiące lat temu pewien człowiek, którego uznaliśmy za Boga, to znaczy za współtwórcę niezrozumiałej budowli wszechświata, człowiek, który, wedle naszych wierzeń, pośredniczy między nami a budzącą grozę tajemniczą nadrzędnością. Tego dnia stoję otulony w ciepły kożuch pod sklepem z wyrobami jubilerskimi nazwanym bez szczególnej finezji "Jubilerem". Jestem dwudziesty trzeci w ogonku, a za mną przytupuje skostniałymi nogami jeszcze ze dwadzieścia osób. Ja również drzę leciutko, choć okrywa mnie sute futro baranie. Ale ja drzę z emocji. Drzę w oczekiwaniu tego dnia, tych kilkunastu niezwykłych godzin, które przyniosą - być może - dla mnie i dla nas wszystkich decydujące rozwiązanie.

- Patrz pan, jaki zdrowuch - mamrocze mi w kołnierz kożucha gęstą parą stojący za mną jegomość. Pokazuje zażawionymi od chłodu oczami wystawową szybę. - Aż grzech patrzeć.

Rzeczywiście przez zakurzone szkło widać zarys kobiecej twarzy. Ciemnowłosa dziewczyna o trochę nieprzyzwoitych ustach patrzy sepowym spojrzeniem na niewesołą ulicę.

- W sam raz, ale nie dla nas - powiadam melancholijnie.

- A co to, my gorsi od innych?

Spod futrzanej czapeczki u mego rozmówcy sterczą długie, mocno siwe włosy, młodzieżową modą opadając aż na kołnierz granatowej kurtki z pomarańczowymi wypustkami.

- Może i nie gorsi - wzdycham. - Metryka, metryka tylko powoli ekspiruje.

- Ja, panie, czuję się młody.

- Ale jakoś nie uchodzi.

- Pan mnie nie pamięta, a ja pana znam.

- Coś jakbym sobie przypominał.

- Nie męcz się pan. Znam i już. Przyjdzie pora, to opowiem.

Już zaczynam żałować kłopotliwego sąsiedztwa. A pan w futrzanej czapeczce uśmiecha się dwuznacznie. Z jego dłoni zwisa płaska torba skórzana, tak zwana pederastka. Ni to mapnik oficerski, ni to szaszetka z kosmetykami.

- Zapali pan?

- Dziękuję.

- Dziękuję: tak, czy dziękuję: nie?

- Dziękuję: tak.

Przypalamy mozołnie papierosy zerkając na szybę. Dziewczyna ciągle patrzy przed siebie. A tam, na skrzyżowaniu, chmara ludzi przepycha tramwaj w bezpieczne miejsce, bo zabrakło prądu. Nawet dobrze jedzie, aż przybija na złącza szyn jak prawdziwy pociąg.

- Wszystko czytam, co pan napisze - powiada sąsiad z cieniem nieprzyjemnego uśmiechu.

- Może nie warto czytać - bąkam skromny i zażenowany.

- Przyjdzie pora, to opowiem.

Do czoła kolejki zbliża się staruszka w wytartym, cienkim płaszczku. I ona ma na zsiniałych policzkach srebrzyste łyzy wyciśnięte przez przymrozek.

- Ja jestem inwalidka - zaczyna płaczliwie, ale ogonek milczy wzgardliwie. Więc ociera dziurawą rękawiczką łyzy. - Tak mnie nogi bołą, tak bołą, że ledwie chodzę.

Przestępuje z nogi na nogę i rzeczywiście te nogi wyglądają jak dwie wierzbowe kłody. Ale ogonek to ignoruje. Tylko pani w za dużej pelisie w za dużym kapeluszu i w za dużych kozaczkach rzecz ironicznie:

- Ja też nie jestem już młoda, a stoję w kolejności.

Staruszka ociera lzy.

- Mąż umarł w zeszłym roku. Sama z dziećmi zostałam. A renta taka mała, że wyżyć nie sposób.

- Ludzie, wpuście panią bez kolejki - odzywa się młody człowiek o wyglądzie studenta, a drugi, pewnie kolega, wielki grubas w rozcheścanej skórzanej wiatrówce potakuje z aprobatą. Ogonek zwiera się cieżniej; broni dostępu do eleganckich drzwi spowitych leniwą warszawską rdzą. Stara kobieta pochlipując przesuwają się nieznacznie w naszą stronę. Zajmuje dobre strategicznie miejsce obok litościwych studentów.

- Pan to wyszedł na ludzi - mruczy sąsiad ogarnięty swoją maniaczką myślą. - Kto by się spodziewał.

- Panie, nie ma czego zazdrościć - odpowiadam z przykrością.

- Duszek, poznaj pana Konwickiego - sąsiad kiwa dłonią na swego sąsiada.

Wymieniam uścisk prawicy z facetem odzianym staromodnie z elegancją lat pięćdziesiątych. Pan Duszek liczy sobie około dwóch metrów wzrostu, a i ręka jego skryłaby z łatwością pięciokilowy odważnik.

- No to i ja się przedstawię. Kojran jestem - uchyla futrzanej czapeczki dotychczas anonimowy sąsiad. - Nic panu moje nazwisko nie mówi - stwierdza bez rozczarowania.

- Coś jakbym skądś pamiętał.

- Pan tak mówi z grzeczności, panie K. - uśmiecha się pobłażliwie Kojran.

- Dobrze byłoby coś wprowadzić do organizmu - wtrąca pan Duszek.

- Najpierw trzeba oswoić kolejkę. Patrz pan, panie K., ona chyba zasnęła - Kojran fioletowym uchem wskazuje wystawę.

Dziewczyna ciągle jeszcze patrzy na ulicę, choć wznowiono już ruch i tramwaje, znowu w stadach, suną ciężko w stronę Dworca Centralnego.

- Zapadła w letarg. Ja to znam - powiada kaszląc pan Duszek. Wielkie kłęby pary z jego ust lecą ponad głowami ogonka. - Ona ma wyrzuty sumienia.

Na wielkim rondzie przy skrzyżowaniu szerokich ulic śnieżny wiatr miota ogromnym świerkiem przybranym za choinkę. Leśne drzewo szarpie się na wszystkie boki jakby kłaniając się czterem stronom świata, jakby chcąc się urwać z uwięzi, z tej kamiennej niewoli. Czerwone szklane bombki sypią się obficie na tory tramwajowe niczym zmarznięte owoce jarzębiny.

- Mój kolega to Francuz - powiada szeptem student, a ten rudy grubas w rozpiętej kurtce skórzanej chyli uprzejmie głowę.

- Bon jour, monsieur - odkłada się Kojran. - Ça va?

- Bardzo dziękuję - rzecze po polsku Francuz z silnym akcentem.

- Co pan tu u nas porabia?

- On jest anarchistą - wyjaśnia student. - Policja już mu deptała po piętach. Uciekł więc do Polski.

- Witamy w naszym pięknym kraju.

Francuz wygłasza krótkie przemówienie w ojczystym języku.

- On mówi - tłumaczy student - że dawniej każdy młody Europejczyk powinien był jechać do Paryża. Dziś jeździ się do Warszawy.

- Wielki to dla nas zaszczyt - kłania się jeszcze raz Kojran, anarchista również składa ceremonialny ukłon.

- Warto strzelić dzioba - wzdycha pan Duszek.

- Przyjdzie pora, to strzelimy. Coś pan tak zdrętwiał, panie K.?

- Niech pan spojrzy: czerwony śnieg pada.

- Jaki tam czerwony. Od neonu nabrał koloru. Na cud pan czeka?

Pod kamienną tablicą, gdzie podczas wojny rozstrzelano pięćdziesięciu zapomnianych ludzi, przygasa i rozpala się od nowa parafinowy znicz w zielonym słoiku.

- Tak, ma pan rację. Czekał na cud.

Jeśliby spojrzeć na naszą chudą konstalację z głębi wszechświata, to poprzez gąszcz Drogi Mlecznej zobaczy się z trudem skromne słońce i osiem czy dziewięć - nie chce mi się sprawdzać w atlasie - a więc

osiem czy dziewięć planet, niektóre z księżycami, kilkanaście małych planet towarzyszących słońcu, tak ważnemu dla nas, a tak obojętnemu dżungli kosmosu. Jedną z tych planet to nasza ziemia, na której się zdarzył niezrozumiały fenomen życia utopionego w tlenie, a więc w najbardziej piekielnym, zabójczym pierwiastku. Ta ziemia podobna jest porcelanowej niebiesko zielonej gruszce omszałej dmuchniętym kapryśnie pudrem. Ow biały strzępiasty nalot to obłoki czczone przez poetów, to chmury zapowiadające cyklony i potopy, to straszne jesienne nize, kiedy ludziom pękają serca, kiedy z mgieł wyłazą upiory obezwładniających przeczuć, kiedy życie zastyga w letarg, w coroczną próbę wiecznego smu.

Na tej gruszkowatej ziemi mrowi się spełniając nakazy natury prawie pięć miliardów istot rozumnych, na pierwszy rzut oka, albo fali elektromagnetycznej, stworów dwunożnych o postawie wyprostnej. W zawiłym procesie ewolucji podzieliłiśmy się na wielkie lub mniejsze zgromadzenia społeczne zwane narodami, co być może ułatwia nam proces vegetacji. Te wielkie i małe narody nieustannie pożerają się nawzajem w walce o byt, o przetrwanie, o sprostanie prawom ewolucji. Oczywiście absurdem byłoby twierdzić, że małe formacje społeczne pochłaniają wielkie, ale jeśli się weźmie pod uwagę, że te stada zwane narodami puchną i kurczą się raptownie, rozdymają się i tęchną, mnożą się przez pączkowanie i kaleczą przez amputacje - to można powiedzieć, że w ostatecznym rachunku pożerają się nawzajem, choć czasem się zdarza, że i zwymiotują niestrawionymi szczątkami sąsiada.

Dziwaczny podział na narody jest źródłem wielu naszych cierpień, bólów, nieszczęść. Im bliższy jest rozpad narodów, jako struktur przestarzałych, hamujących zagadkową i przerażającą ewolucję, tym intensywniejsze zachodzą procesy jonizacji wewnątrz narodów, tym wyższe rodzą się temperatury wewnętrzne i zewnętrzne, tym tragiczniejsze stają się zdarzenia oraz tarcia tych części zwane przez nas wojnami, rewolucjami albo powstaniem.

Skłonność literatów, spisujących fikcyjne lub prawdziwe perypetie między poszczególnymi osobnikami i między całymi formacjami społecznymi, a więc skłonność literacka do odrywania się od ziemi i spo-

glądania na nią z odległości stratosfery czy przestrzeni międzygwiazdnej, ta maniera jest już wytropiona przez badaczy i nazwana jako objaw szczególnej dewiacji. Ale i opisywanie fenomenu życia z wysokości kamienia polnego, albo hydrantu w mieście też jest nagannym zбочeniem. Ponieważ w ogóle literatura to nienormalność, transcendencja i zбочenie.

- Patrz pan, panie K., jej już nie ma.

- Kogo? - pytam machinalnie.

- Iwony.

Szyba wystawowa zapociła się skrywając mroczne wnętrze salonu jubilerskiego.

- Pan ją zna?

- Jeszcze nie - powiada Kojran.

- To skąd pan wie, jak ma na imię?

- Iwona - powtarza z uporem. - Założymy się?

- Nie lubię zakładów.

- Nie lubi pan hazardu?

- Czy ja lubię hazard? Czasem lubię.

- Tylko na całą stawkę?

- Właśnie. Na cały bank.

Wybucho mały niepokój początku kolejki. Uboga kobieta zręcznie umieszcza się przed studentami. Słychać łoskot żelaza, brzęk szyb i podniecone krzyki klientów. Kierowniczką salonu otwiera drzwi. Do środka wciska się w karnym ordynku kolejka. Teraz stoimy luksusowo wzdłuż kryształowej lady wypełnionej radzieckimi zegarkami ręcznymi i enerdownskimi budzikami. Lodowate nasze stopy spoczywają na płytach z czarnego marmuru. Nad nami lśni ogromny ceramiczny żyrandol. Lśni, ale nie płonie elektrycznym światłem, bo nie ma chwilowo prądu. Kierowniczką wyciąga z zaplecza dwie świece przypieczone stearyną do etui po bransoletach chińskich. Wesołe płomyki chybocą już we wszystkich lustrach.

- Jest? - szepcze poufnie Kojran.

- Kto?

- Iwona. Tam, koło palmy.

Obok zakurzonego drzewka siedzi na wyściełanym krzeselku - w stylu fałszywe Księstwo Warszawskie - nasza znajoma zza szyby. Czyta książkę z gniewnym znużeniem. Odkrywam pełen dziwnego niepokoju, że włosy jej są prawie czarne, a i w cerze jest coś kreolskiego, pierwiastek śródziemnomorski emanuje z nieznannej dziewczyny, i to mnie trochę zniechęca. W tych południowych narodach jest jakaś łatwość urody, jakaś pochopność natury i brak powściągliwości.

- Proszę państwa - odzywa się donośnym głosem kierowniczką salonu.

A kiedy tak się odzywa, wysoko stapirowane, złote jej włosy podlegają raptownej drżączce. - Proszę państwa, dzisiaj jeszcze nie przywieziono towaru. Może przywiozą za godzinę, a może i przed zamknięciem sklepu. Ostrzegam, żeby nie było reklamacji. Książka skarg i zażaleń jest chwilowo u introligatora.

Jęk zawodu, gwałtowne zafalowanie ogonka. Dwaj mężczyźni w poplamionych cementem ubraniach roboczych głośno złorzeczą. Baba wiejska z wielkim tłumokiem okrytym chustą związaną na piersiach zaczyna piakać.

- Trudno. Poczekamy - dudni nad głowami ludzi pan Duszek.

- Ech te kolejki, kolejki - wzdycha Kojran.

Pani w za dużej pelisie oraz w za dużym kapeluszu odwraca się ku niemu i rzece z naciskiem:

- W Anglii też są kolejki.

A ja sięgam dłonią za pazuchę, pod gorące wnętrze kożucha, i macam palcami kieszeń marynarki. W porządku, jest gotówka. Pięć tysięcy złotych banknotów.

- Panie K., pan naprawdę wierzy w cuda? - zapytuje Kojran.

- Może to pierwszy objaw starości, ale jakby zaczynał wierzyć.

- Przyjdzie pora, to uzgodnimy. Pani Iwonko, nie szkoda oczu?

Śródziemnomorska dziewczyna unosi głowę znad książki, spogląda wyniośle na Kojrana, który posyła jej całusa dwoma palcami o zmiażdżonych paznokciach. Okazuje się powoli, że w salonie jubilerskim jest nie tylko ciemno, ale i chłodno. Stąd te serdaki ze sztucznego futra na kibi-ciach ekspedientek. Iwona wraca do książki. Płomyki świec, jak listki

jesiennej brzozy, chcąc zerwać się z czarnych knotów miotane gwałtownymi przeciągami.

- Chłopcy - powiada Duszek - trzeba huknąć po lornecie, bo dostaniemy pneumonii.

- Przyjdzie pora. Oswajajmy kolejkę.

- Jakby co, to proszę i o mnie pamiętać - kłania się uprzejmie facet cały spowity w dżinsowe płótna i zajmujący pozycję dwudziestą szóstą, a po przyłączeniu się ubogiej starowiny - dwudziestą siódmą. Wygląda on na jakiegoś rozkapryszonego panicza z paryskiego drugstore'a, albo wręcz z Time Square na Broadwayu.

Kojran i Duszek przyjmują jego propozycję z ostentacyjnym chłodem. Potem Duszek szepcze chrapliwym basem:

- Uważajcie, to kapusta.

Nieopodal salonu jubilerskiego zatrzymuje się ciężarówka. Strażnik w waciaku spuszcza klapę. Na chodnik zeskakują więźniowie w takich samych waciakach, tyle że okrytych pomarańczowymi kamizelkami. Każdy z nich jest uzbrojony w szuflę do śniegu. Ale śniegu jeszcze mało. Może będzie dosyć koło pierwszej gwiazdki.

Łapie mnie raptowny strach. Mam idiotyczną ochotę wyprysnąć na ulicę razem z kryształową szybą wystawy, razem z palechskimi szkatułkami i babami w babach. Lecz sięgam tylko ponownie w zanadrze, gdzie kości mostka zaciska straszny, złowróżbny ból. Rozcieram żebra nad sercem, normuję oddech. Ból jednak nie ustępuje. Ból, który poznałem przed kilku dniami.

- Może to i dobrze byłoby tak od razu, na miejscu, bez apelacji? - pytam sam siebie. - To nie czasy powolnego, mieszczańskiego konania. Dziś nawet sklepikarze, a kto wie, czy i nie ministrowie, dziś wszyscy modlą się o nagłą i niespodziewaną.

Później, uspokojony, słucham z mściwą satysfakcją, jak ten nowo poznany ból zaciska jeszcze bezwzględniej szczęki na spojeniu moich żeber. Kożuch wonieje mumią barana i salonem pralniczym "Alba".

- Oż wy w mordę lechtani - warczy Kojran - dwadzieścia po jedynastej, a towaru jak nie ma, tak nie ma.

- We Francji też godzinami czekają na towar - powiada sucho pani w za dużej pelisie, w za dużym kapeluszu i w za dużych kozakach. Nawet

w uszach ma za duże złote klipsy ze szmaragdami.

- Pani pewnie z dyplomacji - stwierdza Kojran.

- Dlaczego z dyplomacji? - pyta trochę dotknięta pani w za dużej zewnętrżności.

- No bo taka bywała.

- Ja tylko jestem obiektywna.

- Polak jak musi czekać, to wpada w złość - rzecze Duszek.

- Włosi są bardziej nerwowi.

- Nie obchodzą mnie Anglicy, Francuzi, Włosi - denerwuje się pan Duszek. - Obchodzą mnie Polacy. Pani rozumie, co mam na myśli?

- Nie będę z panem dyskutować o polityce.

Wiejska baba z tłumokiem przemieściła się niezauważenie w naszą stronę. Korzysta teraz z kłopotliwej ciszy i pyta poufnie:

- Może ktoś z państwa potrzebuje cielęciny? Mam ładną, świeżutką.

- Ale babcia tu nie stała - stwierdza z gniewem Kojran.

- Toż i nie stoję, tylko pytam.

- Pani pokaże tę cielęcinę - wtrąca Duszek.

Baba zaczyna rozsypywać toból. Na marmur posadzki sypią się przemarznęte ziarna zboża.

- Po co ci cielęcina? - pyta Kojran.

- Zobaczymy, pomyślimy, cielęcina to najzdrowsze mięso.

Kierownicza wychyla się zniecka przez kryształową ladę.

- Pani pozwoli do mnie na zaplecze.

Baba zastęga w niepewności z dwoma udźcami cielęcymi.

- Ale my jesteśmy pierwsi - interweniuje Kojran.

- Starczy, starczy dla wszystkich - uspokaja wieśniaczka i już chyłkiem mknie na zaplecze wabiona przez złotowłosą kierowniczkę. Dziewczyna z książką uniosła głowę, patrzy na mnie tak, jakby mnie naprawdę widziała, jakby myślała o mnie, jakby chciała mi coś powiedzieć. I znowu raptem przenosi wzrok na szybę, za którą przytupują więźniowie oczekujący śniegu, i znowu wraca do książki.

- Wie pan, nie zapamiętałem wieczoru wigilijnego z dzieciństwa, z partyzantki, albo tego powojennego w pustym pokoju w pustej bursie akademickiej, ale zapamiętałem na całe życie taką jedną króciutką

chwilę, kiedy zapaliła się pierwsza gwiazda, a ja stałem w oknie patrząc na drogę jak kanion śniegowy, na ogromne zbocza rozległych wzgórz okryte grubo ponową, na białą ścianę lasu u szczytu tych wzgórz, na granatowiejącą niebieskość nieba, na całą tę wigilijną wigilijność, w której zamiera wszelkie użyteczne życie, w której odzywa się delikatne życie intymności ludzkiej, więc patrząc na tę łagodną bajkę wymyśloną przez Boga i ludzi spostrzegłem nagle samotnego człowieka, co siedzi zgarbiony śnieżną drogą w tej osobiwej chwili, siedzi sam jeden na świecie przez opustoszały świat wigilijny i w tym jego osamotnionym ruchu tyle było wieloznacznej grozy, tyle tajemniczego nieszczęścia, tyle zuchwałego wyzwania wobec odwiecznej tradycji, że ten widok brnącego przez kopki śniegu człowieka w godzinę wigilijnego zmierzchu zostanie mi na zawsze w pamięci, choć tymczasem rozbito atom, zwyrodniono geny i wylądowano na Księżycu.

- A gdzie pan widział tego człowieka?

- W Kolonii Wileńskiej. Przed wojną. Bo tylko u nas bywała prawdziwa wigilia.

- Panie K., pan chyba nawet coś pisał o nocy wigilijnej?

- To nie ja. To Andersen.

Duszek puścił wielki kłęb pary z sinych ust.

- Chłopcy, błagam, najwyższa pora zamoczyć wigilijną rybkę.

- Tak, przyszła pora - stwierdził beznamiętnie Kojran.

Na ulicy duł lodowaty wiatr, wiatr rodzący się z różnicy ciśnień w atmosferze ziemskiej. Nisko nad dachami domów leciały rzadkie, brudne obłoki. Za nimi było jasnyniebieskie, połyskliwe niebo, ale my wiedzieliśmy, że to niebo jest tylko śmietnikiem, którym wicher słoneczny gania tabuny zardzewiałych sputników, niedojrzałych konserw i zamrożonych na wieczność czyichś kości.

Skracamy w stronę eleganckiej restauracji, chcę ująć za klamkę szklanych drzwi pękniętych na całej długości, ale Kojran powstrzymuje mnie bez słowa. Wchodzimy do mrocznej klatki schodowej jakby na zaplecze tego lokalu gastronomicznego. Bez zdziwienia poznaję odór moczu tak charakterystyczny dla naszych sieni. Wspinamy się niewysoko, bo na

pierwsze piętro. Duszek dzwoni trzy razy dzwonkiem elektrycznym, pod którym zostały ślady kilku warstw biletów wizytowych.

Ktoś uchyla drzwi. Słysząc brzękliwy głos telewizora.

- Chcemy złożyć życzenia świąteczne, dziadku - powiada Duszek.

Niedołężny staruszek wsparty na dwóch laskach wpuszcza nas do mieszkania. Zdejmując kożuch sprawdzam, czy nie zgubiłem pieniędzy. Są i szeleszczą smakowicie w nagrzanym kieszeni.

Staruszek wyrzuca straszliwie obie nogi na wszystkie strony, ratuje się przed upadkiem rozpaczliwą manipulacją lasek, mozolnie prowadzi nas do niedużego pokoju. A tu ciepło, zacisznie, telewizor miga wesoło zakłóceniami. Siadamy na wytartej wersalce przy stole okrytym wiejską serwetą. Ze ścian patrzą powiększone fotografie, powiększone i wyretuszowane fizjonomie. Może tego ułomnego staruszka oraz jego nieżyjącej żony, a może nieznanych, dawno umarłych ludzi jak modele Michała Anioła czy Velasqueza.

Wraca staruszek miotany dzikimi konwulsjami i patrzy pytająco.

- Niech dziadek poda lornetę z meduzą - dysponuje Duszek. - Oczywiście dla każdego.

Coś kapie z pięknym dźwiękiem harfy. Kąt pokoju przemókł doszczętnie. Z wypełnionej brudną wodą żarówki lecą wielkie krople. Ale ta woda nie pozostaje w naszym pokoju. Sobie wiadomymi kanałami idzie pod podłogę, leci pewnie do tej wytwornej restauracji.

- Sąsiad zalał - powiada Duszek kiwając ze zrozumieniem głową.

- Zalewa cały dom od góry do dołu prawie co miesiąc. Hydraulicy już stracili cierpliwość. Dziś, panie szanowny, każdy człowiek powinien być samowystarczalny. Sam sobie niech ulepi dom, sam koło domu niech posadzi ziemniaki i kapustę, sam niech wymieni pękniętą rurę, albo spaloną instalację elektryczną. W tę stronę idziemy. Kończy się, proszę pana, specjalizacja. Wracamy do epoki gospodarki naturalnej.

Gospodarz wpływa do pokoju jak mątwą. Walcząc z kalectwem i laskami inwalidzkimi niesie wielką tacę. Potem stawia przed nami po dwie sety w wysokich szklaneczkach i po talerzyku galaretki z nówek. To jest właśnie lorneta z meduzą.

- Panie K., za nasze szczęśliwe spotkanie.

Wypijamy każdy po swojemu setkę czystej. Ja nerwowo, na dwa łyki, Kojran uważną, nieprzerwaną strugą wprost do gardła, Duszek drobnymi haustami jak kryniczną wodę. Połknąłem alkohol i słucham ze złościwą obojętnością, co się dzieje w tym kościanym wiaderku, które lekarze zwą klatką piersiową. Ale pod krawatem ciągle jeszcze tkwi to ołowiane imadło zacieśnione, na mostku.

- I to, w ogóle mnie pan nie pamięta? - pyta Kojran.

- Wie pan, dawniej pamiętałem każdą twarz spotkaną w dzieciństwie, każde nazwisko przeczytane choćby w gazecie. Teraz jakby mi się coś poplątało. Wszystkie twarze wydają się znajome i kompletnie nieznane, wszystkie nazwiska swojskie i zupełnie obce. Chaos, ale bez dynamiki chaosu.

- No to szkoda, że pan mnie nie pamięta. Byłoby o czym porozmawiać.

- Kilka lat temu podróżowałem przez Amerykę. W Nowym Jorku zatrzymałem się na dwa tygodnie. Przez cały czas ktoś mi zostawiał karteczki w recepcji hotelowej z prośbą o telefon. Podpis coś mi mówił jakby z odległej pamięci, ale też na dobrą sprawę mógł nic nie mówić. Wolałem, żeby nic nie mówił. W końcu zaczepia mnie przed hotelem starszy pan, niezmiernie wychudły, schorowany mężczyzna o bolesnych oczach i ja od razu poznałem tego człowieka, choć nigdy przedtem nie mogłem go spotkać. Zaprowadził mnie do taniej restauracji gdzieś w okolicach sześćdziesiątej ulicy, obstalowaliśmy dwa hamburgery, które podał Murzyn uczesany na afrykańskiego ludożercę, z butonem na piersi, a na tym butonie widniał agresywny napis: black is beautiful. Więc rozgryzając ten podejrzany hamburger dławilem się jakimś lękiem, wstydem, raptownymi wyrzutami sumienia, a mój rozmówca, ledwo dychający staruszek starszy ode mnie siedem albo dziesięć lat, więc ten prawie mój rówieśnik na progu agonii patrzył na mnie nieżyjącymi już oczami, a właściwie bardzo żywotnymi oczami, gorejącymi ostatnim blaskiem oczami i czekał na moje słowa. A ja, choć to może wydać się głupie, przyjąłem, mimo że siedziałem, postawę wojskową i wojskowym, służbistym głosem złożyłem mu meldunek o dalszych losach naszego oddziału partyzanckiego w pierwszych miesiącach czterdziestego piątego roku, o naszych losach, które

rozminęły się z jego losem, bo jego aresztowano jesienią czterdziestego czwartego i on uciekł z transportu więźniarskiego, uciekł przez lód zapomnianego jeziora ostrzeliwany zajadłe przez eskortę, więc uciekł i w tragicznych okolicznościach wydostał się na zachód, gdzie szybko stracił zdrowie w nieskończonej tułaczce i teraz umiera, umiera i nie może umrzeć na wielkiej wyspie Long Island, a tak długo, bez końca umierając ciągle myśli o dalekiej Polsce, ciągle rozpamiętuje te sześć lat wojny, te najlepsze sześć lat swego życia, kiedy był piękny, mocny, szlachetny, kiedy kształtował życie, kiedy stanowił lepszy i mądrzejszy kodeks moralny, kiedy był człowiekiem na kształt i podobieństwo Pana Boga. Więc składałem mu meldunek mocno przestarzały, ogromnie przeterminowany ściubiąc hamburgera i sałatę z sosem rosyjskim, a dokoła na wszystkich ulicach i alejach Manhattanu szalał wielki kryzys światowy, hipisi zziębnięci pierwszym przymrozkiem śpiewali o miłości, Arabowie prowadzili wojnę z Izraelczykami, komadosi palestyńscy strzelali do kobiet i dzieci porwijąc samoloty, pederasci brali homoseksualne śluby, filozofowie głosili kult absurdu i chaosu, młodzi filmowcy kręcili wielogodzinne filmy o śpiącym anonimowym człowieku, narkomani palili marihuanę, w dziennych i nocnych lokalach kobiety rozbierały się do naga, Europa próbowała się połączyć w Stany Zjednoczone, jakiś prezydent afrykański szykował się do koronacji na cesarza, w Chinach rząd organizował rewolucję wymierzoną przeciwko sobie, jacyś panowie latali po orbicie okołoziemskiej w prymitywnej kapsule podobnej do żelaznej beczki, starcy onanizowali się w kinach porno, junty pułkownikowskie rezygnowały raptem z władzy, Kościół debatował nad zniesieniem celibatu, ktoś się gdzieś oblał benzyną i palił na oczach całego świata, gdzie indziej trzęsła się ziemia, powódź topiła ludzi i miasta, jakiś poeta płakał nad wierszem zniekształconym przez cenzurę albo błąd drukarski, a ja poddając się dziwacznej konwencji, która zdechła albo została zamordowana kilkadziesiąt lat temu, a ja poddając się tej nieżywej i tylko mnie, może również temu człowiekowi naprzeciwno, więc tylko mnie i temu człowiekowi pamiętnej konwencji ulegając relacjonowałem odyseję jakiegoś malutkiego oddziału młodych ludzi, co chcieli odmienić świat, a chcieli ten świat zmieniać wzbijając się w niebo z prowincjonalnego kosmodromu ubogich moczarów i dzikich lasów, z krateru

mało kogo obchodzących nieszczęść i krzywd anonimowych. Tak wyglądało spotkanie z moim dowódcą, którego nigdy przedtem nie spotkałem i który mnie nigdy przedtem nie widział. Z moim dowódcą mojej wojny, której nikt już nie pamięta, której już nikt tak mocno nie pamięta, że może jej w ogóle nie było.

Kojran ujmuje drugą setkę, patrzy pod światło na tę dawkę przeczyszczającego narkotyku z łagodnych mazowieckich kartofli.

- A wie pan, panie K., że i ja tam jadę?

- Dokąd?

- No właśnie do Ameryki. Jutro przed południem tam lecę. W pierwszy dzień świąt. Jeśli przedtem nie zdarzy się cud. Wypijemy, bo jest pod co wypić, prawda panie K.?

- Tu mam pewne wątpliwości. Już mi się kręci trochę w głowie, są pierwsze kłopoty z wymową.

- Co pan? Przecież pana znam. Cwiarteczka to była dawka na uspokojenie.

- Było, minęło. Mnie też czeka podróż.

- Daleka?

- Daleka. Do Kalisza.

- Nie taka znowu daleka.

- Dla mnie daleka.

Wchodzi siwy mężczyzna z akordeonem na plecach. Nie patrząc w naszą stronę zbiera pulpity z nutami i wynosi je do drugiego pokoju.

- Polak jak wypije, to wesoly - rzecze pan Duszek salutując swoją szklaneczką.

- A nie ciekawi pana, po co jadę do Ameryki?

- Pewnie do ONZ-etu albo do rodziny.

- Zgadł pan, panie K. Jadę do brata.

Wyciąga spod stołu tę skórzaną torebkę zwaną pederastką, otwiera zamek błyskawiczny, grzebie w urzędowych papierach.

- Wszystko mam. Paszport, wiza, nawet dolary, tylko wsiadać i lecieć, ale nie wiem, czy polecę.

- Czy polecą pan jutro.

- Czy polecę jutro w pierwszy dzień świąt. Brat ma stację benzynową, a nad tą stacją, na pierwszym piętrze, jest świątynia. Na pierwszym

piętrze, bo następnych już nie ma. Całe piętro nadnaturalnej wielkości to kościół, bożnica i kircha, a może nawet meczet. Wszyscy po kolei się tam modlą. Jednego dnia ci, drugiego inni. A pod spodem brat ze stacją i małym warsztatem. Pana to nie dziwi?

- Trochę dziwi, ale mało.
- No to przepuść pan do organizmu tę ampulę.
- Padnę na miejscu.
- Nie padniesz. Wrócimy do jubilera po towar.

"Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi:

Wstańcież pasterze, Bóg się wam rodzi..."

Zamieramy z pustymi szklaneczkami w rękach. Obok, za ścianą, uliczna orkiestra rozpoczyna próbę. Właściciel mieszkania wyrzucając nogi we wszystkie strony świata pojawia się na progu.

- Nie będą przeszkadzać artyści? - pyta.
- Mogą grać, dlaczego nie - zgadza się Kojran.

W prostokącie drzwi widzę plecy muzyków w jednakowych niebieskich marynarkach. Dyryguje gitarzysta, on też apoplektycznym głosem wykonuje zwykle refreny. Dziś będzie śpiewać kolędy.

- Jeszcze coś podać? - pyta gospodarz.
- Starczy - odpowiada Duszek. - My z roboty. W ogonku stoimy. Właściciel kiwa ze zrozumieniem głową, w nagłym odrzucie opuszcza nasz pokój.

- A jak to u nas bywało? - odzywa się raptem Kojran.
- Gdzie u nas?
- No na Wileńszczyźnie. Powiedz pan jeszcze o tej nocy wigilijnej.
- Już raz mówiłem.
- To mów jeszcze raz.
- Dwa razy nie można.

Kojran uderza mnie w ramię czerwoną dłońią. Potem zdejmuje futrzaną czapkę, czochna palcami długie strąki szpakowatych włosów.

- Otóż to. Dwa razy nie można.

"Przybieżeli do Betlejem pasterze.

Grają skoczno Dzieciąteczku na lirze..."

- Falszują, cholera - krzywi się Duszek i rzecze do galaretki z nóżek: - nie trzęś się i tak cię nie zjem.

- Pan ma też zmartwienie? - pochyła się do mnie Kojran.

- Mam kilka. No, może dwa.

- To niewiele.

- Dla mnie wiele.

- Coś panu powiem. Ja kiedyś wiersze pisałem.

- Każdy pisał.

- Uch, ciężko z panem rozmawiać. Dawniej byłem zupełnie inny. To mam na myśli. Po drodze, przez dwadzieścia lat, wszystko mi wyciągli. Wszystko co mogli: pół żołądka, ślepą kiszkę, migdałki, żylaki, płat płuca, łętkę. Wystarczy?

- Pewnie, każdemu wystarczy.

- Myślę, że mi sporo ubyło. Zmieniłem się, panie K.

- A u mnie narosło. Przybyło w ciągu dwudziestu lat.

- Co mogło przybyć?

- Torbiele, żylaki, garb, mięśniaki, odciski. Zmieniłem się,

panie Kojran.

- Nie słyszał pan nigdy mego nazwiska?

- Coś jakbym słyszał.

- Zajrzyj pan do swoich papierów. Zdaje się matka pańska urodziła się w Kojranach.

- To pan z Kojran?

- Nie, ja urodziłem się w Mickunach.

- Kojrany, Mickuny, Niemenczyn to moje łożysko płodowe. Ale nigdy tam chyba nie byłem. Czy ja w ogóle kiedyś byłem w tamtych stro-
nach?

- Mówią, że pan był, że pan tamtejszy.

- Albo wmówiłem ludziom. Rodowód z erudycji. Tyle się naczytałem wspomnień, pamiętników, monografii, że wycisnąwszy esencję mogłem z niej oddestylować skromny literacki rodowód dla jednego bezdomnego człowieka, to znaczy dla siebie.

- Co pan tu opowiada, panie K. Pan ma normalną biografię i ja pana miałem zastrzelić w pięćdziesiątym pierwszym. Chodziłem za panem

trzy tygodnie z pistoletem parabellum przywiezionym z Wilna.

"Bóg się rodzi, moc truchleje,

Pan Niebiosów obnażony..."

Orkiestra uliczna próbowała trzecią kolędę. Każdy z muzyków zdążył już spożyć taką samą lornetę z mefuzą. W kącie kapie bezgłośnie woda. Kapie nie robiąc nam żadnej subiekcji, przenika do tej luksusowej restauracji, której nikt nie odwiedza.

- Przytaczam ciekawostkę, a pan milczy - odzywa się cicho Kojran.

- Miałem takie wrażenie, że chodzi za mną śmierć. W pięćdziesiątym pierwszym, drugim, a może nawet czwartym.

- Nie, później to nie. W pięćdziesiątym drugim to ja już siedziałem i opiekowałem się mną Duszek, prawda Duszek?

Olbrzym spogląda melancholijnie na swoje wielkie dłonie.

- Po co wspominać. Może to wszystko nieprawda?

Ciekaw jestem, jak ja piszę. Nigdy w życiu nie przeczytałem własnej książki. To znaczy czytałem wszystkie podczas pisania, to znaczy odczytywałem poszczególne zdania dopiero co napisane, mocowałem się z nimi, gubiłem się w nich, czytałem pisząc i pisałem czytając, ale nigdy nie sięgnąłem po oprawny tom okryty pierwszym kurzem i nie zacząłem składać własnych liter od początku pierwszego rozdziału do odległej o krótką nieskończoność puenty. I właściwie nie jestem ciekaw, bo gdybym był ciekaw, to ukradkiem poczytałbym sobie te zwiędłe strony sprzed dziesięcioleci i sprzed paru miesięcy. Ja tej swojej prozy nienawidzę. Nienawidzę jak upióra, jak złe wspomnienie, jak wyrzut sumienia. Ta proza to coś w rodzaju ziarniny cieknącej z mojego organizmu. Niby wskazuje, że coś się zabliznia, że coś zdrowieje, ale przecież nic się nie zablizniło i nic nie wyzdrowiało.

Podzieliliśmy się na wielkie, średnie, małe i zupełnie mikroskopijne zbiorowiska, które mówią własnymi mowami. Te zamknięte społeczności różnią się między sobą innością artykulacji, sposobem wydawania dźwięków z krtani. Tych dźwięków dźwięcznych i bezdźwięcznych jest taka mnogość, że nie potrafimy ze sobą porozumiewać się bez udziału osobników, zwanych tłumaczami, którzy nauczyli się kilku albo nawet

kilkunastu języków, to znaczy wydawania dźwięków przy pomocy aparatu gębowego.

Lecz jeszcze trudniej komunikować się nam ze sobą w zakresie doświadczeń i ugruntowanej na nich świadomości. Rozumiemy wtedy poszczególne słowa, całe zdania i sążniste akapity, ale nie możemy zrozumieć człowieka, co to napisał.

Ja jestem indywiduum, którego nie rozumieją bliźni znad Tybru, Sekwary, czy Hudsonu. Niby pojmują moje przetłumaczone wiernie zdania główne oraz poboczne, niby łapią sens metafor i migotliwość nastrojów, ale nie potrafią współczuć mojej doli ani ogarnąć bezsensu mojego sensu, który wydaje się im nierzeczywisty, obcy, pozbawiony motywacji, a więc zupełnie niezrozumiały. Nie rozumieją mnie, bo jestem Polakiem, bo należę do zbiorowości rozsiadłej wzdłuż rzeki Wisły, albo raczej rojącej się zbiorowości wokół szeregowej rzeki europejskiej. A los tego stadka istot rozumnych kocujących nad dziką rzeką, choć mieszczący się w normach i prawach biologicznych ziemi, jest losem pokrętnym, losem skomplikowanym, losem wynaturzonym jak każde nieszczęście, jak każda bieda. Dlatego mojej codzienności, moich zwykłych myśli porannych i rozpacznych wieczornych, dlatego chemii mojego mózgu i struktur fizycznych mojej duszy nie jest w stanie zrozumieć obywatel społeczności zażytych, stabilnych, sennych, zmorzonych leniwym trawieniem. I z tego powodu rzecz o, że jestem niezrozumiały, że piszę niezrozumiale, że sytuacje przeze mnie ewokowane, że przeczucia przeze mnie rozbudzone, że lęki mnie osaczające są dla niego nieprzekonywujące, pozbawione wyrazu, obce. Zrzuca on na mnie odpowiedzialność i mnie czyni winnym za niezrozumiałstwo i ja się wstydzę, tłumaczę, przepraszam aż do tej chwili, kiedy zniecierpliwiony powiem: dziękuj Bogu, że mnie nie rozumiesz i módl się codziennie, żebyś jak najdłużej mnie nie rozumiał, bo w końcu będziesz musiał mnie zrozumieć i to zrozumieć do końca, do ostatniego włókna rozwibrowanego układu nerwów, do najczulszego drgnienia membrany świadomości, a stanie się to wtedy, gdy przyjdzie ci dzielić mój los, gdy moje fatum jak gradowa chmura przepłynie na zachód i stanie nad twoim krajem, nad twoim domem, nad twoją głową, gdy oprawcy Wielkiego Przeznaczenia wyciągną cię z ciepłego łóżka i zaczną torturo-

wać bez końca beznadziejną codziennością, kneblem i kajdanami, powolnym wyskrobywaniem mózgu i uporczywym truciem serca, a ty w ostatnim momencie swojej nieszczęsnej egzystencji zobaczysz obojętne, nie rozumiejące, bezmyślne oczy bliźnich znad Wiskę, Wełtawy czy Potomaku. Niezrozumienie może być wyniosłym szlachetstwem, nonszalancją wyższego umysłu, roztargnieniem pieszczocha, ale niezrozumienie może być równie dobrze pierwszym stadium letargu, pierwszym zaćmieniem agonii, pierwszym sygnałem Opatrzności, że idą lata najcięższych plag nad krawędzią niebytu.

Ale jestem niezrozumiały i z innych powodów. Piszę szyfrem, coraz częściej używam gwary więziennej, opanowałem zawile arkana kodów grypsowych. Moje pisanie to poczerniałe ściany celi śmierci. Na tych ścianach wydrapuję znaki upływających dni, sentencje raptownych jak letni dzień nadziei, przestrogi dla wolnych potomnych i zwierrzące krzyki rozpacz, gdy nie można już dalej żyć i nie można raptem umrzeć.

Ja już się nie staram, żebyście mnie zrozumieli. Już mi nie zależy na waszej aprobacie, albo na waszym współczuciu. Ja już piszę tylko dlatego, że muszę pisać i nie wierzę, żeby ktoś to kiedy przeczytał i rozumiał do końca jak ja to rozumiałem walcząc z opornym, mało pojemnym ulotnym słowem. Piszę, bo jakiś dziwny obowiązek popycha mnie do tego papieru, który rozsypie się w proch po dziesięciu latach. Piszę, bo pełga w mojej podświadomości iskra nadziei, że coś gdzieś jest, że coś gdzieś trwa, że Wielki Sens dostrzeże mnie w ostatnim mgnieniu i uratuje z wszechświata bezsensu.

- Zasnął pan? - Kojran trąca mnie łokciem.

- Myślę o swoim życiu.

- Nic pan nie wymyślisz.

- Polak jak myśli, to zawsze senny - konstatuje pan Duszek.

W spazmach zakłóceń telewizora błyska twarz spikera, który coś mówi, mówi bez przerwy i bez przekonania już od kwadransa. Z czarnej, pełnej błota żarówki kapią krople wielkie jak wiśnie.

"Przybieżeli do Betlejem pasterze.

Grają Dzieciąteczku na lirze..."

Orkiestra nabrała już płynności, gra swobodnie, czysto jak filharmonicy. Muzycy patrzą przekrwionymi oczami w zakurzone okno i na śnieżycę, która leci przez miasto z szybkością ekspresowego pociągu.

- Przyjdę do domu na wigilię na silnym cyku - wdycham z rozpaczą.

- Kto to wie, jak się zakończy ta wigilia.

- Pan mnie straszy?

Kojran wlewa do gardła ostatnie krople "stołowej".

- Przecież pan czeka na cud.

- To prawda. Ja czuję już gorąco tego cudu, dziwny podniecający zapach tego cudu, słyszę niebiański głos tego cudu, właściwie nie tyle głos, co tajemnicze murmurando, astralne brzęczenie, niespokojny szum pulsarów, białych karłów, albo dziur antymaterii. Z tego nieskończonego śmietnika idzie do mnie poznanie, pełnie jakaś prosta formuła sensu, cieknie spokój zrozumienia.

- Ja jestem panu winien kulę. Ołowiany groch w tył głowy.

- Wiem. Zdradziłem starą wiarę dla nowej. Potem nową dla starej. Ale ja nigdy nic i nikogo nie chciałem zdradzić. Zdrada i wierność, łajdactwo i cnota, miłość i nienawiść - to jeszcze niczego nie rozwiązuje.

"Pójdźmy wszyscy do stajenki,

Do Jezusa i Paniunki..."

Akordeonista gra dla nas. Stoi w drzwiach, przebiera żywo czarnymi palcami po klawiaturze i wpatruje się w nas uporczywym, jakby trochę obłącznym wzrokiem.

- Panie K., to były resztki naszej organizacji, tej samej, co to pana kiedyś hodowała. Zadekretowali wyrok, s... miałem wykonać. Może dlatego, że byłem najmłodszy. Pan wie, panie W., że jestem od pana młodszy o trzy lata? W tamtym czasie trzy lata znaczyło całą epokę. Pana śmierć miała stać się przestrogą i szokiem dla chwiejnych, dla takich, co starą Polskę zmieniali na nową Polskę.

Śnieżycą zalepia okno. Już nic nie widać. Drzemimy w wielkiej ciepłej zaspie. Stary człeczyna młodszy ode mnie o trzy długie lata mru-ga powiekami, żeby rozetrzeć mętne ży.

- Tak - odzywam się ukolysany kolędą - przypominam sobie, że

na początku czterdziestego piątego ja również wykonywałem wyrok zabijając zdrajcę. Albo miałem wykonać, lecz przeszkodziły okoliczności. A może wykonaliśmy zbiorowo. Kiedyś pamiętałem to dobrze, chyba mnie nawet dręczyło sumienie, później się zatarło i teraz przypominam sobie i nie mogę przypomnieć. Jakbym przypominał swoje grzechy lub cudze, jakbym przypominał ogólny grzech ludzkości.

- Chodziłem za panem trzy tygodnie. Miał pan wtedy jakiś romansik?

- Ale skąd? W ogóle nigdy nie miałem romansików.

- Pan skryty. Po co się wypierać? Nie, to nie skrytość, to obłuda.

- W naszych stronach wszyscy byli trochę obłudni. Pan też.

- Ja? - Kojran wzdycha tocząc kulkę chleba po stole. - Ja nie miałem czasu na obłudę. Duszek nauczył mnie szczerości, prawda Duszek?

- Polak, jak przyjdzie wieczór, to zaraz wspomina.

- Jeszcze daleko do wieczora. Więc chodziłem za panem wszędzie.

Pod redakcję, na basen "Legii", do knajpy nocnej, na zebranie, pod sklepy spożywcze, na randki, choć pan się wypiera. Więc chodziłem stale za panem z parabellum i z wyrokiem napisanym na zeszytowej kartce. Dzieciść tysięcy razy mogłem do pana strzelić, ale jakoś nie strzeliłem. Ciągle na coś czekałem i do dziś nie wiem, na co czekałem. A potem mnie capnęli i siedziałem sześć lat. Bo za mną też chodzili rozpracowując resztki organizacji, organizacji mojej i pana. Można powiedzieć: chodziliśmy wszyscy gęsiego.

Patrzę na jego pospolitą twarz, na podgardle źle wygolone, na lekko przetłuszczony kołnierzyk sweterka polo, jaki noszą teraz tylko prowincjonalni aktywiści.

- Kojran, przecież ty łiesz. Zachciało ci się zepatować sąsiada w kolejce sklepowej. Czy nie szkoda twojej fatygi?

- Moja fatyga darmowa. Moja fatyga już nic nie kosztuje. Gdzieś-cie wtedy, wyjeżdżając na zawsze z Wilna, ukryli swoją broń?

- Nie pamiętam, Tyle lat minęło.

- Ty dobrze pamiętasz. W Puszczy Rudnickiej, na Powstańczej Górcie. Prawda?

- Kojran, ja handlowałem całą wojnę słoniną.

- Uch, jaki fałszywy. Z waszego grobu było to parabellum. Może ty je kiedyś nosiłeś? Prawda, Duszek?

Olbrzym w ubraniu z lat pięćdziesiątych, w ubraniu, które lada dzień stanie się modne, więc ten olbrzym niemodny o krok od modności spluwa suchymi ustami w stronę telewizora.

- Dajcie mi spokój. Ja się odciałem i koniec.

"W żłobie leży, któż pobieży
Kolędować małemu?"

Gospodarz jak wwierca się po pokoju niosąc lampę naftową, choć do nocy jeszcze daleko. Ale za oknem ściana bawełnianego śniegu. Biały kurhan przywalił Paryż północy.

- Po co ta lampa, dziadku? - pyta Kojran.

- Żeby poświęcić, bo prądu nie ma.

- Jak to nie ma? A telewizor chodzi.

Gospodarz zamiera na swoich kulach jak przymarznięty ptak.

- Rzeczywiście chodzi, psia jego mać, choć prądu nie ma. To ci nachalny mechanizm.

Wzywa zgorszony muzykantów. Inwalidzi z orkiestry patrzą na migający obraz pani i pana, uczących się po rosyjsku, potem stukają palcami w ekran, zaglądają przez szpary do wnętrza aparatu, wreszcie bezradni odchodzą do pulpity z nutami. Gospodarz także godzi się z tym jawnym wybrykiem techniki.

- Jak przyjdzie pora to zgaśnie - powiada niezadowolony z zamieszania Kojran. - Widzisz, gdybym ciebie wtedy zabił, to by cię teraz nie było.

- Gdybyś mnie wtedy zabił, to by mnie teraz nie było - powtarzam zdumiony. - Nie byłoby całej góry incydentów, pauz nudy, niepokoju, zmartwień nie do zniesienia, omyłek, wstydu, niziutkich lewitacji, marnych nadziei i stałej męki, żeby zrozumieć, ogarnąć, przeniknąć i zaznać odpoczynku. Wiesz, ja już jestem tak blisko, że dotykam nosem, ale jeszcze nie widzę.

- Dopytasz się litości?

- Nie, tak sobie gwarzę.

Prawa noga zasnęła pod stołem. Zaczynam ją zginać i wyprostowywać budząc ją do życia. W palcach słyszę drobne ukłucia, jakbym chodził

po mchu, albo po dzikich ziołach, które zawsze nazywałem czomborkiem, choć w słownikach zowią je cząbrem.

- Ty jesteś kolosalny cwaniak. Obserwuję cię od lat. A ty tak - i wykonuje węzowy ruch prawą dłońią obsypaną wątrobiarymi piegami. Jęgo wcześniej wzięło. Mnie też wcześniej bierze.

- Tak, trochę jestem chytry. Ale nic mi z tego nie przyszło. Moja chytryść jak dym idzie prosto do nieba. Nikogo nie oświeca, nikogo nie ociepla, nikomu nie oddaje energii.

- Uch, tylko w mordę bić.

- Kojran, ty jesteś niegrzeczny. Po co tu mamy męczyć się ze sobą. Ja idę, cześć.

- Siedź. I słuchaj, co ludzie mówią. Duszek, opowiedz, jak mnie poznałeś.

- Nie mam ochoty. Jedna lorneta ci wystarczy, żeby obrażać ludzi.

- Straciłem odporność. A kto ze mnie wystukał odporność?

- Tylko bez aluzji.

- Przecież jestem twoją pokutą. Chodzisz ze mną jak z różańcem.

Tyle paciorków, co kręgow w moim szkielecie.

Ktoś wali pięścią w drzwi wejściowe. Milknie orkiestra, tylko bała-
łajka zbita z tropu rzępoli jeszcze chwilę. Gospodarz zмага się z kimś
u progu. A za oknem Arkyka, głucho, nieprzenikniona biel.

Pojawia się ten facet cały w dżinsach opędzając się przed starym
kaleką.

- Szukam i szukam panów, a tu widzę szkieleko, zaciszę domowe
i pogwarka starych rodaków - nśmiecha się grzecznie przybyły.

- Uwaga, to nauszniak - ostrzega chrapliwie Duszek.

Kojran unosi stopkę, ale w środku już pusto. Wyszał do ostatniej
kropli.

- Coś chciałeś powiedzieć?

- Towar przywieźli do sklepu.

- No. to ładnie, że pamiętałeś o starszych. A ty, Duszek, zawsze
jesteś nieufny. Ruszamy, panowie.

Sięgam do kieszeni spodni, gdzie ukryty spoczywa zaskórniak, lecz
Kojran unosi ostrzegawczo dłoń.

- Spokojnie. Ja płacę.

- Mnie wypada okazać wdzięczność.
- Przyjdzie pora, to okażesz.

Rozlicza się ze starym, klepie po plecach, aż pobrzękują metalowe kule. Orkiestra także szykuje się do wyjścia. Harmonista z astmatycznym jękiem zamyka ogromny akordeon.

- Nie powiem: do jutra - rzecze Kojran - bo mnie jutro już tu nie będzie. Ale życzę wysokich obrotów.

- Bóg zapłać - powiada gospodarz. - Ja przy nich nie zginę - wskazuje kościstą dłonią podłogę skrywającą restaurację pierwszej kategorii.

Zatrzymałeś się nagle w pośpiesznym, gorączkowym locie. Widziałeś jak skowronek nad tym zielonym kraterem, który wypełniało bezładne rumowisko miasta. Czortowgorodu, czyli Czarciego Grodu, jak je nazwał car Mikołaj I w młodości, kiedy służył tu w którymś pułku lejbgwardii.

A pora była - mówiąc językiem poetów - wielce osobliwa. Za twoimi plecami słońce szorowało już czerwonym brzuchem o kant horyzontu, słońce ogromne, wzdęte, słońca z końca świata, takie słońce, które za sto lat ukochają jarmarczni artyści, co będą za pieniądze bałamucić ludzi ruchomymi obrazami. Ty wiślałeś nad zielonym, skędzierzawionym kraterem, który trzymał w ciasnym uścisku kilkanaście kościołów, kilkanaście murowanych pałaców i kilkaset drewnianych, woniejących mchem oraz żywicą, przekrzywionych, zapadniętych, zrezygnowanych domostw jak usypiające ptaki. A z tego miasta, z tego Rzymu północy podnosił się szaraniebieski opar, ni to mgła, ni to wyziewy biedy i nieszczęścia. A w tej mgle, w tym oddechu śmierci, błąkały się głosy dzwonów kościelnych i stapał między nimi ospały i złowróżbny głos dzwonu cerkiewnego.

Patrzyłeś na to miasto oghuszony gorączką tęsknoty, lęku, złowieszczonego przecucia. Patrzyłeś, jak ja bym patrzył teraz, w tej godzinie, u końca drogi, na brzegu moczarów nieskończoności, moczarów zwanych u nas rojstami.

Ale ciebie grzała młodość, ciebie popędzała nadzieja, ciebie rozwydrzała wiara, którą przechowałeś w posępnych celach petersburskiej Szkoły Inżynierów Wojskowych, na kursach wojennych Mierostawskiego

w Genui, w głodnej i chłodnej tułaczce przez Bałkany.

Potem zbiegłeś leśnym zboczem, do którego przyłgnęła pierwsza chłodna warstwa nocy. Wszedłeś w labirynt uliczek, gdzie nie wyszło jeszcze wiosenne błoto. Po omacku, w gęstwie zmierzchu pachnącego chrabąszczami, szukałeś swego domu z gorącym oczodołem kuchennego okna.

Ukradkiem, niczym szpicel, wszedłeś do wielkiej sieni i słuchałeś konwulsyjnego rytmu własnego pulsu i słuchałeś zaduchu pleśni, umarłych woni piezzonego chleba, gasnących eterów usychających owoców. Stałeś przed drzwiami swego mieszkania, wyblakły refleks domowego światła ułożył się na twojej piersi w pętlach czamarki.

Wtedy otworzyły się raptownie drzwi i w chybotliwym, czczym świetle ksganka zobaczyłeś Rozalkę zastygłą w półkroku.

- Jezus Maria, zgiń, przepadnij maro nocna! - krzyknęła histerycznie, zatrzaskując drzwi.

Później usłyszałeś nierówne, ciężkie stąpanie matki, która szeptała po drodze:

- Nie bój się umarłych. Oni przychodzą prosić o pacierz. Chodź, popatrz, widzisz, że nikogo w sieni nie ma.

Zajęczały stare drzwi. Matka stała w progu osłaniając dłońią płomyk oliwnej lampki. Patrzyła na ciebie bez strachu poszarzałymi oczami.

- To Zygmus? - spytała żegnając się a potem żegnając twoje widmo.

- To ja, mamó.

- Wszelki duch Pana Boga chwali.

- To ja, mamó. Wróciłem do was na zawsze.

I objąłeś ją ciepłą jak w dzieciństwie, ciepłą jak w pamięci, a ona zaczęła cicho płakać.

- Mamó, dlaczego jesteście w żałobie?

- Bo ty umarłeś synku. Ciebie już nie ma między żywymi.

Zapłakało dziecko na rękach Albertyny. Jęła je kołysać monotonnym ruchem. Rozalka stała pod piecem z dziko wytrzeszczonymi oczami.

A tobie zachciało się raptem śmiać, śmiać, śmiać się wesoło i niefrasobliwie jak kiedyś, jak dawno temu, jak w zapomnianym już dzieciństwie.

- Mamó, ja wróciłem. Wróciłem do powstania - powiedziałeś szeptem.

Wtedy one zbliżyły się z powolną ostrożnością do ciebie, jęły dotykać chłodnymi palcami twojej twarzy, włosów, szorstkiego sukna czamary. Dziecko na rękach Albertyny zagadało bełkotliwie przez ły. I ja tak wracałem jak ty w owej chwili i ja tak wracam teraz w jesiennych nocach albo w gorączce coraz częstszych chorób zimowych.

Ja również pamiętam tę kuchnię z ogromnym piecem bielonym, w którym można upiec dziesięć bochenków chleba albo ugotować strawę dla tłumu głodnych. Pamiętam ten stary kredens, co rozdzielał kuchnię na dwie połowy i pamiętam to wyrko za kredensem, na którym ty, a może także ja, na którym my obaj śniliśmy o niezwykłym naszym życiu, o naszym olśniewającym losie, o naszym wyjątkowym przeznaczeniu.

Później siadłeś do stołu, a one, czarne niewolnice, znosiły przysmaki chowane na szczególną okazję, która zazwyczaj nigdy się nie zdarza.

- Matko, siostrzyczki, widziałem wieczne śniegi i nieustające lato, przeszedłem tysiące kilometrów i przeżyłem tysiące złych dni, znałem przyjaźni oraz nienawiści, już wiem do końca życia co dobro a co zło. Mamu, teraz my rozpoczynamy wielkie powstanie.

- Cśś, cicho, dziecinka - szepnęła matka zasłaniając szczelniej okno, za którym mógł stać milczący, cierpliwy szpieg.

I rozparłeś się za stołem jak stary żołnierz i opowiadałeś o wielkim świecie, o wielkim wszechświecie Europy, która podnosi pięść przeciwko Moskwie.

- Słyszaleś, - Zygma, dzwony przed wieczorem? - spytała Albertyna. - Błły, braciszku, na Anioł Pański za twoją duszę.

- Przecież ja żyję, siostrzyczki. Przyszedłem z ziemi włoskiej do polskiej.

Wtedy ulicą obok kościoła świętej Katarzyny przeleciała kibitka. Słuchaliście okrutnego skowytu brazgunów, który zacichał między domami i nie mógł długo zacichnąć.

- Cśś, cicho, dziecinka - jeszcze raz szepnęła matka, a ty dopiero teraz spostrzegłeś jej białozielonkawę włosy i oczy, w których już była daleka dal.

Rozalka podsunęła do światła strzęp starej gazety.

- Spójrz, Zygmata, tu wydrukowali twoje imię i nazwisko. Że zginąłeś pod Grochowiskami w partii generała Langiewicza. Dziś odbyły się msze święte w kościołach za twoją duszę. Całe miasto modli się o wieczny odpoczynek.

- To Moskale chcieliby nas wszystkich pochować.

- Cśś, cicho, ktoś chodzi w sieni.

- Jutro, pojutrze, za tydzień powstanie cała Litwa.

Wtedy odezwały się kotły i trąby gdzieś w dole, nad brzegiem Wilii. Przerażający, obcy zgiełk wojskowego capstrzyku budził i ostrzegał usypiające miasto.

Ukradkiem wpadł ktoś z przyjaciół z patriotyczną nowiną, jakaś sąsiadka zajrzała prosząc o drobną pożyczkę i tak rósł konspiracyjny krąg twoich admiratorów, którzy w tę niespokojną noc wiosenną podziwiali dwudziestotrzyletniego herosa, wysłannika wolności.

A potem przyszła chwila rozstania, rozejścia się na krótką chwilę śmiertelnego niebezpieczeństwa albo może na wieczne zawsze. Wszyscy zgromadzeni płakali i ty płakałeś, matka żegnała cię starym krucyfiksami przywiezionym do miasta z rodzinnych Bałwaniszek, ty pomyślałeś sobie zapewne, że tak ruszał kiedyś Byron po śmierć i po sławę, ale nie wiedziałeś, że wiele jeszcze pokoleń dwudziestoletnich w ten sposób będzie żegnać swój dom rodzinny i że ja także grudniowej nocy z tym samym posłaniem pójdę ośnieżonymi drogami polnymi, pójdę osiemdziesiąt lat po tobie spełnić swój dwuznaczny i nigdy nie dokończony los.

Więc wyszedłeś z domu i nikt cię nie odprowadzał w obawie przed szpiegami. Odwróciłeś się raz i drugi, żeby pożegnać ten dom stary i pokraczny, dom na pewno podobny do mego, dom sierocy, dom cudzy, co na zawsze zostanie w pamięci jak gniazdo.

Na ulicach było pusto, z rzadka pokazywał się przechodzień z lartarką, widać upoważniony do nocnego ruchu. W gęstym jak dym mroku przemknęła półsotnia Kozaków klekocząc skórzanymi pochwami szaszek o kościste boki końskie. Za niewidocznym narożnikiem esaul gwizdnął przeraźliwie na palcach i półsotnia przeszła w cwał. W niektórych oknach pokazywały się ukradkiem ciemne głowy kobiet. Miasto udawało sen czekając w napięciu na znak. Na pierwszy znak wolności.

Potem skręciłeś w ulicę Subocz, niziutką, biedną, z wiecznym błotem po kolana. Minąłeś barokowe widmo kościoła Misjonarzy i uliczka stała się raptem wiejską drogą, przy której stróżowały skamieniałe w niespokojnym oczekiwaniu stare drzewa.

Droga rozwidliła się przy krzyżu i poszedłeś tak jak ja zawsze chodziłem i poszedłeś lewą odnogą, co opuszczała się nad brzeg Wilenki. A wtedy pokazał się wielki księżyc z cieniami rysów dobroduszej fizjonomii albo może brzegami lądów i oceanów, księżyc - próg nieba. A księżyc w tamtych czasach świecił rzęsiście, świecił jak powinien świecić księżyc, bo wówczas nie zatarły się jeszcze granice i lato różniło się od zimy, płeć od płci, życie od śmierci.

W Markuciach, starodawnej wiosce, która i za mojej pamięci była starodawnym siołem, obszczeły cię psy, ciepła fala powietrza przyniosła zapach maciejki, skrzypnął gdzieś źle zamocowany żuraw studzienny, i zobaczyłeś nasyp kolejowy, nasyp jeszcze nie uleżały, jasny niczym skóra ludzka, skąpo porośły trawami jak włosiem. I odezwało się dudnienie od Puskarni, jakby się tam rodziło coś nadprzyrodzonego, rósł huk wypełniony łoskotem i nadpłynął w jeziorze pary rzygający iskrami oraz ogniem wielki kadłub pociągu jak złowrogi okręt. To pociąg petersburski wiozł nienawistnych ludzi i złe nowiny.

- Jeszcze Polska nie zginęła! - krzyknąłeś raptem w głąb pustej doliny, która potem była moim szczęśliwym wszechświatem. Ten krzyk szepił się z łoskotem żeliwnych kół wagonów i potoczył się w stronę miasta, niezapomnianego Czortowgorodu.

Zbiegłeś stromymi łąkami ku rzece, która tymczasem odeszła ku wzgórzom rozległym, gdzie rosły stare dęby pamiętające jeszcze litewską dynastię Giedyminów. A było jasno jak w pochmurny, mglisty dzień jesienny. I zdało ci się, że widzisz stare wiedźmy zgarbione pod workami, co szukają tajemnych ziół w rosistych trawach.

Za drewnianym mostkiem spinającym piaszczyste brzegi Wilenki garbił się na zboczu folwark Tupaciszki. Ledwie wszedłeś w cień ogromnych topoli, usłyszałeś suchy terkot grzechotki stróża.

- Wiżu ciebia, wiżu ciebia! - ktoś zawołał starczym głosem.

- Kogo Bóg prowadzi?

- Do pana dziedzica. Do pana Józefa Sulistrowskiego - odpowiedział machinalnie w tym samym rytmie.

Wylał skądś dziad z okopconą latarką i z dębowym kijem. Przyjrzał się twojej czamarze, juchtowym butom i już o nic nie pytając poprowadził do dworu niewiele większego od chłopskiej chaty. Bielone ściany fosforyzowały trupim światłem księżycy. Okna zasłonięto drewnianymi okiennicami, w których widniały czarne niewielkie otwory strzelnicze jak w dawnych warowniach kresowych.

Stróż zaszedł dwór od tyłu, stukał kijem w węgiel, wołał coś śpieszno płaczącym głosem. Wreszcie sypnęło skąpo czerwonawą poświatą ze szpar okiennicznych, zadźwięczały gościnnie żelazne sztaby i na ganek wyszedł ze świecą wysoki mężczyzna. Otulił się burką przed nocnym mokrym chłodem.

- Kto tu? Kto mnie szuka?

- Jestem Zygmunt Mineyko. Mam polecenia do wielmożnego pana.

- Ach to pan, czekamy od dawna. Proszę zachodzić.

W starym salonie z obwisłym sufitem w chybliwym blasku świecy zobaczyłeś meble spowite pokrowcami ze zgrzebnego płótna. Parę gazet francuskich leżało niedbale na wielkim stole.

- Potrzebuję noża - rzekłeś. - Wnet się panu zarekomenduję.

- Wandziu, podaj nóż! - krzyknął rosły, zuchowaty blondyn

w ciemność sieni.

- Który nóż, Józiu? - zapytał wysoki, melodyjny głos niewieści.

- Byle jaki, złotko, ale ostry.

Weszła dziewczyna w czepcu, który zasłaniał głowę. Ale wiedziałeś, że jest z rasy tych smągłych ciemnowłosych dziewcząt kresowych, których nigdzie indziej na świecie spotkać nie można.

- Wandziu, pozwól, oto pan Mineyko, oficer ze szkoły wojennej w Genui.

A ty ukłoniłeś się, dodając:

- I z dywizji generała Langiewicza.

Rozciąłeś w czamarze gruby szew, wydobyłeś troskliwie zwitek cienkiego papieru. Ona skrzyżowała ciemne ręce na piersiach, przyglądała ci się wielkimi oczami, co na pewno mieniły się barwami mchu, albo wrzосу, bo takie oczy miały te dziewczyny, w których żyłach pulsowała

kwę Lechitów i Litwinów, Karaimów i Tatarów.

Sulistrowski przysunął świecę, czytał długo papier, a w końcu wetknął jego rożek w płomień, Rekomendacja związała się z powrotem w zwęglony rulonik.

- Niechże cię uściskam, panie Zygmuncie - podszedł i objął bratersko. - Głodny jesteś, pragniesz wywczasu?

- Nie, dziękuję. Chciałbym już w tej chwili objąć służbę.

- To mi się podoba. Wandziu, nie stójże bezczynnie. Przynieś naszej ambrozji i jadła.

Ona wybiegła w milczeniu z salonu, a pan Józef obracał cię w niedźwiedzich łapach.

- A dobrze, a wspaniale, podkurzymy teraz Moskala. Litwa to kurhan suchego chrustu, kilka iskier i wybuchnie po żar.

Weszła Wandzia z siną flachą i mięsiwem zwiniętym ręcznikiem. Szykowała zakąskę zerkając ciekawie ku tobie. A ty nie spuszczałeś z niej wzroku i jakiś bezsensowny żal: po raz pierwszy - jak mawiano wtedy - ścisnął cię za serce.

Sulistrowski coś pewnie spostrzegł, bo rzekł jakby z wesołą pogróżką:

- Zalecam ostrożność, panie Zygmuncie. To młoda żonka, a i szynki jeszcze z naszego wesela.

Wtedy odezwał się gdzieś za ścianą daleki strzał karabinowy. Płomień świecy wahał się jak od niedostrzegalnego podmuchu. Nadstawiłeś ucha ścięty raptowną grozą, a Sulistrowski rzekł cicho ruszając w stronę drzwi bokówki:

- Wojna. Tak, to już wojna. Zaraz wygotuję panu nominację. Wandziu, baw pana Zygmunta, ale baw jak młodej mężatce przystoi.

Stróż znowu grzechotał za oknem. Śpiewał godzinki, albo może gadał do rozbudzonych psów. Blask świecy kołysał się na szerniałych od kopia ścianach.

- A pan również żonaty? - spytała Wanda nie podnosząc oczu.

- Ciężko zostawić samą w domu.

- Nie było czasu. Nigdzie miejsca nie zagrzałem długo. Żołnierski los. Może po wojnie, w wolnej ojczyźnie.

- A jaka tu będzie ojczyzna? Różnie ludzie mówią. Może pan wie lepiej?

- Będzie inna, Sprawiedliwa, szlachetna, rozumna. Będzie przykładem dla całej Europy. Powstanie z krwi najlepszych synów.

- Daj Bóg - szepnęła Wanda, a ty spostrzegłeś z raptowną panikę, że pod cienkim płótnem jej kaftanika swobodnie baraszkuje sobie dorodne, wolne piersi, kiedy ona rozstawia kielichy i sączy ich weselną ambrozię.

- Da Bóg, bo Bóg jest z nami - stęknąłeś cichutko, żeby nie płoszyć młodej kobiety. Wydało ci się, że czujesz jej zapach, zapach snu, ziela lubczyku, gwałtownej miłości.

W drzwiach pokazał się Sulistrowski.

- Panie Zygmuncie, a jakie przyjmiesz miano w powstaniu?

Myslałeś już o tym?

- Tak. Niech mi będzie Maciej Borowy, ponieważ z borów wywodzi się moja familia.

Sulistrowski zniknął w bokówce, Wanda krzątała się ciągle jeszcze wokół stołu, choć wszystko już stało gotowe. A ta Wanda była niezwykle podobna do Jaskółki, naszej łączniczki, aresztowanej w 1944 roku, która zaginęła bez wieści, zaginęła bez wieści nim poznała miłość cielesną i ból macierzyństwa, radość z wolności i upokorzenie z niewoli.

Wrócił Sulistrowski, stanął w środku salonu i uroczyście obwieścił podając ci pergamin:

- Oto twoja nominacja na wojskowego naczelnika oszmiańskiego powiatu z woli Wydziału Litewskiego Rządu Narodowego, panie pułkowniku Borowy.

I uściskał cię znowu i pocałował w usta.

- Nie uchybię zaufaniu. Albo wolność, albo śmierć.

- Albo wolność, albo śmierć - powtórzył Sulistrowski: - Wandziu, każ Konstantemu zaprząć do bryczki, do tej z budą.

- Chcecie jechać po nocy? - spytała zdejmując sennym ruchem czepiec, który się przekrzywił na smolistych włosach.

- Po nocy najlepiej - rzekłeś zuchowato. - Spóźniony jestem. Goto wi beze mnie wypędzić Moskala.

Potrząsnęła głową i włosy rozsypały się na ramionach. Wyszła cicho do sieni. Usłyszeliście wtedy jęklive brzęczenie komara, który błądził na granicy blasku i cienia.

- Cóż pułkownika, wypijemy za pomyślność naszej wojennej sprawy.

A potem przyszła chwila pożegnania. Staliście w sieni, Sulistrowski już ubrany do podróży, Wanda drżąca od nocnego chłodu.

- Niech Bóg ma pana w swojej opiece - szepnęła.

Poczułeś szybki zapach mięty i zdumiewające ciepło jej ust. Na moment przytuliła się do ciebie jakby w obrzędowym geście. Tobie zrobiło się raptem gorąco, gorąco i jakby żal czegoś nie znanego. To już drugi raz tej nocy schwyił cię dziwny żal, jakiego dotychczas nie znałeś.

- Pierwszą w życiu całuję niewiastę - szepnąłeś nie wiadomo czemu.

Ona odsunęła się leniwie.

- Znajdziesz swoją po wojnie.

- Jeśli wrócę z wojny.

- Wrócisz, wiem na pewno. Miałam dobry sen, zanim stróż zasnął.

- Zatem do widzenia, pani Wando.

- Do szybkiego zobaczenia, młody pułkownika.

Zacna bryczka osłonięta budą, wygodna jak powozik, kolebała się żywo na wybojach oszmiańskiego traktu. Księżyc stał prawie w zenicie oświetlając seledynowe pola i lasy znieruchomiałe, ucichłe. Konie szły stępą, czasem podrywały się do krótkiego klusa, gdy wjechaliście na szczyt piaszczystego wzgórza. Konstanty budził je lejcami, kiedy zbierało się im na drzemkę w ciasnych wąwozach puszczańskich. To była noc lunatyków i pradawnych upiorów, co o takiej porze wyłażą z rojstów.

- Panie Józefie - obudziłeś się raptem.

Sulistrowski ocknął się gwałtownie, wkładając rękę pod ławkę bryczki, gdzie miał zapewne coś ukrytego.

- Co, co, patrol widzisz Konstanty?

- Nie widza patrolu, ale widza, że koni słabno - mruknął staruch.

- Ech Konstanty, tobie zawsze koni szkoda. Dla kogo ty je oszczędzasz?

- A dla nikogo - chrypnął zuchwale stangret. - Skaciny żal. Ludzi głupiejo, a żywioła męczy się.

- Panie Józefie - powtórzyłeś - słucham tej nocy dziwnej, lykam to nasze powietrze i jakaś taka moc we mnie wstępuje. Będzie Polska, panie Józefie.

- Na początek otrzymasz czterystu ochotników. Przyjdą za dzień, dwa na umówiony punkt. Po tygodniu będziesz miał w dwójnasób. Cała młodzież kryje się po starych folwarczkach, po zaściankach, po lasach. Wszyscy czekają na znak.

- Chwała Bogu, panie Józefie. Jak obejrzę się wstecz, jak popatrzę, ile kilometrów trzeba było przebyć, ile chłodu, głodu i chorób znieść, ile ludzkiej pomocy wyżebrać, wtedy myślę, że warto to było takiej chwili.

- Rusz lejcami, Konstanty. A jak to wyszło z generałem Langiewiczem? Różnie ludzie bają i nikt prawdy dojść nie może. Powiedzcie mi w zaufaniu, panie Zygmuncie?

Ty milczałeś długą chwilę.

- Po wygraniu dwóch bitew pod Chrobrzem i Grochowiskami z niepojętych przyczyn przeszedł austriacki kordon i złożył broń.

- Czy tak u nas zawsze być musi? Żołnierz walczy krwawo, a wodzowie oddają zwycięstwa.

- Teraz wodzów będziemy mieli młodych, innej szkoły dowódców. Jak poczujemy w garści broń, nikt jej nam nie wydrze.

- Tak nam dopomóż Bóg - szepnął Sulistrowski.

A ty wetknąłeś dłoń za pazuchę i pomacałeś ten papier, który cię czynił dyktatorem rodzinnego powiatu. Księżyc nie wiadomo kiedy zaszedł i zrobiło się ciemno choć oko wykol. Konie zwolniły kroku. Szły z głowami nisko opuszczonymi nad koleiną drogi i prychały raz po raz. Ale w tejże samej chwili zaczął przed wami jaśnieć niewidoczny dotychczas horyzont.

- Ach Polska, Polska, wysniona, wymodlona, wycierpiana - westchnąłeś - już cię prawie widać, jak wychodzisz z mgieł, z mroku nocy, z cmentarza narodów.

Odezwały się psy pod zzieleniałym horyzontem. Konstanty wstrzymał konie.

- Oszmiana. Pojedziem mimo, czy na wskroś?

- Jedź przez miasteczko. Będzie szybciej.

Bryczka wtoczyła się między kurne chaty przedmieścia. Konie, jakby czując niebezpieczeństwo, przestały prychać, stąpały cicho po piaszczystym garbie między koleinami.

- Poznajesz? - szepnęła Sulistrowski.

- Nic a nic. W nocy wszystko podobne do siebie.

Odprowadzeni ujadaniem rozbudzonych psów przetoczyliście się wśród czarnych wrogich domów. I nagle konie z ulgą poszły w kłus. Zaśpiewał skwapliwej piasek osypujący się z obręczy kół.

- Ruskie mają mocny sen - rzekł ni to z podziwem ni to z kpina weselszy odrobinę stangret.

- Niech się wyśpią. Przed nimi daleka droga do domu - odezwał się skrzepiony nagłą radością.

- Bierz, Konstanty, na Wołożyn i nie żałuj koni. W smolarni będzie czekać sztafeta. Dowiemy się, jakie jest położenie naszego pułkownika.

Zaczęły się lasy, zaczęła się puszcza, co szła szeroko na południe zlewając się za Niemnem z Puszczą Białowieską. A tobie się zdało, że wjeżdżasz w swoje odwieczne królestwo, którego jesteś surowym i sprawiedliwym władcą.

- Zgłodniałeś, panie Zygmuncie? - spytał Sulistrowski.

- Nie. Wcale nie mam apetytu. Do żołnierzy, do moich żołnierzy tylko mi śpieszno.

- No nic. Zjemy w smolarni. Konie trochę odpoczną.

Wstawał dzień. Z brzegów budy kapwały rzadkie, czerwone krople. W gąszczu leśnym odezwały się ptaki. Resztką nocnych obióków odpłynęła za horyzont na dzienny spoczynek.

- Będziesz rewolucję robił, jak was uczył Garibaldi? - odezwał się znowu Sulistrowski.

- Ja jestem żołnierzem. Najpierw trzeba uwolnić kraj - rzekłeś ostrożnie.

Sulistrowski przyjrzał ci się spod oka, ale nic nie powiedział.

Potem, już za dnia, zjechaliście z szerokiej drogi i zagłębiliście się w stary las, pomury, zatłoczony paprociami ponad wzrost dorodnego mężczyzny. Tu i ptaki umilkły. Górą tylko, w mrocznych koronach drzew, dyszał astmatycznie gorący wiatr. Brzeczka brzęczała rzęsiście żelastwem podskakując na prastarych, wielkich jak kłody korzeniach odwiecznych świerków. Wreszcie pokazała się nieduża i zapomniana już chyba poręba. Zobaczyliście kurną chatkę bez okien i osmolony kopciem piec do wypalania węgla.

- Prrr - Konstanty zatrzymał bryczkę, zeskoczył z kozia i jął wtykać dłonie pod podsiedziaki, badając, czy konie nie odparzone. Mruczał do siebie w niezrozumiałym języku.

Wtedy zza chaty wyszedł stary chłop w brudnej koszuli do kolan i z grabiami w rękę, jakby wracał od siana. Ukłonił się nisko baranią wyrudziłą czapką.

- Niech będzie pochwalony, czy nie do Bałwaniszek pan dziedzic jedzie na fest?

Sulistrowski uściśnął mu rękę poufale i wskazał ciebie:

- Otóż to jest wasz naczelnik powstańczy, pułkownik Maciej Borowy.

A stary przyglądał ci się pilnie, mrugał wyblakłymi oczami, wreszcie pokazał w uśmiechu sinawe dziąsła z jednym czarnym zębem i raptem padł na kolana, chcąc cię podjąć za nogi.

- Paniczu kochanieńki, a my tu się modlimy za ciebie już całą oktawę. To ty żyjesz, biedny?

Wziąłeś go pod pachy, uniosłeś wysoko nieciężkie ciało i ucałowałeś w poryte policzki woniejące tabaką.

- Widzę, że sztafeta jest ci znajoma, panie Zygmuncie? - zdziwił się Sulistrowski.

- A jakie, na rękach swoich nosiłem pana pułkownika - chwalił się stary. - Ekonomowałem u świętej pamięci ojca pana pułkownika.

- To dobry znak, to więcej niż dobry znak - rzekł Sulistrowski wyjmując kosz z jedzeniem.

Siedliście na czarnym pniaku. Stary Jan rozrywał uważnie włóknistą pieczęć patrząc uporczywie na ścianę lasu. Skądś zjawily się wróble.

które pamiętały jeszcze ludzką obecność w tym pustkowiu.

- Wypijemy za rychłe zwycięstwo? - spytał Sulistrowski wręczając podróżne pucharki. Stary ostrożnie odstawił swój kielich na żywiczny pień.

- Czemu milczysz, panie Janie - zachęcał Sulistrowski. - Wypij co rychlej i mów, kiedy przyjdzie nasze wojsko.

Stary przeżuł z wysiłkiem oporny kęs.

- Na razie nie ma wojska - powiedział patrząc ciągle w las.

- Jak to nie ma wojska? - Sulistrowski zerwał się na równe nogi.

- A gdzie obiecanych na początek czterystu ochotników?

- Byli, panie, ale się rozeszli. Bo to siano trzeba kosić, rzepak dojrzewa, dużo roboty, panie, w polu. No to i poszli.

- Nie może być! - krzyczał Sulistrowski bliski apopleksji. - Kto ich śmiał rozpuścić?

- Ochota najpierw była wielka. O, panie, dużo ludzi przyszło, Co broni przynieśli. A jak się rwali na Kozaków. Nie można powiedzieć. Ale czekali, czekali, żaden naczelnik nie przyjeżdżał, no to i rozeszli się do domów.

- Nikt nie został, nie poczekał, jak się rozwinie sytuacja?

- spytałeś z zacisniętego gardła.

Stary przeniósł wzrok na ciebie, patrzył chwilę, a w tym patrzeniu jakoś miękł powoli.

- A został jeden oddział. Poczekał. Jutro przyjdzie na umówione miejsce.

- Dużo ludzi? - spytałeś słysząc własne serce.

- Ja nie liczył. Będzie ze dwadzieścia - trzydzieści młodzieży.

- Panie Józefie, słyszy pan?

Sulistrowski pakował już śpiesznie swój koszyk.

- Szkoda czasu, panie Janie. Ruszaj ze sztafetą. Niech wszyscy przytomni chwytają broń i jutro o świcie stawiają się na Królewskiej Górcze, wiesz, panie Janie, koło tych rozstajów przed Rosoliszkami.

- Wiem, wiem - mruczał stary szukając swoich grabi. Potem namyślał się przez chwilę, wreszcie rzekł unosząc baranią czapę.

- A mnie się widzi, że teraz to ruszą wszyscy. Jak tylko się dowiedzą, że wychowaniec szkoły genueńskiej został naczelnikiem, to pój-

dą do powstania, dlaczego mieliby nie pójść - przekonywał sam siebie.

- Musowo przyjdą o świcie.

Ty pomyślałeś sobie w owej chwili, że ten starzec pociesza ciebie i Sulistrowskiego, choć sam nie wierzy w swoją pociechę.

- Konstanty, zakładaj konie! - krzyczał pan Józef. - A to huncwoty, a to psiekrwie, taka ich kobyła mać. Słomiany ogień, polski słomiany ogień. Zachciało się im do domów. Powojowali już dostatecznie. Daj ty im dobrą szkołę, panie pułkowniku, dobrą gmuieńską szkołę, żeby Garibaldi śnił im się po nocach.

- Zajeździ konie - mruczał Konstanty. - I koni nie będzie i tej ich Polski nie będzie.

Jan zniknął. Rozglądaliście się po karczowisku, ale wszędzie było cicho i spokojnie, żadna trawa nie drgnęła, wróble także zamilkły rozkradłszy resztę okruchów.

- Panie Józefie, czy może to być? - spytałeś zeschłymi ustami.

- Jedźmy, szkoda czasu. Wiesz, jaki u nas naród. Zbiegli się z ochotą i z ochotą poszli do domów. Teraz znowu przyjdą. Na razie może nie czterystu, może trzystu, może najmarniej dwustu, ale będziesz miał swoją partię, podniesiesz z kolan cały sławny powiat oszmiański i uderzysz na Moskała. Konstanty, dosyć tej mitręgi.

Wskoczyliście do ochłodzonej brzozy. Sulistrowski spuścił niecierpliwie budę, jakby odkrywał przyłbicę, cmoknął na konie, bo Konstanty na koźle apatycznie rozglądał się za biczem.

- Sam początek był już taki - powiedziałeś cicho.

- O czym mówisz, pułkowniku?

- Przypomniałem sobie Grochowiska. Nie wyzyskanego zwycięstwa smutne następstwa.

- A wstyd głowę opuszczać. Widać nie trafiły ci się niepowodzenia w tak krótkim życiu.

- O, panie Józefie, dużo było, aż nad miarę. Ale parłem w stronę Litwy, wdzieralem się przez tyle miesięcy jak na goły słup sosnowy. Wszystko temu poświęciłem, wszystko, co może młody mężczyzna poświęcić.

- I dobrze, pułkowniku, ojczyzna ci tego nie zapomni.

Konstanty obejrzał się i rzekł jakby w piasek mielonej kołami drogi:

- Każdy rząd taki sam. Prostemu człowiekowi wszystko równo.
- Przecież ty jesteś Polak, Konstanty. Nie czujesz w sobie polskiej duszy?

Stangret zaciął biczem przydrożną rosochatą paproć.

- Ja człowiek tutejszy.

I przeżegnał się znieca.

W południe dojechali do umówionych rozstajów, gdzie dziwnym trafem rosły trzy stare topole szczepione ze sobą dziurawymi pniami. Konstanty natychmiast zawiesił koniom u pysków worki z obrokiem. Zeskoczyliście na gruby, soczysty mech, który zabił słabo rozjeżdżoną drogę. W mokrym cieniu boru odezwała się kukułka. Mimo woli liczyliście jej nieśpieszne, pełne zastanowienia kukanie.

- Byłbym zapomniał - westchnął Sulistrowski, wracając do bryczki. Wymacał coś pod siedzeniem, jakieś zawiniątko ze zgrzebnego płótna. Rozwinął je ostrożnie i w obu dłoniach niczym poczęstunek podał ci nowy, łykający czarno rewolwer bębenny. - To masz ode mnie. Niech ci dobrze służy.

Wsadziłeś broń za poję czamarki. Śliski chłód przyłgnął do kieszulki. Sulistrowski zacierał dłoń uśmiechając się niepewnie.

- Głowa do góry, pułkowniku. Jutro będziesz miał partię. Będziesz wodzem.

- Daj Bóg.

- No mówię ci, że wszystko się ułoży. Będzie Polska, panie Zygmuncie - i objął cię i uściskał jakby zanadto, kby trawiony niejasnymi wyrzutami sumienia.

Potem wsiadł śpiesznie do bryczki, a Konstanty z nagłą ochotą zaciął zmęczone konie. Powoził nawrócił skrzypiąc rozeschniętym drzewem i jął toczyć się z powrotem w stronę Oszmiany, w stronę Czartowogrodu, w stronę dawnego życia, cona zawsze już zostało za tobą. Sulistrowski ani razu nie obejrzał się, choć kusiło go, żeby przynajmniej spojrzeć ukradkiem za siebie w to miejsce, gdzie stałeś z opuszczonymi rękami pod trójpiennym drzewem szepczącym pogańskie pacierze.

A przed tobą, tak jak i przede mną pół wieku później, była już tylko niewiadoma, tajemnicza, majestatyczna przyszłość. Był twój los nieodgadniony i była gogota ojczyzny. Było gorące, duszne spodziewanie się, było podniosłe, strzeliste przecucie. Miałeś dwadzieścia trzy lata. Byłeś starszy ode mnie o pięć lat i młodszy o osiemdziesiąt.

Wszedłeś w klin lasu obramiony rozstrajnymi drogami. Położyłeś się na wydmie borówkowego gąszczu. Patrzyłeś w niebo między czarnymi konarami świerków, niebo już swoje własne, litewskie, a tak podobne do obcego petersburskiego i nieswojego włoskiego.

Pragnę przypomnieć sobie, o czym ja myślałem w podobnej chwili. Chcę odtworzyć ten nastrój i to samopoczucie i owe rojenia z cudownej pory młodości, może nie tyle cudownej, co raczej biologicznej, pulsującej, rześkiej, lekkiej, nie obciążonej ciężarem doświadczeń, nie zatrutej rozczarowaniami, nie znarkotyzowanej zniechęceniem, młodości, co przeszła gwałtownie jak wiosenna burza.

O czym myśleliśmy na tym niewidzialnym progu czasu? O sobie? O Polsce? Ja już niewiele pamiętam i nie umiem przywołać z umarłej albo raczej zastygłej na wieki przeszłości tych mgieł niepojętego samozachwytu i pokory, zuchwałości i lęku, chciwej nadziei i lekkomyślnej niepewności. Nie umiem także przypomnieć sobie owej Polski, którą nosiliśmy w sobie jak przejmujący ból pierwszego skurczu naczyń wieńcowych. Polski bezcielesnej, Polski - hipnotyzującego widma.

A tu dookoła stał dzień puszczański. To znaczy nie stał, lecz bardzo powoli, prawie niezauważalnie mijał, szedł bezszelestnie odwiecznymi lasami na zachód ciągnąc za sobą mokre brzemie nocy. Ale jeszcze pełno było światła, zgęstniałego, przesyconego żywicą. I słyszałeś ruch leniwy puszczy pomiędzy długimi pauzami strasznej, bezdennej ciszy. Kołatał gdzieś dziesięć, jęczał bąk uwikłany w płataninie kwiatów, skradał się borsuk, gąbował daniel z uniesionym hardo łbem, trzeszczało drzewo rozłupane przez jesienny huragan, niecierpliwiał się leciutki wiatr zbłąkany w prastarych duktach.

Żułeś chleb upieczony z żyta zmielonego w żarnach. Ssałeś słodkie ułamki ziarna myśląc o młodej kobiecie, która pokazała ci się na brzegu minionej nocy. Przypominałeś sobie każdy jej gest poszczególny,

każde skłonienie głowy, każdy uśmiech niedopowiedziany, każdy ruch piersi pod batysem koszuli. I z tych drobnych mgnień kobiecej urody chciałeś ułożyć obraz kobiecego ciała, nagiego ciała, ciała nieznanego jeszcze twoim i moim oczom, nieznanego twoim i moim dłońmi.

I usłyszałeś w sobie jakieś poruszenie. Coś pulsowało, coś się niepokoiło, coś obrzmiewało gorącem. Grzeszne pożądanie siadło okrakiem ziejąc dusznym smrodem wczesnych ziół i przekwitających mchów. Uczepiony oczami czerwonych obłoków kochałeś zajadle, może po raz ostatni, nieznaną kobietę, niespotkaną dziewczynę, nieistniejącą kochankę.

Potem przyszła noc. Noc młodego wodza przed wielką, niewiadomą bitwą. Zacisnąwszy dłoń na rękojeści pistoletu chodziłeś tam i z powrotem wśród ucichłych drzew. W górze był wielki ruch milionów gwiazd. Pozdrowiała cię twoja ojczysta Droga Mleczna a ty myślałeś, że patrzy na ciebie wszechświat niewidzącymi oczami Boga.

Wreszcie przed brzaskiem dobiegł twoich uszu daleki turkot wozu i jakby odgłos ostrożnych stapań ludzkich. Odbezpieczyłeś pistolet, podczołgałeś się do tych trzech topoli, co zamilkły schylone nad swoją tajemnicą.

Wkrótce zamajaczyły końskie lby świecące fosforyzująco ślepiami.

- Stój, kto idzie?

- Swój - odpowiedziano. - Orzeł biały powstał.

- Z Pogonią i Archaniołem na wieki - wyrzekłeś zachryple odzew.

Podszedł wysoki mężczyzna z dubeltówką przewieszoną przez plecy.

- Mokryś jestem. Przyprowaździłem dwudziestu ośmiu ochotników.

- A inni?

- Inni nadejdą za dzień, za dwa.

- Inni nadejdą później - powtórzyłeś.

Jeden z ochotników, znający puszczę, zaprowadził was na niedaleką polanę, wielką łąkę przeciętą mroczną rzeczką. Rozłożyliście się obozem w cieniu ogromnych dębów, co stróżowały na skraju łąki wysokich dzikich traw. Już pierwsi ochotnicy zrzucili ubrania i skoczyli do ciemnego nurtu nienazwanej rzeczki. Odezwał się basowy głos rozbijanej

nogami wody. Wesołe wrzaski młodych ludzi odbiły się echem w niebieskawej ścianie nieruchomej puszczy.

- Mości pułkowniku - rzekł Mokrys. - Oto sakiewka z należnym żołdem, który wypłacisz w odpowiedniej chwili. A tu masz szablę zacną, bo widzę, że ci się przyda.

Ucałowałeś rękojęść wyświeconą od dłoni pokoleń żołnierskich. Przytroczyłeś szablę do pasa, który spinał powstańczą czamarę.

- Nie omieszkałam połączyć się z twoją partią, pułkowniku - dodał Mokrys. - Za tydzień, za dwa spodziewaj się mnie w oddziałach.

- Więc pan odchodzisz?

- Sprawy organizacyjne zatrzymują na razie. Ale już niedługo. Stawię się, żeby spełnić swoją powinność.

Stado żurawi siadało w mokradłach po drugiej stronie rzeki.

- Mam własny oddział - powiedział sam do siebie.

- Tak, masz już swoje wojsko. Możesz zaczynać w imię boże - rzekł cicho Mokrys.

I on, podobnie jak Sulistrowski, objął cię po bratersku, ucałował w oba policzki, a ty pomyślałeś sobie z nagłym lękiem, że chyba już za dużo tych ceremonii, że zbyt długo przedłuża rytuał wypowiedzenia wojny.

- Na mnie już czas - odezwał się znowu Mokrys patrząc w niebo, na którym nic nie było. - Bywaj zdrów, pułkowniku Borowy, i do rychłego zobaczenia.

Wskoczył na linijkę obciążoną popękany juchtem, ruszył szparok między krzaki leszczyny, gdzie została droga, trakt wiodący w głąb puszczańskiego kraju. A ty bezmyślnie potrząsnąłeś nowiutką, pięknie przez kogoś wyszytą sakiewką, w której zabrzęczały ruble zbierane przez nieznaną ludzi na Polskę, na zmartwychwstanie ojczyzny.

Potem zarządziłeś zbiórkę. Zgromadziłeś swoje wojsko ubrane pstrokato, uzbrojone jak do polowania. I nie było między nimi kosynierów, chłopów uzbrojonych w kosy sposobne do klucia w walce wręcz.

- Obiecywano chłopów z kosami - rzekłeś z wyrzutem.

Ale nierówny dwuszereg milczał. Więc przeszedłeś wzdłuż frontu lustrując oddziałek. Jedna twarz wydała ci się znajoma.

- Jak się nazywasz, żołnierzu?

Ciemnolicy młody człowiek wahał się przez moment, a następnie szepnął prawie konfidencjonalnie:

- Chaim Karnowski.
- Jesteś Izraelitą?
- Nie, Polakiem wyznania mojżeszowego.

Był bez broni. W obu dłoniach ścisnął mocny, dębowy kij srogo okuty.

- Ja też poznałem pana pułkownika - dodał po chwili.
- A skąd mnie pamiętasz?
- Biliśmy się pod bóżnicą, jak pan pułkownik był jeszcze gimnazjalistą.
- Staraj się, to mianuję ciebie podoficerem.

Później jąłeś uczyć musztry tych dwudziestu ośmiu nowicjuszy, mordowałeś ich zajadłe przez cztery godziny, aż wreszcie można już było rozróżnić tych pojętniejszych, sposobnych do wojennego rzemiosła, których mianujesz oficerami przyszłych kompanii i batalionów.

Rozstawiłeś pikietę wokół obozowiska przepełnionego śpiewem słowików, bo tego roku i słowiki odczuwały jakiś niepokój, ich trele słyszało się nie tylko podczas krótkiej nocy ale i za dnia, w upalne senne popołudnia. Reszta młodziutkich żołnierzy zbudowała sprawnie piec polowy, już pieczono w nim smakowity chleb z mąki przywiezionej w taborze.

Zapach świeżego chleba, odwieczna woń spokojności domowej, snuł się nad łąką polany, zaintrygowane dzikie ptaki unosiły głowy znad bagien, przymykały bielmem powieki połyskliwe oczy i wyglądało, jakby rozkoszowały się gorącym swądem mokrego jeszcze pieca.

A ty rozsiadłeś się pod dębami, zacząłeś szkicować plany zamocowań bagnatów do łuf szlacheckich dubeltówek. Bo kiedy zabrakło kos, trzeba było wymyślić zastępczą broń sieczną, która powstrzymałaby ataki Moskali. I czułeś się wtedy dwudziestotrzyletnim ojcem tej gromadki rówieśników, tak jak ja czułem się ojcem pięćdziesięcioletnich chłopców białoruskich. I ja przeżywałem te emocje wodzowskie, te uniesienia dominacji, te radości inicjującego się czynu.

Słońce zmierzało już ku zachodniej ścianie puszczy. Ci sposobniejsi, co mieli zostać oficerami, samorzutnie wznowili musztrę młodzieży.

Słuchałeś w przejmującym zadziwieniu tych polskich komend, a las stał milczaco, jakby z niedowierzaniem przyglądając się rodzinom czegoś zapomnianego, przekłętego, wzbronionego na zawsze.

Wtedy nadbiegł patrol prowadząc dziada w lnianej koszuli i lnianych gatkach, z pustawym brudnym workiem i sękatym kosturem. Dziad był bez wieku. Pod splewiałymi kudłami, które szczelnie opadały na czoło, na poźótkie wąsy i nigdy nie strzyżoną brodę, pod tym zarostem kryć się mógł zarówno mężczyzna trzydziestoletni jak i sędziwy starzec koło pięćdziesiątki. Patrzył z beznamiętnym spokojem wyblakłymi oczami nieczuły na energiczne poszturchiwania konwoju.

- Szpiega złapałim, panie pułkowniku - meldował wyrostek w starej zimowej bekieszy.

- Obchodził kołem nasz obóz.

- Podpatrywał przez chruśniak - oskarżali inni.

Dziad pocierał brudną, bosą stopą łydkę drugiej nogi i milczał krnąbrnie.

- Przeprowadziliście rewizję?

- Tak jest, panie pułkowniku. Ale okrom starego chleba w worku nie ma. Nawet szkaplerza.

Zmierzyliście się wzrokiem. On patrzył na ciebie jakby z tamtego świata. I powściągliwa jego ciekawość była niezemska.

- Kto ty jesteś? - zapytałeś w końcu.

- Człowiek.

- Ale jak cię zowią?

- A . na co mnie imię? Czy ja majątność posiadam, czy ludźmi rządę, czy dążenie jakoweś przejawiam? Na co mnie, prostemu, miano? Nawet przezwiska Bóg poskapił.

- Czego tu szukasz?

- Wody z rzeczki chciałem się napić. Woda tu jak lekarstwo, babczcie, jak mieni się w słońcu. Ta woda żywoię i ludzi ozdrowia.

- Obrotny jesteś w mowie.

Dziad wzruszył ramionami i to był pierwszy gest w jego nieruchomości, ale gest niedziadowski, gest odrobinę salonowy.

- Różnych ludzi spotykam w drodze, a z każdym człowiekiem słowo boże mus wymienić.

Ten miokos w bekieszy wysunął się gniewnie do przodu.

- On breszy, panie pułkowniku. Moskale wszędzie szpiegów poroz-syiali. Teraz więcej szpiegów jak ludzi. Dla nich gałąź dębowa i wszystko.

Dziad przeniósł na niego swoje nieżywe oczy.

- A kto wam dał prawo ludzi zabijać?

- My jesteśmy powstańcy - rzekłeś wtedy.

- Lewiatan rozpostarł skrzydła ze szponami dzikimi i okrył całą ziemię. Ty, naczelniku, przyszedłeś tu z daleka i wrócisz do dalekich krajów, gdzie słońce nigdy nie zachodzi. Ziemskie wasze sprawy to pył, proch, marność.

- Za jałmużną chodzisz, człowiecze?

- To mój mus. Całe życie chodzę i do śmierci chodzić będę.

- A jeśli oddam cię pod sąd? Ty wiesz, że cały kraj podnosi się przeciwko Moskwie?

- Gosudarstwa podnoszą się i upadają. Człowiek jest na podobieństwo Pana Boga. Człowiek to ptaszka wolna.

Powstańcy patrzyli na ciebie z niecierpliwym napięciem oczekując wyroku. Dziad wydobyl spieczoną skórkę od chleba i zaczął ją żuć beztrósko. Patrzył ciekawie na słońce, które roztopiało się już w czerwieni u zachodniego skraju nieba.

- Nie znaleźliśmy przy tobie dowodów na to, że jesteś szpiegiem. Ale ponieważ mógłbyś nas mimo woli zdradzić, gdybyśmy cię puścili wolno, zatem rozkazuje ci zostać w naszym obozie aż do momentu, kiedy stąd odejdziemy. Zrozumiałeś?

- Mogę zostać, dlaczego nie? Pośpiję, do zimy daleko, do śmierci nie blisko.

Związał swój worek i odszedł w stronę rzeczki. Siadł nieopodal pieca, jęł się kiwać odmawiając zapewne pacierze.

- To starowier, panie pułkowniku - rzekł cicho chłopak w bekieszy.

- Prędzej jakiś opętany - powątpiewał dowódca pikietu uzbrojony w angielski sztucer.

- Kto by nie był, idzie swoją drogą. Ale żeby nie kusić losu, miejcie go na oku.

Potem przyszia noc. Dział śpiewał albo jęczał aż do brzasku. Nikt nie potrafił go uciszyć. Potem wrócił dzień. Żołnierze ćwiczyli musztrę, lecz teraz już z mniejszym zapalem. Następnej nocy dziad znowu śpiewał, a śpiew dziwny jakby coś zwiastował niedobrego, jakby zapowiadał nieszczęście. Ten i ów trącił go kolbą dubeltówki, albo przejechał harapem po grzbiecie. Ale nic to nie pomagało. Dziad skowyczał niestrudzenie w tym samym miejscu nad rzeczką, obok pieca, w którym nikt już nie piekł chleba, bo skończyła się mąka.

Karnowski zbliżył się do ciebie i stanął z szacunkiem obok pękniętego pnia dębowego. Powstańcy drzemali w krzakach. Nikomu się już nie chciało musztrować.

- On nosi ze sobą nieszczęście - szepnął Karnowski odwracając głowę.

- Nie mogę go uwolnić. Co nam sądzone, to i będzie.

- Co sądzone, to i będzie - zgodził się karnowski.

Milczeliście chwilę obserwując krzątanicę barwnych motyli, które nawiedzały przejrzwające już kwiaty.

- Co byś zrobił, Karnowski, na moim miejscu? - zapytałeś nieoczekiwanie.

- Mnie nikt nie wyznaczyłby na pana miejsce.

- Całe swoje życie postawiłem na tę jedną kartę. Przecież niepodobna rozpoczynać wojny z dwudziestu kilku rekrutami.

- Może nadejdą jeszcze posiłki, panie pułkowniku.

- Ale może nie nadejdą, jeśli dotąd nie nadeszły.

- Ja nie mam gdzie wracać. Uciekłem z chederu.

- I ja nie mam gdzie wracać. I nie chcę wracać.

- Lepiej umrzeć.

- Umierać trzeba w walce. Wiesz co, Karnowski, rozpuszczę oddział, przeczekamy jakiś czas na folwarczkach, aż zorganizuje się prawdziwa partia, taka partia, jaką obiecywano, co najmniej czterystu ludzi, uzbrojonych i wyćwiczonych ludzi. Wtedy rozbudzimy powiat oszmiański, cały kraj aż do Niemna.

Karnowski milczał wbijając w ziemię końcem kija zeschnięte żołędzie. Młodzież rekrucka podniosła się z trawy, bo pod niebem płynęły

na północ białe flotyle dzikich łabędzi.

- Nie ma innej rady - szepnąłeś. - Jutro zarządzę rozsypkę.

Karnowski obstukał kostur z resztek torfu i poszedł bez słowa nad bezimienną rzeczkę, w której już nikomu nie chciało się kąpać.

Z nieruchomych ścian puszczy wyciekała chłodna noc. Rozlewiska rzeczki zapaliły się czerwono od zachodniej łuny. Jakiś ptak skuczał monotonna po drugiej stronie wody. Ale nad wszystkim górował chór słowików. Ich czyste, silne głosy odzywały się z różnych stron i ja już wiem, że nie była to gęźba miłosna, lecz obwoływanie swoich rewirów mieszkalnych. A ty słuchałeś ich śpiewu jak romantycznej muzyki, co przypomina niespełnienie, co budzi żal za życiem, którego już nie będzie.

Głodni powstańcy żuli zajączy szczaw, spluwając gęsto zieloną śliną. Podszedłeś do nich, chciałeś zagadać, rozproszyć zły nastrój, ale jakoś zabrakło ci słów i nic nie powiedziałeś. Dziad leżał na wznak z rękami podłożonymi pod głowę. Patrzył na wodę, w której była ceglasta czerwien wieczoru i głęboka czerń bliskiej nocy.

- Jutro ciebie wypuszczę - rzekłeś cicho. - Jutro będziesz wolny.

- Ja jestem wolny. Wolny jak zwierz leśny.

- Twoja wolność jest bezrozumna. Prawdziwą wolność my damy ludziom i tobie damy.

- Wolny może być pojedynczy człowiek, nigdy zbiorowość, stado, tłum, Wolność to boski dar.

- A skąd ty pochodzisz?

- Znikąd.

- Kto cię rodził, człowiecze?

- Już zapomniałem. Ja jestem tutejszy. Z tych lasów, rozatajanych dróg, zaścianków.

- Musiałem ciebie spotkać w swoim życiu. Pamiętam dobrze twój głos, twoje spojrzenie.

- Może spotkałeś podobnych ludzi, zawsze tacy błądzili po ziemi i będą pielgrzymować do końca świata.

- A nie wstyd ci?

- Kogo mam się wstydzić?

- Nas. Popatrz, tych młodych ludzi, którzy jutro mogą nie żyć.

- Czaho ty chcesz? - warknął raptem po białorusku. - Idzi k czortu.

I znowu był durnym, nawiedzonym dziadem. Zaczął śpiewać swoje godzinki, albo skowyczeć do księżycy, bo anemiczny sierp wyciął się przed niedawną chwilą z kudłatego grzbietu puszczy.

Chłopak w bekieszy znalazł gdzieś świętojańskiego robaczka. Ukrył go w stulonych dłoniach i przez szparę w palcach obserwował jego seledynową poświatę.

- Jak ci na imię - spytałś.

On zerwał się służbiście na nogi. Robaczek wpadł między zroszone trawy.

- Ildefons, panie pułkowniku. Ildek.

- Pójdź, Ildek, i sprawdź pikiety. Żeby mi nikt nie zdrzemał.

Chłopiec w bekieszy odszukał swego robaczka. Jak z zielonym płomykiem na dłoniach ruszył ostrożnie w przepastną, wiosenną noc.

Wróciłeś do swojej kwatery pod starymi dębami. Nie widziałeś wtedy jeszcze, że tę Królewską Górę będą kiedyś nazywać Powstańczą Górą i tak ją oznaczają na sztabowych mapach, którymi się posługują partyzanci - gimnazjaliści podczas największej wojny światowej. A słowiki nawoływały się coraz donośniej i mogło się zdawać, że skądś z bardzo daleka podpływa tu na ściółce chłodu gorący zapas maciejki, zapach spokojnego polskiego domu.

I ogarnął cię raptem dziwny strach, strach, jakiego dotąd nie znałeś. Strach przed klęską, przed pechem, przed nieudaczą. Strach przed sprzysiężeniem złych mocy. Strach przed szyderstwem losu. Strach przed własną słabością. Chciałeś zerwać się z mokrej ziemi i uciekać, gdzie oczy poniosą. Biec na przełaj przez odwieczną puszczy dokąd? Do czego? Do kogo?

Ale wtedy właśnie zatrzeszczał chrust. Ktoś nadchodził z głębi nocy, szło wielu zmęczonych mężczyzn.

- Pani pułkowniku, przyszli. Nasi przyszli - dyszał zemocjonowany Ildek, chłopiec w bekieszy.

Od ogniska, które rozpalono tej nocy obok martwego pieca, skoczyło kilku powstańców ze smolnymi łuczycami. Oświetili przybyłych, któ-

rym przewodził niski, krępy mężczyzna w rosyjskim frenczu wojskowym odartym ze szlif. Kiedy uniósł w geście powitania czapkę myśliwską, pokazała się wielka, łysa i mocno spocona głowa.

- Major Nawalkiewicz, do usług - rzekł ochrypiłym głosem. - Kto tu naczelnik?

Podniosłeś się wolno z ziemi, po której pełzał w głąb lasu postny kosmyk mgły rzecznej.

- Jestem pułkownik Borowy. Proszę pana majora o okazanie papierów rekomendacyjnych.

Dowódca przybyłych wydobył zza pazuchy miast dokumentów marnierkę obciążoną wojłokiem. Pociągnął łyk, wytarł szyjkę i zaproponował:

- Spróbuj, gałubczyk, mojej okowity. Drugiej takiej nie znajdziesz w całej guberni.

- My tu nie pijemy, panie majorze. Chciałbym jednak zobaczyć pańskie papiery.

- Papiery - roześmiał się zaflegmionym głosem. - Widzicie, malarzcy, on prosi o papiery.

Jego kompania odpowiedziała niepewnym rechetem.

- Głowy swoje przynieśliśmy tobie, synok, to ważniejsze od papierów. Jak zajęte kluczyliśmy trzy dni po polach i lasach, żeby do was trafić.

- Spodziewam się, że zachował pan należną ostrożność.

- A zachowałem. Nie podpuściłem kozaków bliżej jak na wiorstę, prawda, rebiata?

- To znaczy, że był pan obserwowany przez Moskali?

On zbliżył się do ciebie w obłoku gorzelianego smrodu. Przysunął grube wargi do twego ucha i zaszeptał chrypliwie:

- W mieście więcej szubienic jak ludzi. Murawłow zbudował drugie miasto z wieszatielnic. Na każdym rogu wiszą Polaki jak kabany. A ty o papiery prosisz. Nikt mnie, gałubczyk, papierów nie dawał. Miało być czterdziestu ludzi, a ledwo dziesięciu doczekałem się na koniec. Wielki strach poszedł po narodzie. Murawłow-Wieszatiel przysięgł carowi, że wszystkich Lachów powiesi. Ot., jak nasze sprawy stoją.

Wydało ci się, że ogromne dęby walą się kolejno na twoją głowę. Łoczywa parszkając czerwonymi iskrami gasły ze śpiewnym skwierczeniem. Ludzie majora stali milcząco i twoi także milczeli. Wszyscy czekali na słowa pułkownika. A ty, młody wódz, który wędrowałeś tysiące kilometrów do ojczyzny, przemogłeś w sobie straszne zniechęcenie, wielką słabość, okropny duszny kryzys.

- Tak, Moskale wiedzą już o naszej obecności. W takiej sytuacji trzeba się wycofać. Tak, jutro wycofamy się w głąb puszczy. Nie warto czekać. Pora wydać walkę. Tak, dziękuję, majorze.

On chciał cię objąć i ucałować, ale potknął się na korzeniu, schwytał cię za pętle rozpiętej czamary.

- Mnie możesz być pewny. Ja znam fach wojenny. Trzy lata walczyłem na Kaukazie z Czeceńcami. Samego Szamila miałem prawie w ręku. Wielki książę georgiewski kriest przypiął, Ja już ciebie polubił, synok.

- Oni walczyli o swoją wolność - rzekłeś ze zgrozą.

- Kto?

- Czeceńcy. Jak my, powstałi przeciwko niewoli.

- To znaczy się ja niegadaj? - zacukał się major.

- Może teraz oni, Czeceńcy, w moskiewskich rotach idą naszym śladem?

- To znaczy się, ja jednak prawidłowo ich kłui sztykami?

- Panie majorze, niech pan każe swoim ludziom rozłożyć się biwakiem.

- A masz, synok, trochi gorzałki-pocieszycielki?

- Nie, my nie pijemy.

- I zasnąć tak na czczo umiecie?

Odeszli w stronę ogniska, wymieszali się z twoimi ludźmi. Podniósł się gwar ożywionych rozmów. Coraz częściej słyszałeś z nabożną trwogą wymawiane złowrogie nazwisko "Murawiw". Nad polaną przelatywały bezszelestnie zygzakami wielkie nietoperze.

Nagle z ciemności wyłonił się ponownie major Nawałkiewicz. Krok miał chwiejny, lypał niepewnie szczerwieniłym okiem ciężko wzdychając.

- Ty nie bój się, pułkownik. Mowa moja akacaponia, ale ja swój, tutejszy. Mnie wzięli w żołdacy Moskale, wiesz, tego roku, ty nie pamiętasz, a może słyszałeś, tego czterdziestego ósmego. Ja wtedy, hoho, ludzi zapytaj. Nu, potem dwanaście lat służby, ciężkiej służby. I Czeczeńców ja bił i Turków i Czerkiesów. Ale ty mówisz, że Czeczeńców to niedobrze? Może znajdziesz jednak czuć-czuć okowity? Takie myśli mnie latają po głowie przed nocą. Dumasz, że będzie Polska, a?

Milczałeś, więc przestąpił z nogi na nogę, wysiąkał nos elegancko w dwa palce i ruszył ociężałe w stronę ognia, z którego sypały się czarnemu niebu strugi płochliwych iskier.

Potem drzemałeś do świtu i jawa plątała ci się ze snem. Widziałeś rzeczywiste patrole kozackie, realne zaprzęgi artyleryjskie i prawie namacalne sylwetki żołdatów, co zamierzali się na ciebie bagnetem. I śniłeś ognisko, sennych powstańców smujących się w krwawym blasku płomieni i śniłeś polanę wypełnioną nadrzecznymi mgłami.

Kiedy wzeszło słońce w asyście ciemnych chmur, z nową nadzieją odmówiliście wspólnie modlitwę i zarządziłeś wymarsz. Zalano rzecznią wodą resztki ognisk, odprawiono niepotrzebne furmanki, uformowano na gościńcu kolumnę marszową. Ten młodzieniec z angielskim sztucerelem wydobył z troków sztandar oddziału, sztandar twojej partii. Mianowałeś więc go chorążym, a do asysty zgłosił się zaraz Ildek w bekieszy ze swoim kuzynem albo sąsiadem. A na jego bekieszy, za ciepłej na te wiosenne dni, za obszernej na te wąskie barki, na tej prowincjonalnej, niemodnej bekieszy, widać było jeszcze resztki fastrygi, ostatnie ślady troskliwych rąk matczynych. Ja przecież także wyruszałem grudniową nocą w podobnej burce uszytej domowym sposobem, burce - kulfonie, burce - kirze żałobnym, burce - kiaku pakuł z rodzinnego gniazda.

A rzeński wiatr podchwycił tę chorągiew i rozpostarł ją nad głowami żołnierzy, amarantową płachtę z białymi znakami Orła i Pogoni. I ruszyliście na południe zostawiając pośrodku drogi uwolnionego dziada. Brodaty włóczęga patrzył za wami długą chwilę, a potem uniósł dłoń, czynił znak krzyża świętego.

Słyszałeś za sobą tupot wielu nóg, nagła radość spadła na ciebie z chmurniejącego nieba. Zaintonowałeś pieśń śpiewaną przez ele-

wów szkoły oficerskiej w Genui:

Róże, nasze róże!
 Długo jeszcze, długo światu
 Szumieć będą śnieżne burze.
 Sadźmy je przyszlemu latu!

Coraz więcej silnych głosów przyłączało się do chóru. Spodobała się im od razu ta pieśń, a może niektórzy śpiewali ją ukradkiem w domu podczas nieskończonych, dżdżystych wieczorów jesiennych.

My, odbici z niw rodzinnych,
 Może ich nie ujrzym kwiatu,
 A więc sadźmy je dla innych,
 Szczęśliwsiemu sadźmy światu!

W górze, pod ciemniejącym niebem, kołowało ogromne stado kawk. Rzadkie krople deszczu załopotwały w klonowych liściach i zaraz ucichły.

Jakże los nasz piękny, wzniosły!
 Gdzie idziemy - same głogi,
 Gdzieśmy przeszli - róże wzrosły,
 Więc nie schodźmy z naszej drogi!

Po kilku godzinach marszu straż przednia zameldowała ci, że przed wami wioseczka puszczajska i że nie ma możności obejścia tych kilkunasu kurnych chat. Zatrzymałeś oddział na brzegu gościńca. Słabsi legli od razu na suchych zeszłorocznych liściach. Zaradniejsi już szperali w trawach szukając zajęczego szczawiu.

Wyjąłeś sakiewkę od Mokrysa i rozdzieliłeś żołąd między powstańców.

- Możecie kupić jadła w wiosce - powiedziałeś. - Pan major będzie odpowiadać za porządek. Na zbiórkę dam znak rogami myśliwskim.

- A ty co, pieszkom nas do Warszawy prowadzisz? - rzekł kwas na Nawałkiewicz. Wierzchem dłoni ścierał obfity pot z czoła. Widać było, że nie smakuje mu taki forsowny marsz.

- Moskale boją się lasów. Im głębiej wejdziemy w puszcze, tym bezpieczniejsi będziemy.

- Oni pójda za nami do samego czorta. Ja ich znam. Ja ich smród ciągle czuję w powietrzu.

Bezludną kupą ruszyli do wsi. Ty zostałeś na skraju lasu. Gorące dreszcze leciały ci po grzbiecie i wiedziałeś już, że to początek ataku febry, którą przyniosłeś ze sobą z Turcji. Znowu spadły ciężkie jak grad krople deszczu. Niebo odgrodziło się zaspami czarnych chmur. Ale kawki znowu ukazały się nad nieruchomymi koronami drzew. Gwarzyły monotonnie ze sobą zataczając szerokie kręgi ponad gąszczem puszczy przeciętym nierówno bliźną gościńca.

Od wsi leciała galopem żydowska furka. Powoził sam major, który w przypływie energii zgubił gdzieś czapkę. Za kałamaszką biegli podnieceni twoi żołnierze i jeszcze bardziej podniecony Żyd-handlarz.

Major osadził zaprzęg koło ciebie, zeskoczył z wozu.

- Przywiózł ja lekarstwo. Daj dziengi, pułkownik - rzekł triumfalnie.

Na furce leżała beczka skuta mosiężnymi obręczami.

- Panie majorze, nie pora na hulanki. Jesteśmy w marszu.

Major podszedł i zajrzał ci w oczy domyślnie.

- Ja wiem, gałubczyk, co to febra paludyjna. Ja byłem na Kaukazie i na Bałkanach. Ja patrzył, synok, jak ty śpisz. Mnie też trzęsło dzisiaj nocy. Winko rodzyńkowe nikomu nie zaszkodzi, a nam z tobą to i pomoże.

Zbliżył się także Żyd-handlarz bijąc pokłony do ziemi.

- Dopraszam się zapłaty, wielmożny panie wojskowy. Mój koń jest do handel, a nie do galop. Cały towar rozebrali panowie powstańcy. Ja farfał mił di gance pastrojkió.

Rzuciłeś mu sakiewkę z resztą monet. Złapał ją w locie i nie sprwadzając zawartości wsunął skwapliwie za koszulę na piersiach.

- Ale trzymaj język za zębami. Nikomu nie mów, że nas spotkałeś.

- Samo się rozumie. Daj Bóg zdrowie i mądre dzieci wielmożnemu panu.

Skoczył żywo na pustą kałamaszkę, ciął brzuch konia biczykiem od dołu, pomknął jeszcze lepszym galopem na północ, w stronę Oszmiany. Powstańcy tymczasem odszpunktowali beczkę, przejrzyste winko żydowskie już ciepło leniwą strugą do kubków i manierek.

- Karnowski! Karnowski do mnie - zawołałeś.

Przebiegł służbiście ze swoim kijem - zerwikapturem. Gęsta, kędzierzawa czupryna była już morka po tych pierwszych kropkach deszczu. Czarne zwiłki włosów przesłaniały czarne, uważne oczy.

- Jak myślisz, zdradzi nas ten handlarz?

- Nie można gwarantować. To ciemny człowiek. Zdradzi ze strachu albo z głupoty - słychać było odcień przykrości w gardłowym głosie. Miał za złe, że jego właśnie wypytujesz o handlarza.

- To już straciło znaczenie. Oni wiedzą i bez tego - wstrząsnął tobą paroksyzm dreszczów, bo znowu sypnęło deszczem, teraz drobniejszym i rzęsiстым.

- Niech leje, zatrą się nasze ślady.

- Poczekaj, Karnowski. Już niedługo odmieni się nasz los. My będziemy ścigać, a oni zaczną uciekać.

- Ja też tak uważam, panie pułkowniku.

- Więc idź teraz do tylnej straży i pilnie obserwujcie gościniec.

Beczka już była pusta. Jakiś osiłek uniósł ją nad głową i cisnął w gęste krzaki kruszyny. Major Nawałkiewicz podał ci moskiewską manierkę, w której bulgotała kwarta rodzynkowego wina. Utoczyłeś do spieczonego gardła parę łyków stodkawego płynu i zakrztusiłeś się raptownym obrzydzeniem.

- Złe poszło - zauważył major. - Przywykłeś, gałubczyk, do italiańskich, albo francuskich. A tu jęwejskim trzeba się zadowolnić. Pij na rozum, dla zdrowia, bo roztrzęsie ta febra ciebie jak nawóz.

Wzmagał się szepł deszczu, co jesienną beznadziejną okrywał tę ledwo rozbudzoną do życia puszcę. Kawki umilkły i opadły gdzieś za wioseczką w wysoką ruń żyta albo jęczmienia.

- Panie majorze, czy można znać powody, dla których przyłączył się pan do mojej partii?

Popatrzył na ciebie przeciągle spod szpakowatych brwi.

- Może to fantazja, a może pokuta za grzechy. Nie wszystko ci jedno?

Wtedy zobaczyliście biegnącego środkiem gościnca dowódcę tylnej straży, wysokiego zucha z dubeltówką i wielkim ułańskim pałaszem. Przy-

padł do was i łamiącym się ze wzruszenia głosem oznajmił zapominając o regulaminie:

- Moskale, pełno żołnierzy za nami.
- Jak blisko?
- Czy ja wiem, będzie wiorstwa, albo półtorej.
- Idą w marszowej kolumnie?
- Nie udało się zobaczyć dokumentnie. Oni pokazują się z lasu

i chowają nazad.

Wyjąłeś zza pasa pistolet. Dokoła było tak cicho, że posłyszeliście jednostajny skrzyp żurawia, który pochylał się nad niewidoczną studnią na skraju wsi. Powstańcy zamarli w niepewnym oczekiwaniu.

- Trąbić zbiórkę. Odchodzimy.

Natychmiast odezwał się jękliwie róg myśliwski. Powstańcy z gorliwą skwapliwością ustawiali się w ordynku na rozmiękłym już gościńcu. Deszcz gęstniał, jakby śpiesząc z pomocą tropionym.

- Synok - odezwał się major. - Nie wiem, kto ciebie wojny uczył, ale po mojemu lasu nie starczy na takie bieganie. Co to my trusy, albo muraszki jakie? Dawaj, staniem we wsi i hukniem w Moskali. Zobaczysz, jak spugają się od razu.

- Majorze - rzekłeś z pogrózką - pan jest oddany pod moje rozkazy. Proszę objąć komendę nad przednią strażą i natychmiast wymaszerować w kierunku na Rosoliszki.

- Nie nasze dzieło masła targawać, jest' ad etawa prikaczychki - odpowiedział z białoruska przysłowiem Nawałkiewicz. Poprawił na tysej, czerwonej głowie dziwny kapelusz myśliwski i ruszył w stronę wsi wymijając powstańczą kolumnę.

Maszerowaliście krętym gościńcem zamgloną, jednostajną puszcza. Deszcz przemoczył już was doszczętnie, ze zgarbionych ludzi parowało zmęczenie. Kiedy czoło kolumny zatrzymało się na moment przed jakąś przeszkodą i ustał tupot nóg, posłyszeliście daleki śpiew żołnierzy, dziki, azjatycki jęk cerkiewnego chóru. Ty także nie tak dawno śpiewałeś podobne pieśni w petersburskiej szkole wojennej pod nieuważnym, roztargnionym wzrokiem cara obserwującego forsowne manewry.

Więc słuchałeś z bijącym sercem tego odległego pienia, które było ci jakoś bliskie a tak przecież nienawistne. I wtedy nagle ogarnął

cię popłoch przed tą walką, która musi nastąpić, która nastąpi w ciągu najbliższych godzin, bo oni już was nigdy nie stracą z oczu, bo pójdą za wami choćby do samego czorta. A ta walka zabrzmi rozdzierającym hukiem wystrzałów, zanieś się smrodem prochu, zadławi raptowną łatwością śmierci. Ludzie ludzi pozbawią życia, daru natury, albo daru niebios. I zdziwiła cię raptem na krótką chwilę ta osobliwość ostateczna starcia, walki, zabijania. I pomyślałeś sobie, jaki będzie dla ciebie dzień jutrzejszy, albo dzień za rok, albo dzień za trzydzieści lat. I czy w ogóle będzie, czy nie pochłonie cię niezbyt zrozumiały czyściec albo przeczuwana od zawsze nicność, czarna próżnia niebytu.

Czoło kolumny ruszyło, ty także, idący na końcu, postąpiłeś w głąb wielkiej, rozbełtanej kałuży. Ktoś szedł za tobą dysząc chrapliwie.

- Karnowski - rzekłeś nie odwracając się.

- Jestem.

- Ilu żołnierzy idzie za nami.

- Wygląda, że około setki.

- To możliwe. Jedna rota. Dwa razy tyle, co nas. Ty jesteś chory, Karnowski?

- Tak, cierpię na piersiową chorobę. Ale to nic, tak już jest od wielu lat. Przyzwyczaiłem się.

- W nowym państwie polskim odpoczniesz sobie, Karnowski.

- Tak, odpoczniemy sobie, panie pułkowniku.

Nagle gościniec urwał się raptownie. Weszliście na wąską groblę uczynioną ze starych przegniłych bali drewnianych. Była taka ciasna, że wypadało iść gąsiorem. Po obu stronach rozpościerały się odwieczne moczary, straszne, bezdenne, porośnięte chorą trawą, w której tkwiły umarłe pnie drzew. W trupiej bieli mgieł stały nieporuszone czaple jak gliniane figurki odpustowe. Pod nogami mlaskała i bełkotała chciwie czarna,gniła woda bagienna.

Teraz serce zaczęło ci bić prawdziwie niczym dzwon. Puls łomotał donośnie w skroniach. Uniosłeś twarz do góry, żeby schwytać ustami garść jałowych kropel deszczu w zaschnięte gardła. Decydował się twój los młodego wodza. Decydował się los twojej wojny.

- Podaj dalej do czoła - rzekłszy szeptem do idącego przed tobą.
- Na końcu grobli zatrzymać się i czekać rozkazu.

Dróżka przez moczary nie miała kilometra. Rychło weszliście na suchszy grunt, gdzie od nowa rodził się gościniec puszczański. Ten i ów runął bezwładnie w wodnisty mech.

- Majorze, poproszę do mnie! - zawołałeś.

Przemoczony strach na wróble, major Nawałkiewicz we wrogim frenczu, pojawił się przed tobą. Dubeltówkę zawiesił lufą do ziemi, żeby nie nabierała deszczu.

- Majorze, przyjmijemy tę walkę. Pan ze swoimi ludźmi obsadzi lewą stronę, a ja prawą. Moskale, tak jak my, muszą przejść groblę gąsiorem. Nasi myśliwi będą mieli wyborny cel. Chyba niebo zsyła nam taką okazję. Będziemy mieli dobry początek. Wygrana potyczka podniesie ducha nie tylko w oddziale. Majorze, czy pan gotów?

- Chitry z ciebie człowiek. Nu, trzeba poprobować. A słyszałeś ich śpiew? Uch, dobrych mają zapiewajków. Aż ciarki idą po plecach.

- Majorze, Boże broń nie wolno strzelać bez rozkazu. Musimy ich podpuścić jak najbliżej. Otworzymy ogień na sygnał trąbki, to jest rogu. Czy pan mnie zrozumiał?

- Co tu rozumieć? Oni, gałubczyk, też wiedzą, że musi być poczekamy na nich na końcu grobli.

- Zatem proszę na stanowisko i szczęście Boże - znowu tobą wstrząsnął zły, złowróbnny dreszcz.

- Pożywiom, uwidzim - westchnął. - Największa bieda, że mnie ząb rozboleł.

- Majorze, czekać proszę na sygnał rogu.

- Wiem, wiem, pułkownik, mnie uczyć nie trzeba.

Nieopodał, pod rozłożystym klonem, stał chorąży z ciągle jeszcze rozwiniętym sztandarem, z którego brzegów opadały wielkie mieniące się zielono krople. Obok czuwał nieodstępny Ildek. Ścisnął histerycznie starą fuzję, aż mu zbielaby kostki palców.

- Zwificie chorągiew - rozkazałeś. - Ildek, umiesz celnie strzelać?

- Nie ma lepszego w okolicy - pochwalili się chłopiec. - Na sto kroków trafiam w komorę, panie pułkowniku.

- Więc przejdźcie na drugą stronę, do majora i tylko dobrze kryć się za drzewami. Żeby mi hikt nie wyłaził na drogę.

- Tu sami myśliwi, panie pułkowniku - odezwał się pobłażliwie chorąży. - My wiemy.

- Szkoda, że już wino nie ma - dodał Hdek. - Ręce grabieją.

- Nie musimy dodawać sobie otuchy winem. Na stanowiska, chłopcy.

Jeszcze raz schwycił cię atak drżączki, zwiastun nawracającej choroby. Upadłeś na run leśną chowając twarz w gorących dłoniach. Z mgły, deszczu, gnuśności zastygłego lasu znowu wywiercała się ta obca pieśń jak wycie wilków.

- Boże, daj zwyciężyć - wyszeptales w dłonie, po których płynęły gorące krople deszczu. - Żeby to wszystko nie poszło na marne. Żeby moje życie, żeby męka i ofiara tylu ludzi... Boże, Boże wszechmogący...

Potem rozległ się strzał i długo tułał się echem po puszczy. To żołnierze doszli do grobli. Kotłowali się przy jej progu nie śmiejąc wejść na wąską bagienną drózkę. Słyszeliście ich krzyki i nawoływania, łoskot metaliczny nasadzanych bagnetów, jęklive rozkazy podoficerów. Ale jakoś nikt nie kwapił się do ataku. Czaple, jakby nieciekawe krwawego widowiska, poderwały się z rojstów i majestatycznie pozęgłowały nad mglistą ścianą lasu.

A tuż przed tobą spadało zeszłoroczne, martwe ziarno klonu, zwane "noskiem", bo zwykle dzieci jesienią rozdawały je i przylepiały do nosa. Więc to złociste skrzydełko leciało skądś z bardzo wysoka wirując zapamiętałe, leciało niezwykle długo nie mogąc osiągnąć mokrej ziemi sytej już deszczu.

Wreszcie kilku żołnierzy ruszyło czarnym traktem grobli. Szli bez ochoty, z ociąganiem się, co chwila stawali wołając coś do pozostałych. Jeszcze parę przemoczonych, garbatych figurek kolczastych bagnetami sypnęło się z brzegu. I tak szli i nie szli, chcieli atakować i nie atakowali. A wyście czekali ukryci za drzewami słysząc tętent własnej oszalałej krwi.

Coraz więcej żołnierzy wstępowało na groblę. Skupiali się tu w jakieś gromadki, nad czymś dyskutowali, czasem któryś z nich

strzelili w las, w las milczący wzgardliwie, obojętny, roztopiony w deszczu.

W końcu trzech śmiazków zbliżyło się na dwieście kroków i uklękło na zbutwiałych belach mierząc z karabinów w waszą stronę. Podniosłeś rękę dając znać trębaczowi. Róg odezwał się nieśmiało, lecz nim zabrzmiał w pełni, nim przeobraził się w rozkaz, któryś z żołnierzy strzelił w ujście grobli. A wtedy przez wygasające pobrzmięcie strzału usłyszałeś nieludzki, przerażający skowyt umierającego człowieka, gwałtowny tupot nóg, skrzek łamanych gałęzi i pełne grozy wrzaski: - uciekajmy! Uciekajmy!

Żołnierze na grobli również poderwali się do ucieczki. Biegli co sił w stronę swego lasu. W mgnieniu oka cała rota skryta się w równomiernej siwej mgle. Zrobiło się tak cicho, że słyszałeś daleki klekot bociana, który osiadł w gnieździe.

- Karnowski, do mnie! - krzyknąłeś ściszym głosem.

Ale nikt się nie pojawił i nikt nie odpowiedział. Tylko krople obficie sypnęły się na krzaki czarnego bzu. Górą szedł już pierwszy wiatr, północno-wschodni wiatr, co zwykle zwarza przymrozkami przedwczesną wiosnę.

Zatrzęsło tobą, wstałeś z lodowatej ziemi. Za sąsiednimi drzewami nie było twoich powstańców. Wyszedłeś na gościniec.

- Panie majorze! Majorze, co się stało?

Wiatr obniżył lot. Drzewa schyliły się z podniosłym szumieniem, jak gniewny chór wymawiający przekleństwo. Skoczyłeś na drugą stronę drogi potykając się o porzuconą, jeszcze ciepłą od dłoni ludzkich fuzyję.

I nagle stanąłeś i nagle zrobiło ci się strasznie zimno. Przed tobą, w rozgniecionym krzaku, leżał nieżywy człowiek. Był to Ildefons, chłopiec w bekieszy, najmłodszy powstaniec. Leżał na wznak z rozrzuconymi rękami, a palce jego wczepiły się w zeschnięte liście dębowe i miał tych liści pełne garście, jakby chciał nimi sypnąć wam w oczy. A nad lewą brwią jego połyskiwała czerwono wielka granatowa jama.

- Ludzie! - krzyknąłeś. - Gdzie jesteście? Przywołuję was na imię Boga!

Nie było już ani powstańców, ani Moskali. Był tylko zajęty sobą las, las huczący jak młyn, był deszcz i była jesienna bezwolna mgła.

Zacząłeś biegać po wertepach wokół gościńca. Wszędzie leżała porzucona broń: dubeltówki, pałasze, rewolwery, patроны. Koło wykrota zobaczyłeś chorągiew, obok czerniała czyjaś czamarka zrzucona dla ulżenia w ncieczce. Wszyscy uciekli od jednego strażaka. I atakowani i napastujący. Ja też przeżyłem taką chwilę, a może nawet, jeśli dobrze pamiętam, kilka takich dziwnych, pełnych dziwnej grozy chwil.

Wróciłeś do Ildefonsa, powstrzymując nasilające się spazmy gorączki albo zwykłego płaczu. Zamknąłeś mu wytrzeszczone oczy. Zaciśnąłeś usta pełne jakby powiększonych zębów. Złożyłeś nie wyziębłe jeszcze ręce na piersiach. Leżał bezbronny i nasiąkał wodą. Więc przykryłeś go wielką gałęzią zakwitającej czeremchy. I leżał teraz w ogromnym, złym zaduchu białych, drobnych kwiatów.

Wiatr rozpedzał chmury. Pokazało się niebo oblane czerwinią. Kończył się zły dzień. Przychodziła znowu pogodna noc zapalając światła odległych galaktyk. Zebrałeś pogubioną broń, podniosłeś mokrą i ciężką chorągiew, zawlokłeś to wszystko do ogromnej dziupli w sędziwym dębie. Ukryłeś tam również swoją szablę zostawiając przy sobie rewolwer Sulistrowskiego. Tak kończyła się twoja kampania 1863 roku.

Całą noc przedzemałeś na stojąco, jak czapla, pod drzewem, które wzdychało jękliwie potrącane przez wiatr. Z puszczy wymarziali się co chwila dawni znajomi i wrogowie, czegoś od ciebie chcieli, za coś wyklinali, czymś grozili. Niby czeźli na moment, żeby znowu wyleźć zza wykrota i wyciągać ku tobie szponiaste ręce. Widziałeś w tej kampanii ojca i pułkowników petersburskiej Szkoły Inżynieryjnej, siostry w żałobie i tureckich strażników, kolegów genueńskich i księdza-katechetę, francuskich żurawów i Garibaldię. Całe twoje krótkie życie cisnęło się do ciebie ze wszystkich stron. Cały twój niewielki wszechświat zgłaszał wobec ciebie jakieś straszne, okropne pretensje, których nie można było oddalić ani unieważnić.

Czasem budziłeś się oprzytomniony własnym jękiem. Powoli przypominałeś sobie swój okropny los i bezwzględną klęskę. Los i klęskę jeszcze jednego pokolenia w tragicznej pielgrzymce wielu generacji Polaków. A gdzieś obok w ciemności spał snem wiecznych gorliwy Ildek, któremu matka uszyła niemodną bekieszę, a z nieba patrzyły krótkowzroczne, roztargnione gwiazdy.

Wreszcie ciemność zaczęła wsiąkać w rozmięktą ziemię. Krzyknął wśród bagien żuraw jakby wyrwany z nocnego koszmaru. Pojawiły się pierwsze znajome drzewa. Zapóźniony wieczór obłok płonął pośrodku nieba.

Oblamałeś z gałązek kostur i poganiany przez dreszcze ruszyłeś w stronę Rosoliszek. Szedłeś potykając się, przewracając na pokracznych korzeniach, tych skamieniałych żylakach puszczy, aż w końcu zobaczyłeś dom solidny na końcu lasu, dom z oknami i kominem, nad którym filował wyprostowany cienki dymek. Nieopodał budziły się Rosoliszki okryte kędzierzawą wiosenną zielenią.

Pchnąłeś drzwi sieni woniejącej grzybami i wszedłeś do przestronnej kuchni z ogromnym piecem w lewym rogu. Wokół tego pieca krzątały się trzy młode kobiety w koszulach lnianych i spódnicach, zaczerwienione od gorąca, rozgrzane pracą. Wygarniały z glinianego pieca omszały popiołem żar szykując miejsce dla wielkich błyszczących bochnów z głębokimi znakami krzyża. W wycięciach koszul widziałeś ich ciężkie, dorodne piersi powleczone cieniutkim lśnieniem delikatnego potu. Patrzyłeś na ten ruch domowy, odwieczny, coś było dotkliwego przypominający, a one cię nie spostrzegały zajęte swoim obrządkiem. Aż wreszcie prysnęło iskrami z kurhanka dębowych węgla, one odskorzyły na to miejsce glinianej podłogi, gdzie leżał przymglony blask wschodzącego słońca.

I wtedy cię zobaczyły.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - rzekłeś z wysiłkiem.

- Na wieki wieków - odparła najstarsza.

- Proszę o gościnę. Jestem w podróży i bardzo zgłodniałem.

Przyjrzały się tobie, popatrzyły na siebie, najmłodsza, widać główna gospodyni, powiedziała śpiewnym głosem:

- A to niech siada za stołem. Wraz będzie śniadanie.

Z trudem ułokowałeś się na starej ławie pod oknem. Ta młoda z zadartym noskiem zerknęła ciekawie w twoją stronę.

- I dokąd to panicz wędruje? - spytała wylewając ciasto na wielką czyhunną patelnię.

- Do Nowogródka - odrzekłeś po namyśle.

- Daleka droga. Zaraz będzie śniadanie, to panicz sobie poje.

My ze słońcem wstajemy, las lubi ranek, a nasi mężczyźni robią w lesie.

Starsze wsuwały pachnące ostrą kwaśnością bochenki w ciemne wnętrze pieca, ona na przypiecku piekła bliny w stygnącym żarze. Pod okapem domu krzyczały kłóliwie jaskółki.

- Febra panicza trzęsie - zauważyła zyczliwie najstarsza.

- To nic. To z niewyspania. Zbłądziłem w puszczy.

- Puszcza w dzisiejszych czasach niebezpieczna. Obojętnie tak samemu podróżować.

- Ja rozboju się nie lękam.

- Rozboju to może i nie. Ale czego innego to tak.

Zmilczałaś chcąc uniknąć drażliwego wątku. Wielki kot ciemno przegowany zeskokczył z pieca, przeciągnął się ziewając smacznie, a później podszedł i otarł się o twoje nogi.

- Patrzenie, od razu polubił obcego - zdziwiła się młoda. Uśmiechała się do ciebie z dziecinnym bezwstydem. - Waśka, Waśka, gdzie ty był, z kim ty małażcko pił?

Dorodne, młode baby, czując twój wzrok na sobie, poruszały się z taneczną gracją. Niby to ściągały wśród chichotów haftowane koszule na piersiach, ale i tak czuło się pod zgrzebną materią ich gorące, pulsujące krwią, pachnące rzeczczą wodą ciała. Ja także tęskniłem do ich pięknych i tajemniczych ciał w te wieczory jesienne 1944 roku, kiedy na sianie w odrzynach ciągnęliśmy samogon, a one skryte w nocy śpiewały te przejmujące pieśni, pieśni jak płacz, pieśni jak lament, pieśni jak straszna tęsknota nie wiadomo za czym. I nie mogę się oprzeć, żeby nie przypomnieć owej Emilki, płowowłosej, popik latowłosej, srebrzystowłosej, wierzbowowłosej Emilki o cerze antonówki, albo lipcowego miodu, może raczej przydymionego wrzosu, nie, też nie, raczej o takiej cerze, o takiej skórze, której nie sposób opisać, ale której drgnienie, połysk, delikatne pulsowanie przyprawiało mnie o szaleństwo i tobie też odbierało rozum, bo w każdym czasie na tamtej ziemi żyły po dworach i po zaściankach, a także po wsiach zagubionych w puszczy takie złocistoróżowe Emilki, które śnią się do końca życia.

A teraz ta młoda, co także mogła być Emilką, przyniosła na patelni wielki blin owsiany i zrzuciła ci na glinianą miskę. Obok w garnczku skwierczała roztopiona słonina. Więc ułamałeś kawałek blina, zwiną-

leś go w rulon chcąc zanurzyć w tłuszczu i wtedy weszło raptem do kuchni trzech mężczyzn - leśników. W milczeniu odstawili do kąta cechownicze toporki, w milczeniu spojrzeli na ciebie, który walczyłeś z raptownym snem trzymając w brudnych palcach kawałek gorącego blina.

- To podróżny. Idzie do Nowogródka - rzekła szybko ta, która mogła być Emilką.

Nic nie mówiąc usiedli przy tym samym stole. Parowali zmęczeniem pełnym żywicznego zapachu, niby to wbili wzrok w sękaty stół, ale czułeś, że cię obserwują. Ugryziłeś bez ochoty podsechnięty blin ze złotą kroplą tłuszczu.

- Niebezpiecznie w takim stroju wędrować - rzekł czarniawy leśnik z wielkimi bolesnymi oczami.

- Strój jak każdy inny, byle był wygodny - odpowiedziałeś z wyszukaną uprzejmością.

- Niebezpieczna także pora - podjął czarniawy. - Rok nie zwyczajny, natura rozstrojona, w ludziach gniew wilczy.

- Ja do krewnych idę, żeby zdążyć na żniwa - rzekłeś ze skwapliwością, która tobie samemu wydała się podejrzana.

Czarniawy zapatrzył się w ciebie, albo poprzez ciebie w mętne szyby ze szkła poznaczonego bliznami zastygłych pęcherzyków powietrza. Wtedy podeszła cicho Emilka, pogładziła cię rozgrzaną ręką po włosach, po czole, jakby biorąc chorego w obronę przed mężczyznami, przed złą chwilą, przed niewiadomym życiem.

- Człowiek nie odmieni świata - powiedział czarniawy zapatrzony w jakieś ćmiące bólem wspomnienie. - Człowiek rodzi się dla cierpienia. Ból i nicość. Zgubiłem czapkę w lesie. Trzeba wrócić i poszukać.

- Jedz bliny, bo wystygną - wtrąciła się Emilka.

- Nie, żoneczko, trzeba najpierw znaleźć, co zgubione.

Wstał od stołu, ruszył ku drzwiom. Na progu zatrzymał się, spojrzął na ciebie, chwilę się wahał, lecz w końcu wybiegł przed dom puszczając wielkie stada wróbli.

- On dobry człowiek - mówiła łagodnie Emilka. - Ciężko żyje, męczy się, po nocach zapłacze, ale dobry, pocciwy. Całą młodość na Sybirze przeżył.

- A za co go zesłano? - spytałeś ogłuszony gorączką, która łomotała w każdym włóknie stężyłych mięśni.

- Kto to wie - Emilka gładziła machinalnie twoje suche sprężyste włosy, bo wtedy, tak i ja, miałeś na głowie wielką stertę ogromnych, bujnych suchych jak wiosenne siano włosów, - On nigdy nic nie mówi. Czasem tylko krzyknie nad ranem, rozbudzi się i milczy aż do brzasku.

- Dziad włóczęga wróżył mi, że będę żył w dalekich południowych krajach, gdzie słońce nigdy nie zachodzi.

- Co Bóg da, to i będzie - odezwał się brodaty leśnik zapatrzony w miskę ze skwarkami. - Wszędzie można żyć. Tam wszystko każdemu pisane - pokazał sufit, ponad którym było wiosenne wymyte deszczami niebo.

- Jedz, paniczku młody, jedz, to wyzdrowiejesz i pójdziesz do swojej niebogi - szepnęła Emilka.

Poczułeś na skroniach jej ciepło przemieszane z wonią dymu.

- Moja nieboga - zamruczałeś jakby przez sen, którym było oszołomienie gorączką - moja nieboga to Polska. Złotowłosa, skrwawiona, niewolna.

- Szczo ty prawisz? - pochylił się nad stołem brodac.

W tym momencie otworzyły się drzwi. Za progiem stał ten czar-niawy leśnik o boleśoiwych oczach przesłaniając szerokimi barkami dwóch chłopów, z których jeden trzymał na ramieniu pęto zwiniętej wie-rówki, czyli konopnych lejców. Weszli ostrożnie do izby, a chłopci zdjęli nabożnie baranie, wyliniałe czapki.

Leśnik wy dobył z zanadru rulon sztywnego papieru, rozwinął go i spytał ciebie z pełnym cierpienia uśmiechem:

- A paniczko może nam to przeczytać?

- Czyżbyś był pan niepiśmiennym? - rzekłeś unosząc z trudem huczającą głowę.

- My wszyscy tu niepiśmienni. A przeczytać trzeba, bo z samej Oszmiany przysłali.

Patrzyłeś przez chwilę w jego oczy pełne bólu i złości, smętku i nienawiści, lęku i determinacji.

- Dziwny z ciebie człowiek - szepnąłeś.

- Chłopi dopraszają się łaski. To urzędowy papier. Przeczytaj

im, człowiecze, i idź swoją drogą.

Mimowolnie podniosłeś się z ławy. Kobiety zaparkły piec czyhunną pokrywą. Pod powatą smużył się zdradliwy, słodki zapach czadu. Rozkłysała się raptem ta izba z zamarymi bez ruchu ludźmi, podłoga jąła uciekać gdzieś w dół, aż musiałeś chwycić się śliskiej krawędzi stołu.

- Daj papier - rzekłeś z nagłym, niezrozumiałym strachem.

On podesunął ci lepki jeszcze od farby prostokąt. Litery skakały ci przed oczami, ale przemogłeś w sobie ten dziki chaos gorączki i zaczęteś łowić w gąszczu czernidła poszczególne słowa:

- Do włościan Zachodnich Guberni Cesarstwa. W związku z niepokojami wywołanymi przez buntownicze usposobione jednostki, w związku z nieporządkiem zachodzącym w poszczególnych powiatach, w związku z protestacjami zanoszonymi przed tron przez prawomyślnych poddanych, na podstawie Najwyższego Rozkazu polecam wszystkim włościanom czynne wzięcie udziału w zwalczaniu przejawów zbrodniczego buntu. Należy chwycić i niezwłocznie odstawić do władz wojennych wszelkich osobników zbrojnych pojawiających się zarówno w lasach jak i po wsiach, wszelkich mężczyzn nieznanymi, nie posiadających wiarygodnych dokumentów, a także wszystkie podejrzane indywidua, kim by nie byli. Nagrody za schwytanych złoczyńców ustanawiam w następującej wysokości: za nieuzbrojonego rubli trzy...

Przerwałeś czytanie, podniosłeś wzrok znać ulotki. Stali przed tobą jakby schyleni do skoku. Gdzieś na łąkach pod Rosoliszkami jakiś pastuch śpiewał tęsknie jęklwym falsetem: "Ej ty, Hala, Hala maładaja..." Usiłowałeś przełknąć ślinę uwięzłą w ściśniętej krtani.

- No to czytaj, panie, jakie gubernator da biednym ludziom nagrody - rzekł cicho czarnaływ leśnik.

- Bądźcie przekłeci - chciałeś szepnąć wsadzając dłoń za pojęczamarki, gdzie tkwił pistolet.

Ale oni byli szybsi. Skoczyli jak wilki ze wszystkich stron, w mig powalili cię na gliniane klepisko i już wiązali lejcamy niczym barana. Gdzieś w oddali słyszałeś stłumione krzyki kobiet, rozpaczliwy szloch Emilki, która być może próbowała cię bronić, wrzaski wściekłe chłopów, albo może leśników i wszystko ucichło, stało się miękkie, głuche, jakby cię zanurzono w nagrzaną słońcem wodzie.

Potem obudził cię przenikliwy ból w ramionach. Ręce miałeś silnie wykręcone do tyłu i z chłopską troską obwiązane wierzówką jak duha. Obaj wieśniacy przetrząsali twoje kieszenie pod okiem posępnego leśnika. Wydobywali kolejno pistolet, złoty zegarek, pieniądze, dokumenty powstańcze i notatki. Leśnik przeglądał je z dziwną wprawą i odkładał na stół.

- Weźcie zegarek oraz gotówkę. To więcej, niż dostaniecie nagrody - jęknąłeś.
- Zbuntowałeś się przeciw swojemu przeznaczeniu - rzekł leśnik.
- Odbierzesz karę, jaka ci sądzona.
- Na wasze głowy i na głowy wszystkich tutejszych spadnie straszne przekleństwo.
- Bóg ustanowił władzę. Nie nam, grzesznym, podlażać jego wyroki.
- Przecież i ty, obcy człowiecze, cierpiełeś kiedyś, jak ja teraz cierpię.
- Wyprowadźcie pana pułkownika. Niech popatrzy jeszcze na niebo i las - rozkazał leśnik.

Zawlekli ciebie przez czarną sień na ganek obrosły powojem. Fioletowe kwiatki stuliły się już z lęku przed natrętym słońcem. Ten pastuch ciągnął jeszcze swoją nostalgiczną pieśń o nieznannej Hali.

Obok drogi stała furmanka otoczona przez żołnierzy, co mogli być Czeceńcami z dalekiego Kaukazu. Dwóch kozaków z trudem powstrzymywało konie, którym dokuczały natrętne gzy.

Wymoszczony zsschniętym nawozem zaprząg ruszył w stronę ganku i zatrzymał się przed tobą podtrzymywany przez dwóch milczących chłopów. Kozacy ściągając swoje niespokojne wierzchowce poskoczyli za wozem. Jeden z nich miał dystynkcje esaula.

- Idzi, chłopiec - trącił cię w plecy chłop.

Sprowadzili cię z ganku. Ten drugi kozak, zwykły staniczny kozak, najechał na ciebie koniem, a kiedy zatoczyłeś się, ciął nahajką przez łeb. Zrobiło ci się bardzo gorąco i wierzch głowy zaczął nagle swędzić, a ty nie mogłeś się podrapać, bo ręce były związane na plecach.

Wtedy chłopci uchnęli dla nabrania rozmachu i wrzucili cię na furę. Później z gospodarską drobiazgowością jęli przywiązywać twoje nogi do

kłonic.

Nadbiegli żołnierze w porozpinanych szynelach, śniadzi, czarnocy, na pewno Czeceńcy.

- Smatri, miatieżnik, jebi twaju mać - zachrypiał jeden z nich i stuknął cię kolbą w żebra. Drugi zniecacka poprawił ciousem w obnażoną krtani. Jęknąłś bulgotliwie chowając twarz w zakłęśnięcie pod obojczykiem.

- W Wilnie budiet sud i wieszatelnica, rozumiesz pan? - spytał stary podoficer z opadniętymi, siwymi wąsami. Przyglądał ci się pilnie, ciekaw był twojej reakcji. Ale ty słuchałeś tylko tego szumu pod obręczami żeber, tego gorącego loskotu, który rozsadzał swędzącą czaszkę. Przez szparki w zapuchniętych powiekach widziałeś skrawek drogi i drewniany krzyż przy drodze, a koło tego krzyża omszałego przechodził ktoś zgarbiony, nieszczęśliwy i wydało ci się, że to idzie Karnowski nie wiadomo skąd dokąd, tak jak mnie się nieraz zwidywał mój Karnowski, co go zapamiętałem z dzieciństwa bez szczególnego powodu na całe życie.

Esauł patrzył na ciebie z niewielkiej wysokości chudego konika. Jakby do jeńca, ale chyba raczej do siebie powtarzał półgłosem słynne strofy największego poety wschodniej Słowiańczzyny:

- Wnow naszi wtorgliś znamiena
W prołomu padszej wnow Warszawy:
I Polska kak bieguszczyj połk
Wo prach brasajet stiaż krowawyj
I bunt razdawlennyj umołk...

Podniósł dłoń dając znak do odjazdu. Żołnierze otoczyli ciasno wóz, chłop cmokał na konie. Odwróciłeś mozclnie głowę w bezsensownym pragnieniu, żeby zobaczyć tę leśniczówkę z budzącym otuchę jasnym dymem, co bije prostą strugą w wiosenną niebieskość nieba. I zobaczyłeś leśnika, który cię wydał. Patrzył na twoje sponiewierane ciało, na rozkraczone haniebnie nogi jak u patroszcnego kabana, na krwistą pręgę niczym pijawka przyssana do czoła i coś szeptał. A w oczach jego mogła być jakaś wilgoć, a w głosie jakaś niepewność, kiedy poruszał zdrewniałymi wargami, ty zaś, mój bracie, sprzed osiemdziesięciu jeden lat, odczytałeś z drgnień ust leśnika to znane nam zawsze pytanie:

- Czy warto było?

W ogonku nic nowego. Jakby troszę się zmiętosił, rozkleił i odrobinię przemieścił. Ale nie, wszyscy pozostali na swoim miejscu. To skąpe światło świec obrosłych stearynowymi łzami zniekształca proporcje i wynaturza zmęczone twarze. Iwona patrzy wielkimi, wypukłymi oczami, patrzy na nas, albo może na mnie, kiedy obstukujemy buty z pacyn śniegu przy wejściu do salonu.

Kierowniczką z mężczyzną w czarnym fartuchu wnoszą pierwsze kartonowe pudło. Ogonek ścieśnia się, przyciska do lady z napisem: proszę się nie opierać. Poznaje pismo Iwony, choć nigdy nie widziałem pisma tej śródziemnomorskiej dziewczyny.

- Gdzie ja stałam, gdzie moje miejsce? - biada wieśniaczka, od wielu już godzin związana ogromnym tobołem.

Wszyscy milczą z czujną obojętnością.

- Pani podejdzie tutaj - kierowniczką wskazuje czoło kolejki.

- Hola - odzywa się jeden z budowlanych. - Co to za numery?

- Pan widzi, że osoba zamiejscowa - powiada chłodno kierowniczką poprawiając wielkim czerwonym paznokciem oklapnięty tapir.

- Nie puszczaj! Pilnować! - słychać krzyki z tyłu.

Thumek zwiera się, pochyla nad szklaną ladą, piomyki świec chybocą wystraszone, pęka karton pudła, kierowniczką zanurza ręce we wnętrzu, maca patrząc na nas surowym i przekrwionym okiem, szeleści i szurga, przymyka powiekę, wysuwa język, napina się, chce coś wyciągnąć, ale omyka się i odpada z garścią wiórów drzewnych.

Najbliżej stojący podnoszą ją, pytają troskliwie:

- I co, i co tam będzie?

- Dziwne - kręci głową kierowniczką.

- Jest złoto?

- Prędzej srebro.

- Może z wierzchu srebro, a pod spodem złoto?

- Wyciągaj pani do cholery, bo już tracimy cierpliwość! - huczy

Duszek.

Kierowniczką zakasuje rękaw i przebiera palcami jak chirurg przed operacją.

- Poświęć, dziecko - rzecz za siebie.

Iwona bierze świecę, zbliża się do szefowej patrząc ponad głowami w wystawę okurzoną śniegiem. Jakiś pojedynczy płatek niezrozumiałym trałem opada spod sufitu prosto w ogień świecy. Iwona łapie go i słuca przez moment bolesnego skwierczenia.

- Nie tam, daj tu światło - poucza kierowniczką.

Wreszcie schyla się nad pudłem i zatapia w nim rękę aż po łokieć. Dyszy ciężko, przestępuje z nogi na nogę, napina się i wywleka z chrzęstem coś połyskliwego, co uwięzło w klapach opakowania.

- Srebro! - krzyczy mi to z triumfem ni to z rozpaczą pani w za dużym płaszczu.

- Do diabła ze srebrem - warczy Kojran. - Daj, złociutka, bo czas na wigilię.

Kierowniczką podnosi to błyszczące i stawia na kryształowej ladzie.

- Samowar. Elektryczny samowar radziecki - konstatuje bezbarwnym głosem.

- Samowary, rany boskie, a my stoimy od rana! - wybucha rozpaczą budowlary.

- Dalej, złociutka, niech pani sprawdzi wszystkie paki.

Kierowniczką z eskortą wychodzi na zaplecze, po chwili wraca i mówi:

- Niestety, we wszystkich są samowary.

Ludzie tłoczą się przy ladzie. Ja również prę do przodu, choć ni z tego ni z owego zaczyna mi brakować powietrza.

- Przecież mieli przywieźć złoto! - ryczę ostatkiem tchu.

- Nic na to nie poradzę.

- Niech pani dzwoni. Ta granda. Od tygodni czekamy. Ja jutro wyjeżdżam - wścieka się Kojran.

- To tak, kurwa, traktujecie robotników? - odgrają się budowlani.

Tylko anarchista i student zachowują spokój, uczepili się lady i pilnują swego miejsca.

- A może jeszcze przywiozą? - pyta nieśmiało wieśniaczka, której chustka zsunęła się z głowy pokazując modne uczesanie świąteczne jakby prosto z Londynu.

- Może przywiozą w drugiej turze - godzi się kierowniczką. - Zapowiadali na dzisiaj. Ktoś życzy sobie nowoczesny samowarek? Bardzo poszukiwany towar.

- A wsadzi pani sobie ten samowar - bluźni budowlany.

Duszek uśmiecha się przebiegle.

- Kojran, kup, nie żałuj gotówki. W Ameryce nastawisz, zaparzysz herbatki, posiorbiesz i przypomni ci się ojczyzna. Ty jesteś sentymentalny.

- Dobrze wam dowcipkować. A ja jutro lecę. Co zrobię z pieniędzmi?

- Zaczekajmy, może przywiozą, jeśli obiecali - powiadam.

- A co ty chcesz kupić?

- Obrączki. Słubne obrączki.

- Żenisz się na starość?

- Broń Boże.

- To po co ci obrączki?

- A tak sobie.

- Jak to: tak sobie? Ciężko zarobiony grosz na bujdach wydajesz tak sobie? Przecież możesz kupić brylancik, dlaczego właśnie obrączki?

- Nie mogę kupować ani brylanciku, ani obrączek, bo nie dowieźli.

- Prawda, nie dowieźli.

Kojran ukradkiem otworzył zamek błyskawiczny w torbie zwanej pederastką i szybko przebiegł palcami jej wnętrza.

- Sprawdzasz, czy kasy nie rąbnęli? - pytam szydyczko.

- Ty pilnuj swojej.

Jakaś para o wyglądzie urzędniczymi rezygnuje z ogonka. Wychożą ztorzcząc społecznonemu handlowi. Z otwartych na moment drzwi leci śnieżna zamieć i urywek kołody granej gdzieś obok przez inwalidzką orkiestrę. Wieśniaczka wysuwała się z chust i płacht jak z niepotrzebnego już uniformu. Dopiero teraz widać, że ma na sobie podnoszone ale jeszcze eleganckie futro z karakulów. Zatrzymuje się przy nas. W jednej ręce trzyma piaską flaszczkę, w drugiej podróżny komplet metalowych kieliszków.

- A panowie nie odmówią?

- Ja dziękuję - powiadam. - Mam kieszki dzień.

- On tak zawsze - warczy Kojran. - Żeby tylko zwrócić na siebie uwagę.

Pani nalewa trzy kieliszeczki błyskając złotym sygnetem : ak zwaną ślizgawką, czyli z pustym oczkiem nie wypełnionym herbem z powodu braku rodzinnego herbu. Ten cały w dżinsach przysuwa się do nas z przymlinym uśmiechem.

- Może i dla mnie znajdzie się kropelka? Grzesio jestem.
- Ty jesteś filer, synu - rzecz posepnie pan Duszek.
- Nie rozumiem, o co panu chodzi?
- Pracowałem w tym fachu, kiedy jeszcze ciebie na świecie nie

było.

- W jakim fachu?
- W kapuścianym.
- Zupełnie nie kojarzę.
- No to pij i zapomnij o nas.

Iwona podchodzi do okna. Chucha na szybę i w niebieskawej mgiełce pisze palcem jakieś słowo. A mnie znowu bołą kości mostka. Jest mi zimno i duszno zarazem.

- Narzekacie państwo na ogonki popijając whisky - odzywa się z ironią pani w za dużej pelisie.

- Niech pani powie, że i w Ameryce stoją w ogonkach - warczy Kojran.

- A pewnie, że stoją. Pan tylko u nas widzi same wady.
- Z nają państwo ten kawał o sekretarzu partii? - wtrąca się

Grzesio.

- Dobra, dobra - nachmurza się Duszek. - Ty nas nie próbuj, bo tego nie lubimy.

Kojran wytrząsa resztkę płynu z niklowego kieliszka.

- Zaczekajcie, zaczekajcie. Pamiętasz, Konwa, bajstruka?
- Coś jakbym pamiętał.

- Ty zawsze niby coś pamiętasz, ale tylko tyle, ile trzeba. Dlaczego nie pamiętasz czegoś do końca i naprawdę.

- Dlaczego nie pamiętam do końca i naprawdę? To jest rzeczywiście problem.

- Przypomnę sobie i wam wszystkim bajstruka. Zwierzę wielkości koły, czasem nawet większe. Bajstruk miał trzy nogi, a czwartą ukrytą. Z pyska podobny był do misia, a zdarzało się, że i do sowy. Jadł grzyby, trawę, korę, ale nie pogardził myszą polną, a również zajęcem. Nie pamiętasz, Konwa, bajstruka?

- Widziałem raz pod koniec wojny. Z daleka.

*- Żył w puszczech. W Nalibockiej, Ruskiej, Nadniemeńskiej. Jeden leśnik spotkał go nawet w Rudnickiej. Ludzie mówili, że on mądrzejszy od ludzi. Nieraz zbłąkanych uratował i do wsi zaprowadził. Dziecko przed wilkiem obronił. Starca w zimie ogrzał własnym ciepłem. Ale w księżycowe noce, to nie daj Bóg. Krew z człowieka potrafił wysać, zagryźć konie podróżnym, spalić stodołę ze zbożem. Dobrze mówię, Konwa?

- Kto ci uwierzy? - chichocze ochryple Duszek. - Znowu coś zmyśliłeś. Wy wszyscy stamtąd jesteście lekko kopnięci. Pewnie ciebie twój bajstruk kopnął?

- Miał oczy jak człowiek. Ale dużo większe, bolesne, więcej wiedzące. Tą czwartą nogą, ukrytą, zabijał, kiedy musiał zabić.

- A co się z nimi stało? Nic o nich nie ma ani w gazetach, ani w telewizji - sztydzi Duszek.

Kojran opiera się łokciami o kryształową ladę, patrzy smętnym wzrokiem na uralskie samocwiasty w pluszowych puzderkach.

- Wytrzebili okupanci.

- Nawet jedna para się nie uratowała?

- Może się i uratowała. Ale my już nie wiemy.

Rozpina kożuch, bo znowu mi duszno. Iwona ułamała cienki sopel, który przyłgął do ramy wystawowej szyby. Saie teraz lodowego lizaka i wypuszcza z ust cienkie kółka pary.

- Kojran - powiadam - po co ty jedziesz do Ameryki? Przecież jednego dnia położysz się do łóżka, zaczniesz się trząść jak w gorączce i skompleć, że musisz wracać. Ogarnie cię dziki strach, w jednej chwili zechcesz znaleźć się tutaj, w ogonku pod salonem jubilerskim, gdzie stoją ludzie i trują czekając, zaraz, na co my czekamy?

- Ty czekasz na cud, a ja na radzieckie pierścionki.

- Po co ci pierścionki?

- Całe swoje kurewskie życie zamienię na trzy pierścionki i dam mira w nowe życie.

Pani w za dużej pelisie spogląda do lusterka poprawiając za duży kapelusz.

- W Ameryce podobno mrozy, jakich najstarsi ludzie nie pamiętają.

Kojran patrzy na nią długo nieruchomym wzrokiem.

- A u nas to nie ma mrozów?

- Pan się przyzwyczaił narzekać.

- Duszek, czy ja narzekam?

- Bywało, że narzekałeś.

- Polak jak ponarzeka to zaraz zdrowszy.

- Kto to powiedział? - Duszek wysuwa groźnie zziębioną twarz z kołnierza.

- Ja - odpowiada Grzesio.

- Kto cię nauczył takich złotych myśli?

- Pan.

Duszek zbiera się w sobie, puszcza obłok pary i wzdycha:

- Daleko zajdziesz. Może dalej niż ja.

Gdzieś na ulicy zapalił się neon. Amarantowe światło rozżarza na moment Iwonę stojącą przy oknie i zaraz gaśnie. Obrysowuje ją krwistym konturem jak zjawę nie z tego świata. Z głębi przywalonego śniegiem miasta sęczy się ledwo słyszalna muzyka. Orkiestra inwalidów pracuje, rzępoli patriotyczne kolędy i kolędowy patriotyzm.

- A jakbym podszedł do Iwony, jakbym jej zaproponował małżeństwo? - pyta szeptem Kojran.

- Ona coś śni. Jej tu nie ma.

- Pokażę paszport, pokażę garść banknotów z portretem Waszyngtona, pokażę zdjęcie tej stacji samochodowej pod kościołem wielowyznaniowym. Jest od czego zaczynać. A ty jesteś żonaty?

- Jestem. Mam dwie córki.

- Chyba. Mieszkaństwo. Ty jesteś, Konwa, drobnomieszczanin, który udaje romantyka.

- Ty masz żonę?

- Miałem kilka. Wszystkie uciekły. Ale spróbowałbym jeszcze raz.

- Widzisz, jesteś taki klawy, a one uciekają. Chcesz być moim sędzią, a nie umiesz włożyć.

- Ja jestem twoim sędzią. Wszystko przeczytałem, co kiedykolwiek wysmażyłeś. Mam taką półkę, gdzie ciebie trzymam pod kluczem, bo to ulotne. Wisi na włosku chwili. Ty jesteś chwilowym literatem. Twoje książki umrą razem z tobą.

- Cśś, nie mów tego głośno. Mam żonę i dzieci.

- Próbujesz sztydzić? Złe ciebie nie oceniam. To też dar boży - wyczucie chwili. Ta ochota, która każe łapać się za gorące. Parzysz łapki, ale funkcjonujesz. Ludzie kupują, czytają, dyskutują. Pełna iluzja autentyczności.

- Powiedz coś o sprycie. Przecież wiem, że ten zarzut chowasz na deser.

- Widzisz, Konwa, znasz siebie. Twój spryt to nie biedna chytryść koniunkturalnych gryziopiórków, tych nieudałot, co skamlą, basują, zabiegają, wspinają się, ciuają, blefują, chędożą wpływowo żony i chędożą reżym od tyłu, chędożą sosjetę i chędożą wpływowo koła zagraniczne. Twoja chytryść jest chytryścią ministra policji, wielkiego prowokatora, który chce umrzeć na krzyżu. Twoja chytryść jest paskudna, nieuchwytna, podniosła, ociekająca szczerością, plugawa, sentymetalna, praca do świętości, aspirująca do tragizmu. Twoja chytryść jest taka, że każdym swoim błyskiem zabija cię na zawsze, na wieczność. Twoich trafnych książek nikt nigdy już nie dotknie.

- Chciałbym, żeby tak było. Ty mi schlebiasz przed daleką podróżą, której się boisz.

- Naprawdę nie pamiętasz bajstruka?

- Coś sobie zmyśliłeś w ten magiczny dzień wigilijny. Gdyby były bajstruki na wileńszczyźnie, byłyby i gdzie indziej.

- A czy trzęsienia ziemi, jeśli się zdarzają w jednym kraju, muszą się powtarzać w innym? Ostatniego bajstruka złapali Sowietci, kiedy weszli do Wilna w czterdziestym czwartym. Powieźli go do Aima-Aty, do ogrodu zoologicznego w Środkowej Azji. Bajstruk jak ukąsił, to mogiła. Jak polizał, trędownaty nawet ozdrowiał.

Za ścianą dzwonią monotonnie tramwaje, które utknęły w zaspach.

Koło ścian słychać niespieszne szurganie. To więźniowie wzięli się do odgarniania śniegu. Iwona usiadła na swoim krzeselku, położyła na kolanach otwartą książkę, ale czytać nie sposób, bo ciemno, więc kładzie palce na chłodnych stronicach, zamyka oczy i czyta palcami, albo osuwa się w letarg, w letarg wigilijnego popołudnia, w letarg nadziei, przeczuć, zuchwałych oczekiwań. Nie, ona po prostu nas ignoruje. Ona sprawdza swoją telepatyczną łączność z własnym wszechświatem, rodzinną planetą. Chciałbym, żeby tak było.

Wraca kierowniczką z zaplecza. Niesie jakiś papier urzędowy. Podchodzi do świecy, nakłada okulary ze szklami kokieteryjnie przyćmionymi. Kolejka milknie, zwierza się instynktownie przy początku lady.

- Proszę państwa - rzecze kierowniczka - proszę o uwagę. Otrzymałam pismo z dyrekcji. Informuje się naszych miłych klientów o niespodziance przygotowanej przez centralę. Dokonując zakupów w naszych sklepach należy przechowywać paragony. W przyszłym roku zostanie rozlosowanych pięć wycieczek do Związku Radzieckiego wśród posiadaczy tych paragonów.

- A gdzie towar? - krzyczy hardo budowlany.
- Towaru jest pełno. Proszę brać i wybierać.
- Miały być pierścionki radzieckie!
- I kamienie szlachetne!

Kierowniczka składa papier urzędowy.

- Przecież nie urodzę. Furgonetka wyjechała już z magazynu.

Może ugrzęzła w zaspie. Państwo sami widzą, jaki śnieg.

Nagle błyska trupio sine światło ze sprężynowym szczęknięciem. Jakby raptowny piorun. Wybucho szamotanina na środku salonu jubilerskiego.

- Daj aparat - warczy Grzesio w dżinsach wrywając kamerę fotograficzną grubemu anarchiście.

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam - powtarza monotonicznie rudy grubas i walczy zaciekle z napastnikiem.

- Oddaj film, bo zawołam milicję.

- Jezus Maria, s!fotografował nas! - lamentuje pani w za dużej pelisie.

- A co, nie wolno fotografować - broni anarchisty student.

- Gdzie to napisane?

- Gdzie trzeba, tam napisane. Dawaj film, ale już, bo poproszę na osobność.

Pani w za dużej pelisie włącza się do walki. Chwyta w talii francuskiego exterrorystę.

- Pani kierowniczo, on robił zdjęcia!

- W zasadzie nie wolno fotografować - powiada skonsternowana kierownicza. - A co on zdejmował?

- Nas. Całą kolejkę.

- No właśnie - wtrąca się więźniaczka. - My sobie nie życzymy, Student rozdziela walczących. Zastania swoją anemiczną osobą napastowanego cudzoziemca.

- Wstydy! Co on o nas sobie pomyśli?

- Niech myśli, co chce, ale niech odda film. Potem jeszcze w zagranicznej gazecie wydrukują. Kto będzie odpowiadał? - burzy się ta w za dużej pelisie.

Francuz mamrocze, wściekle manipulując przy aparacie. Znowu szczęka migawka. Budowlani instynktownie zastaniają twarze.

- On mówi - tłumaczy student - że przeświecił teraz tamto zdjęcie. Powiada, że chciał zrobić pamiątkową fotkę, ale jak nie, to nie. On kocha Polskę i chce prosić o polskie obywatelstwo.

- A za cóż on nas kocha? - pyta podejrzliwie pan Duszek.

- Niech żyje Polska! - usiłuje wznieść okrzyk francuski anarchisty.

- Cicho, cicho! - miota się kierownicza. - Proszę nie robić zamieszania, bo wywieszę remanent.

- Jeszcze Polska nie zginęła - intonuje Francuz.

A mnie zabrakło powietrza. Wdycham z całych sił tę chłodną wilgoć i duszę się z braku tlenu. Im łapczywiej chwytam postną pustkę, tym bardziej ginę. Na oślep rzucam się do drzwi. Nie chcą ustąpić. Przy marzły, albo zablokowały się w zaspie. Wreszcie puszczają z przenikliwym zgrzytem. Wypadam na ulicę i nic nie widzę oprócz cichej, poszarzałej bieli. Ból w piersiach ustępuje. Hausty powietrza stają się sytniejsze. Spostrzegam czarne okna w ośnieżonych domach, przelatujące stadko szpaków i jakichś dwóch jegomościów, którzy usiłują przebyć wysoką

zaspę walcząc z upojeniem alkoholowym.

- Ale pięknie - odzywa się kaleka bez obu nóg usadowiony na szczycie przyzmy śniegu. Wygląda jakby zanurzał się rozkosznie w piennej kąpieli. - Świat jest piękny, tylko trzeba umieć to dostrzegać.

- A ja zacząłem korkować.

- Panie, nie dziwota. Tyle godzin w ogonku. Scisnęło za żeberka, prawda?

- Tak, i duszenie. Wie pan, jak w trumnie.

- Wiem, znam - śmieje się dobrodusznie żebrak. - Niech pan zajrzy do metryki. Na sto metrów to pan już nie będzie biegał. I ja nie będę biegał.

W wykwitnej restauracji siedzą więźniowie i piją herbatę patrząc szyderczo na śnieg za oknem i na nieszczęśliwych przechodniów. Portier w brązowej liberii pilnuje ich szufli opartych o marmurowy fronton.

- I co pan na to? - pytam raptem.

- Na co?

- Tak w ogóle.

Żebrak przedmucha jedną dziurkę w nosie, potem drugą.

- Ja myślę, że tego seta oddamy walkowerem.

- Myśli pan o naszym ostatnim secie?

- W pierwszym secie ucięli mi obie nogi. W czterdziestym czwartym. Pan jest podejrzliwy i wszyscy są podejrzliwi. Każdy sobie kombinuje, gdzie ten frajer stracił nogi. Może pod tramwajem, może kiedy skoczył z trzeciego piętra, albo po pijaku. A ja, panie, po prostu. W czterdziestym czwartym. Wtedy byłem najważniejszy, najpiękniejszy, prawie święty. Moje kikuty całowały poetyczne dziewczyny. Wzniosłem się przez obniżenie. Brak nóg to było jakby cztery nogi. Piękny czas. Ale i teraz jakos leci. Tylko już światła nie zmienimy.

- Ale zasypało. Może na zawsze? Może nas przeznaczenie tak opakowało na daleką podróż w głąb wszechświata? Chciałby pan pożegłować w nieskończoność?

- Na Pradze żyje jeden cieśla, o którym Bóg i natura zapomnieli na amen. Żyje i żyje bez końca, teraz to się nawet wstydzi tego przeoczenia. W młodości był bednarzem, aktualnie udaje cieślę, bo kto to wie, co to bednarz.

- Nie, w końcu nie ma przypadków. Nie narodzić się można przez zbieg okoliczności, ale umrzeć każdy musi.

- Przysięgam Bogu, niech pan pojedzie na Pragę. Wszystko zbudowało się na przypadku. Dlaczego w miliardach podobnych losów nie ma prawa zdarzyć się jeden wyjątek?

- E, nie chce mi się jeździć. Wracam do kolejki.

Jestem ulepiony z trzech glin. I ten ulepiec - czyli mnie - hartowano później w łagodnym piekle trzech żywiołów. Owe trzy substancje, z których się składam, to pierwiastek polski, pierwiastek litewski, pierwiastek białoruski. A te żywioły, to polskość, rosyjskość i judaizm, albo - ściślej - żydowskość.

Stara sprawa. Wiele jest zakątków w Europie, gdzie zmieszały się, nie stapiając, rozmaite grupy etniczne, różnorodne wspólnoty językowe, pstre społeczności obyczajowe i religijne. Ale ten mój zaścianek, moja Wileńszczyzna, wydaje mi się urodziwszy, lepszy, podnioślejszy, bardziej magiczny. Zresztą ja sam, w pocie czoła, pracowałem przy upiększaniu mitu tamtego pogranicza Europy i Azji, prakolebki europejskiej przyrody i azjatyckich demonów, kwiecistej doliny wiecznej zgody i przyjaźni ludzkiej.

Dopóty upiększałem, aż uwierzyłem w wyidealizowaną krainę, gdzie miłość była intensywniejsza niż gdzie indziej, gdzie kwiaty były większe niż na innych ziemiach, gdzie ludzie byli bardziej ludzcy niż na całym świecie.

A przecież tamta enklawa nie mogła się różnić wiele od innych enklaw, na które podzieliło się stare gniazdo ludzkości, odwieczna Europa. Te egzotyczne środowiska narodowe i religijne żyły razem na niewielkim skrawku ziemi, ale nie darzyły się ewangeliczną miłością. Zawsze i wszędzie zatajałem wstydliwie owe konflikty, animozje, nienawiści, w których uczestniczyłem i których najdotkliwiej się wstydziłem. Dlatego później, władając już jako tako piórem, nanizywałem naszą wspólną i niespoistą dolę na wątlą nić solidarności ludzkiej, przyjaźni, magiczności pospólnego przeznaczenia.

Był taki dzień, albo taka chwila, już na samym początku wątlej kariery literackiej, kiedy powiedziałem sobie, że będę przestrzegał

ściśle tylko jednego przykazania: nie użyj słowa swego przeciw obcoplemiennemu. Nie użyj metafory, paraboli emocjonalnej, tendencji moralnej przeciwko innemu człowiekowi innej religii, innego języka. Więc grzeszyłem przeciwko swoim, ale nie grzeszyłem przeciwko obcym.

Wysterowałem siebie z pieczołowitością w stronę uniwersalizmu, rzecz jasna w stronę uniwersalizmu ogólnoludzkiego, uważałem siebie za starannie zakonspirowanego kosmopolitę, co świętości własnego narodu wyrzucił chyłkiem na śmietnik, co przeżytki epoki waśni narodowych czy religijnych oddał na przemiał do wiecznego młyna historii.

Z pełnym grozy zdumieniem przerzucałem powieści patriotyczne swoich kolegów albo nie kolegów, z politowaniem kartkowałem dziełka traktujące o uświęconej martyrologii własnego narodu, z wyniosłą przyszaną przypatrywałem się spazmom nieżyczliwości albo wręcz nienawiści literackich wobec innych nacji. Ja żeglowałem wysoko. W wysterylizowanej aurze uniwersalnego obiektywizmu. Ja obcowałem z człowiekiem, z homo sapiens, i tylko jego dusza, dusza gatunku rządzącego całą ziemią mnie obchodziła oraz darzyła natchnieniem.

Któregoś dnia, albo którejś chwili przeczytałem pierwszą recenzję, co mnie nazwała literatem polskim, zatopionym w polskości, ograniczonym przez polski zaścianek. Roześmiałem się szczerze i serdecznie nad tym oczywistym nieporozumieniem. Mnie były obojętne - z powodów zasadniczych - uwarunkowania emocjonalne, moralne czy intelektualne ludzi ze zburzonych miast nad Wisłą. Ja pochodziłem z kosmopolitycznego Edemu, z zatopionej Atlantydy pranarodu, prajęzyka, prareligii.

Później przestałem się śmiać. Owa polskość jawiła się już we wszystkich krytykach. Owa polskość zaczęła się obracać przeciwko nie-szczęsnemu autorowi. Przez tę polskość niechcianą stawałem się już niezrozumiały, monotony, irytujący. Zacząłem ją zwalczać w sobie profilaktycznie, zacząłem się jej wstydić i bać, choć przecie nigdy jej nie użyłem, nie dotknąłem, nawet myślą nie liznałem. Była dla mnie najgrzeszniejszym tabu. To prawda, korzystałem z jakichś realiów, portretowałem zapamiętaną przyrodę: te drzewa, zioła i mchy, co rosną również w Belgii albo Kanadzie, zapisywałem incydenty wojenne, które mogły się zdarzyć we Włoszech czy w Norwegii, konstatowałem dewiacje psychiczne lub moralne właściwe także dla Niemców i Amerykanów.

Jak to się stało, że jestem autorem polskich książek, złych czy dobrych ale polskich? Dlaczego przyjąłem rolę, której przed wiekami się wyrzekłem? Kto mnie, Europejczyka, nie, obywatela świata, kto mnie esperantystę, kosmopolitę, agenta obcego mocarstwa Uniwersalności Losów, kto mnie przemienił, jak w złej bajce, w zaciętrzewionego, ciemnego, wściekłego Polaczka?

W salonie jubilerskim leniwy spokój. Koło studenta i anarchisty uformowała się niewielka grupa kibiców.

- Im się tam na Zachodzie odechciało - tłumaczy student. - Zmęczyli się Kryzysem. A on życie poświęcił rewolucji.

- Jakiej rewolucji? - pyta Grzesio.

- Jak to jakiej? W ogóle rewolucji. Gdzie by się nie zdarzyło.

Wobec tego przyjechał do nas.

- To znaczy, że u nas będzie rewolucja? - podchwytuje Grzesio.

- Dobry zek - uśmiecha się Duszek. - Dobrze zekuje. Wybije się w tym fachu.

- Ja nie powiedziałem, że będzie.

- To co pan powiedział?

- Mogłem na przykład powiedzieć, że u nas trwa rewolucja.

Grzesio namyśla się długo. Wyjął grzebyk z kieszeni dżinsowej i przeczesuje obfite falujące włosy.

- Coś pan kręci.

- Mnie się też wydaje podejrzanę, że przyjechał do nas i wałęsa się po tym zimnie - dodaje pani w za dużym przyodziewku.

- A co, wy też stoicie po pierścionki? - łapie wątek Grzesio.

- Jemu potrzebny sygnet do rewolucji?

- My trzymamy ogonek dla takiego jednego rencisty.

- Za ile?

- Za dwie stowy.

- Tanio.

- U nas ceny nie wygórowane.

Pan Duszek z upodobaniem przysłuchuje się tej szermierce słownej. Kibicował z nawyku Grzesiowi, ale w końcu sympatię jego zyskuje chudy, przemarznięty student.

- Dobry jest, ma alibi.

Na parapecie pod oknem wystawowym uformowało się jezioro wody z topniejącego szronu oraz lodu. Iwona bierze grubą świecę i kapie stearyną do tego płytkiego stawu. Przygląda się zastygłym w zimnie białym figurkom z krwistymi śladami farby.

Podchodzi wieśniaczka pachnąca dyskretnie perfumami Diora.

- Może jeszcze po jednym? - pyta.

- Nie odmówimy - kłania się Kojran.

- Ja bym zrezygnował. Nieszczególnie się czuję.

- Ty jeden źle się czujesz. A my co?

- On, proszę pani, jest artystą. Jego zdrowie potrzebne społeczeństwu - podpowiada Duszek.

- Ja też byłam kiedyś artystką - szepcze wieśniaczka. - A dziś prowadzę farmę hodowlaną. Wypijmy za sztukę i kulturę.

Odbieram chłodny kieliszek podróżny wypełniony szkockim alkoholem.

- Wypijmy za hodowlę - rzekę zrezygnowany.

- A po co ty jedziesz do Kalisza? - pyta zniechęca Kojran.

- Na proces. Na swój proces.

Kojran gwizdże sicho z podziwem.

- Kto cię podał do sądu? Dawni koledzy, których zdradziłeś, czy instytucje, które się na tobie zawiodły?

- Taki jeden nieznaną człowiek. Ubrdał sobie, że całe życie w każdej ze swoich książek opisuję jego los.

- Gszczerczo opisujesz jego los?

- Tak on twierdzi.

- A naprawdę opisujesz swój los?

- Kojran, ty wszystko wiesz. Całe szczęście, że jutro polecisz na zawsze do Ameryki.

- Wszyscy nie polecą. W końcu ktoś zostanie, kto o tobie wszystko wie.

Brzęczą drzwi. Ktoś szamrocze się z kryształową szybą omszałą śnieżnym puchem. Wreszcie puszczają te odrzwia przy wtórze jadowitego zgrzytu. Do wnętrza salonu wpycha się gromada ludzi w futrzanych czapach. Obstukują buty ze śniegu, kaszlą, siakają nosami. Prowadzi

energiczna jejmość w obcisłych spodniach na kolosalnym zadzie i w króciutkim kożuszku jak kamizelka. Skupiają się przy czole kolejki, przy tym newralgicznym punkcie obolałego ogonka.

- Co to jest? My czekamy od rana! - podnosi krzyk ta stara kobieta, która na początku skorzystała z uprzejmości studenta. Dopiero teraz widać, że nie jest taka stara, że od pewnego czasu adoruje ją jeden z budowlanych.

Nowo przybyli nic nie mówią, w milczeniu prą do lady niczym głuchoniemi. Tylko gęste kosmyki pary lecące z ich ust świadczą, że są zdenerwowani.

- Hola! - woła Kojran. - Pani kierowniczo, co to znaczy? Lepsi goście? Nie mają czasu, żeby postać?

Kierowniczka przerywa poufną konferencję z przywódczynią nowych klientów. Spogląda na Kojrana wyniośle.

- Dobrze pan zgadł. To lepsi goście. To nasi goście ze Związku Radzieckiego.

- Nie obowiązuje ich kolejka? - wrzasnął Grzesio i szybko zmienił miejsce, żeby nie rozpoznano, kto krzyczał.

- Nie obowiązuje - beznamiętnie odpowiada kierowniczka. - Uprzedzam, jeśli nadejdą przed zamknięciem sklepu pierścionki i obrączki, ci państwo, znaczy turyści, będą mogli zrobić zakupy poza kolejnością.

Zamiast wymysłów i protestów, zamiast rozpaczy i gniewu nieoczekiwanie tłum tuhyliców popada w raptowną depresję. Robi się cicho. Komuś strasznie kruczy w brzuchu. Od nowoprzybyłych podpiływa lekki zapach słynnych perfum "Podmoskownyje wieczera".

- Zapaliła się pierwsza gwiazda - powiada cicho Iwona.

Biegniemy do okna, chuchamy na szybę, przecieramy ją rękawiczkami.

- Jaka gwiazdka? Gdzie gwiazdka?

- Tam, nad dachem, koło anteny telewizyjnej - Iwona wskazuje różowym, cienkim palcem.

- To samolot schodzi do lądowania - powiada Kojran.

- Samolot ląduje podczas burzy śnieżnej? Coś ty? - zaprzecza pan Duszek. - To złudzenie optyczne. Dziś gwiazdy nie zobaczymy.

Przełamaliśmy się opłatkiem na czuja.

Przyglądam się Iwonie, która stoi tuż obok zwrócona do mnie profilem. Nigdy takie dziewczyny mi się nie podobały, a ta się podoba. Ciemne, prawie czarne włosy ze skłonnością do ondulacji "afro", wypukłe piwne oczy, wypukłe jasno różowe usta i cera, która miała zamiar być śniadą a poprzestała na bledości ocieplonej śladem rumieńców. Ta dziewczyna mi się podoba. Mam ochotę ująć ją za przegub kruchej ręki, a w tej chęci jest czułość i nieśmiały przebłysk pożądania. Ta dziewczyna mi się bardzo podoba, choć nigdy jej nie ujmę za przegub ręki, jak nie dotknę nigdy tych tysięcy dziewcząt osiemnastoletnich, dwudziestoletnich, które spotykam codziennie na ulicy. One idą drugim brzegiem. One płyną tą samą rzeką, ale jeszcze są przy źródłach. Los przeznaczył je dla młodych samców oddalonych ode mnie o kilka generacji.

Iwona odwraca twarz w moją stronę. Patrzy na mnie, a ja opuszczam wzrok. To jest dziewczyna z majestatem dojrzałej kobiety. Pamiętam takie sprzed wojny, z dawno zapomnianej ery królewskich kobiet i męskich mężczyzn. To nie jest stara dziewczynka w dżinsowych spodniach. To ociężała kobiecością moja dwudziestoletnia rówieśnica.

- Dzień dobry - powiadam.

- Dzień dobry - uśmiecha się, a mnie serce zatrzymuje się na moment w biegu.

- Dawnośmy się nie widzieli.

- Pan mnie nie chciał widzieć.

- To niemożliwe, choć jestem krótkowidzem.

- Panu się podobają blondynki.

- Mnie się zawsze wszystkie podobały. Nigdy nie byłem uprzedzony.

- Jak się czuje kot Iwan?

- Zna pani mego kota?

- Coś o nim słyszałam.

Na ulicy rzadnie zadymka. Widać domy po drugiej stronie. Na balkonach wiszą zwłoki zajęcy przypudrowane świeżym śniegiem. Od strony ronda nadchodzi wysoka, szczupła kobieta. Patrzę na nią przez mokrą szybę i czuję, że coś jest nie w porządku. W tym zamasztyłym kroku, w tym odchyleniu głowy do tyłu, w tej smukłości zadziwiającej

domyślam się przejmującej, tragicznej nienormalności. Na moment przesłania ją fragment ramy okiennej. W napięciu czekam, kiedy się znowu ukaze. Iwona, która zaczęła coś pisać palcem na zimnym szkłe, również czeka. Wreszcie ta nieznana kobieta pokazuje się znowu. Kroczy środkiem trotuaru. Przechodnie mijają ją obojętnie, ale zaraz stają zdumieni w miejscu, odwracają się, prowadzą ją wzrokiem przez ten kopki, jeszcze suchy śnieg. Dopiero teraz widzę, że kobieta, albo raczej dziewczyna, idzie niedbałym krokiem w długim do kostek perkalowym szlafroku w wielkie chryzantemy, że dwoma palcami unosi poły tego szlafrocka jak rąbek balowej sukni i pod połą chryzantemowego szlafrocka mieni się różowa jedwabna koszula nocna, a potem nagle spostrzegam grzęznące w śniegu bosa stopy, grzęznące jak w piasku plaży, a potem, wstrząśnięty, spostrzegam odrzuconą do tyłu jasną głowę z twarzą młodą, dziewczęcą ale jakby napiętnowaną szaleństwem, z twarzą ściętą ostatecznym postanowieniem, z twarzą upióra lub zmartwychwstającej nieboszczki, z twarzą, która śni się w straszne księżycowe noce.

Bosa kobieta w szlafroku mija salon jubilerski. Patrzy przed siebie i w górę, jakby w daleką perspektywę Pragi, jakby w tę ogromną przestrzeń, z której lecą wschodnie lodowate wiatry. Potem znika za framugę wystawy. Zostają tylko ślady bosych stóp i śnieżny pejzaż zamierającego miasta w wigilijny wieczór.

- Wie pani, jestem skrępowany naszą rozmową.

- A co pana krępuje?

- Banalność. Banalność nieprzywoitości.

- Myśli pan o moim i swoim wieku?

- Ciągle teraz myślę o tym czarnym trenie czasu, który poza

mną.

- Ja nie odczuwam różnicy.

- Ja także nie odczuwam, ale wiem. To gorzej.

- Na jaki cud pan czeka?

- Na cud zrozumienia. Na taki cud czekają ludzie od tysięcy lat.

- Ma pan nadzieję, że zrozumie pan pierwszy.

- Tak, mam taką nadzieję, która może się jednak nie spełnić.

Ale żyję nią ostatnio, tylko ona mnie absorbuje. Zdarzają mi się takie chwile, jakby się zaczynał proces zrozumienia, jakbym kąpał za pierwsze

ogniwo niczym za pierwsze ziarno różańca, lecz za moment ten płomyk gaśnie zdmuchnięty przez biologiczność, przez rutynę życia, przez ziemskość i od nowa rozpoczynam proces przygotowawczy do zrozumienia, rozpoczynam medytacje, rozpoczynam koncentrację wszystkich sił duchowych i czekam na ten cud olśnienia, o którym wspominają ci nieliczni, co umarli i zostali przez lekarzy przywrócenii życiu. Ale oni nie umieją sformułować swoich wrażeń w uogólniającą maksymę, we wniosek eschatologiczny, w akt strzelisty nowej wiary, albo nowej świadomości. Ja bym to potrafił, jestem na to przygotowany od lat, czekam na ową eksplozję o każdej godzinie dnia i nocy, o każdej godzinie dobrej i złej, o każdej godzinie, która wybije całej Drodze Mlecznej albo jest tylko złudzeniem.

- A gdybym ja panu powiedziała? Gdybym przekazała panu wzór, który pan sobie sam rozszyfruje i objaśni?

- Pani tu pracuje do czwartej, a później idzie do wieczorowego technikum handlowego. Wiele ładnych dziewcząt z dobrych domów zawarło kiedyś naukę i teraz pracują w biurach jako gończynie albo pomoce w sekretariacie, żeby mieć prawo do wieczorowych liceów, matury, tego kwitka, co daje możliwość skromnego startu. Mama pani kupiła modny, ciepły golf, tato odłożył na wycieczkę do Bułgarii w razie pomyślnego egzaminu, babcia modli się co wieczór, żeby panią nie spotkała zła przystępna.

Iwona uśmiecha się i ściera dłonią z okna napoczęty hieroglif, albo wzór fizyczny.

- Skończyłam liceum dzienne, po czterech przepisowych latach zrobiłam magisterium. Babcia nie modli się, żeby nie spotkała mnie zła przystępna. Jestem stara, proszę pana.

Turyści radzieccy częstują mężczyzn z kolejkki luksusowymi papierosami radzieckimi. Zmęczeni klienci przestępują z nogi na nogę mlaskając w błocie pokrywającym alabastrową podłogę.

- Jak pani myśli: dlaczego ta dziewczyna tuż przed wigilią szła w szlafroku i boso przez zawieję?

- Musiała coś przeżyć, czego nie można przeżyć.

- Nikt jej nie ośmielił się zatrzymać.

- My też odczuliśmy onieśmielenie, nabożny strach przed ostactwością.

Podchodzi Kojran niosąc wytworknie w dwóch palcach radziecki papieros z filtrem.

- Widzisz, pamiętam ci tobie - rzecze do mnie strzelając przekrwio-
nym okiem ku Iwonie. - A może i pani zapali?

- Dziękuję. Nie palę - Iwona odchodzi za ladę, palcem wygładza
krawędź świecy, żeby nie ściekała stearyna.

- Namotałeś dziewczynę? - pyta Kojran.

- Słabo. Od złej strony chyba zacząłem.

- W twoich książkach też słabo pod tym względem. Jakoś ślami-
zarnie i niezbyt prawdziwie. Więcej trucia niż erotyki. Czy ty w takich
okazjach naprawdę przypominasz sobie wojnę, albo męczysz się z trud-
nościami wzwołu?

- Trochę męczę się, ale nie wspominam wojny. Jeśli wspominam,
to wiele innych rzeczy. Jak przed śmiercią.

- Uch, ty jesteś fałszywy.

Przypala mi radzieckiego papierosa. W chwilejnym świetle zapal-
ki widzę jego ręce, jakby czyste, ale zarazem trochę brudne, ręce czło-
wieka, który o świcie wychodzi z domu i późno wraca. U nasady kciuka,
na wierzchu dłoni, majączy siny, napuszczony prochem werset: honor
i ojczyzna. Napis wytatuowany w młodości, który rozrósł się razem
z dłonią i zwiótchał razem ze skórą.

- A kiedy ty jedziesz do Kalisza?

- Zaraz po świętach. Na razie mam dwa darowane dni.

- Widziałeś tego człowieka, który wytacza ci proces?

- Nie, nie widziałem. Ale stał. Czuję jego obecność. Nawet te-
raz, w tej chwili. Rozmawiam z Iwoną, z tobą, z panem Duszkim,
a częścią siebie obcuje z tym człowiekiem, który osacza mnie listami,
nowelami będącymi filozoficzną odpowiedzią na moją filozofię, pogróż-
kami przez dalekich znajomych, osacza mnie swoją agresywną obec-
nością, zapiekłą nienawiścią, natarczywą tajemniczością. On jest
silny, bo żyje tylko ideą zniszczenia mnie, a to zniszczenie nie jest
zniszczeniem jakiegoś pojedynczego człowieka, ciemnego blondyna śred-
niego wzrostu legitymującego się dowodem osobistym numer SJ 6311687,
to zniszczenie jest zagładą jakiegoś upióra, jakiejś wrogiej abstrakcji,

jakiegoś złego sensu w ogólnym bezsensie. On wyrzekł się wszelkich pokus życiowych, może nawet rozwiódł się z żoną, je tylko korzonki, pije wodę z kranu i żyje nadprzyrodzonym pragnieniem roztarcia mnie na proch i rozsypania tego prochu w górnych warstwach atmosfery. Jestem z nim teraz połączony przerażającymi związkami aż do mojej śmierci albo do jego śmierci. Ten proces to pierwszy przystanek w naszej wspólnej Golgocie.

- Chwała Bogu, że nie masz większych zmartwień.

- To jest największe zmartwienie. Cudza bioenergia bombardująca przez całą dobę, nawet we śnie, nawet w omdleniu.

Zapala się światło elektryczne. Salon jubilerski staje się znowu wytworzonym butikiem europejskim; kierowniczką gasi świece zaduszając pośliniaczonymi palcami rozżarzone knoty. Znowu słychać daleką kołędę graną przez uliczną orkierstę.

- Wracamy do ogonka - decyduje Kojran. - Jeśli natura dała ci jakie zdolności, to nie na nihilizm i rozmamłanie. Pisz, kurwa, ku pokrzepieniu serc.

- Masz rację. Dobrze byłoby pokrzepić. Ale wszystko mi się ja-
koś splątało. Wszystkie obowiązki, powinności, prawa i koncesje. Nie
wiem, jak zacząć.

Stajemy na naszych miejscach w czarnej kałuży, która odbija
złociste blaski kryształowych żyrandoli. Ta staruszka, która okazała
się niestara, i którą embluje budowlany, walczy z siatką miotaną na wszy-
stkie strony przez olbrzymiego karpia, co kona od kilku godzin i nie może
skonać.

- On mówi - rzecze student niestrudzenie objaśniając swego anar-
chistę, że w Polsce jest coś. Jakiś geniusz. Jakaś siła wiecznego niepo-
koju. On oglądał polskie filmy, zna polską szkołę.

- Wielu bezstronnych ludzi zachwyca się naszym krajem - powia-
da pani w obszernej pelisie.

Dole i niedole narodów przypominają często dole i niedole posz-
czególnych ludzi, zwykłych ludzi z tłumy, z codziennej, nieefektywnej
egzystencji. Są narody z fartem, z łutem szczęścia, robiące zawrotną

karierę i są narody pechowcy, nieudacznicy, Łazarze. Są narody, którym idzie karta do pewnego momentu, a potem nagle los się odwraca i zaczyna się gwałtowne marnowanie dorobku aż do ostatniego grosza, a są również takie, którym przeznaczenie odmierza na każdą epokę skromną miarką nieefektywnego powodzenia. Są narody chciwe i pazerne, co pewnego dnia stają się gnuśne i bierne, są także narody lekkomyślne i niefrasobliwe, co nagle uczą się myśleć i przewidywać. Są narody podłe i sprzedajne, które historia czyni nagle bohaterskimi i szlachetnymi, są narody czcigodne, rzetelne, które w złej chwili schodzą na złą drogę uprawiając lichwę, szantaż i stręczycielstwo.

Zaczytuję się historią. Sledzę życie narodów i pojedynczych ludzi. Brnę przez naszą polską historię tam i z powrotem, tędy i owędy. To ulegam wzruszeniom oraz lewitacjom podniosłym, to spadam na samo dno upokorzeń i rozpaczy. Wtedy sięgam po curriculum vitas naszej siostrzycy, Rosji. Ta miała fart i nieustanną passę. Carowie wyrzynali swój własny naród, stanowili najgłupsze, najciemniejsze prawa, płatali się w najbardziej ryzykowne wojny, wytyczali nierealne cele polityczne i głupie zawsze obracało się w mądre, reakcyjne w postępowe, klęska odmieniała się w zwycięstwo. Jeden z największych carów, Piotr I, już przegrał wojnę z Turkami, już siedział w niewoli u Wielkiego Wezyra i w tym najniebezpieczniejszym momencie dla siebie i państwa wpada na pomysł zwykłej łapówki, marnego bakszyszu podawanego z ręki do ręki, napiwka, jakim częstujemy hydraulika lub dozorcę. Wielki Wezyr przyjmuje łapówkę, uwalnia Piotra, historia natychmiast głaszcze po głowie rosyjskiego olbrzyma, karta się natychmiast odwraca, Rosja wstępuje na następny szczebel mocarstwowej potęgi. Zwykła łapówka, kupa monet, decyduje o losie gigantycznego państwa. Oto dobroduszny żart historii.

Cały układ społeczny, ekonomiczny, cywilizacyjny powinien prowadzić, popychać, strącać w przepaść zagłady i niebytu państwo rosyjskie. Ciemny, obskurancki despotyzm, zdziczenie wyższych sfer, nędza ludu, samowola głupich i sprzedajnych urzędników, niewiarygodna indolencja wodzów, najreakcyjniejsze prawa i obyczaje, barbarzyństwo w stosunkach między ludźmi - to wszystko miast zatopić państwo w haniebnej anarchii, miast zdemolować strukturę państwową, miast

wykorzeńć naród rosyjski ze wspólnoty europejskiej, to wszystko mozolnie budowało potęgę dawnej Rosji, jej supremację, jej wielkość wśród narodów starego kontynentu.

U nas szlachetność wykształconych monarchów, energia rozumnych ministrów, dobra wola obywateli, hołdowanie szczytnym ideom ludzkości, u nas te wszystkie pozytywne, przykładowo, czytankowe wartości dewalowały się zniweczyć. Kurwiły ni z tego ni z owego i jak kamień młyński ciągnęły na dno czcigodnego trupa Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

My dobrze wiemy co i dlaczego. Nasi historiozofci opukali dokładnie kręgosłup naszej historii. Wydobyli na jaw wszelkie ułomności, wady i zwyrodnienia. My wiemy, że nas zgubiła złota wolność. Dzikie, zwarowane przywiązanie do swobód pojedynczego obywatela, do autonomii i niepodległości człowieka. Nasza cała bieda z tej rozpasanej wolności. Nasza cała gogota z tej niewczesnej erupcji indywidualizmu. Nasza cała niepewność jutra z tej niewytłumaczalnej inklinacji do rozpasanego, niczym nieskrępowanego "ja" przeciwstawionego "nam", "wam" oraz "im".

Jak zły ucniom, jak osłom z ostatniej ławki, jak chuliganom podmiejskim stawiają nam za przykład brodac i mędrco historiozofci naszych wzorowych sąsiadów, którzy zamiast pławić się w wolności, czynić z wolności bóstwo i religię, budowali silne despotyczne państwa, organizmy oparte o tyranję, o zajądłą przemoc państwa nad bezzadną jednostką, o kultmiżdżenia pojedynczego człowieka w imię ludobójczych celów molochów mocarstwowych. Nasza historia-zazdrości sąsiadom ucinających głów, państwowego bezprawia i ostatecznego zniewolnienia istoty myślącej, zwanej przez biologów, braci historyków, homo sapiens.

A do diabła z tą niespełnioną karierą despotów i tyranów. A do diabła z tą niezrealizowaną rolą żandarma Europy. A do diabła z tym niedoszłym powołaniem na kata pojedynczych bezbronnych ludzi i całych bezpislnych narodów.

Czy mamy się wstydzic umiłowania wolności? Choćby to była wolność głupia, wariacka, totalna, anarchiczna, zaściankowa, choćby to była wolność wiodąca do zguby.

Wiem, wiem. Znam doskonale te złowieszcze przykłady złotej wolności, z której wynikły całe łańcuchy nieszczęść i tragedii narodo-

wych, widzę ogrom zła, co się zrodziło z sarmackiej, szlacheckiej, samolubnej, nihilistycznej, bezmyślnej, sobiepańskiej, egoistycznej wolności polskiej. Ale gdybyśmy byli nawet zdyscyplinowanym, karnym, mrówczym społeczeństwem rodzaju anglosaskiego, czyż zachłanny despotyzm nas by oszczędził, czyż agresywny totalitaryzm sąsiadów nie poćwiartował by naszego trupa na kawałki? Bo szlachetność ulegnie zawsze nikczemności, bo cnota padnie do stóp zbrodni, bo wolność zgładzi z rąk niewoli. Choć mi żna również powiedzieć, że prawość pokona grzech, że dobro zwycięży zło, że wolność zatriumfuje nad niewolą. Ale pamiętajmy, że dobro jest wolne jak obłok na niebie, a zło jest szybkie jak piorun.

Z zaplecza wychodzi sprzątaczką z wiadrem, miotłą i czasną ścierką. Obojętna na luksus salonu, na układy w kolejce oraz na nasze buty, zaczyna zgarniać błoto i przenosić je w ścierce do wiadra. Ustępujemy z drogi dyskretnie wycierając spryskane nogawice spodni. Nikt nie ma śmiałości zwrócić jej uwagę na bezwzględną ryzykowność funkcjonowania ścierki.

- Polak jak dać mu wolność, to wszystkich przeskoczy - odzywa się pan Duszek i natychmiast milknie speszony nagłą ciszą, jaką kwituje ogonek jego maksymę.

- Nie przywiozą towaru - odzywa się wreszcie Grzesio.

- Wygląda na to, że nie przywiozą - popiera go wieśniaczka pachnąca Diorem. - Może komuś zimno?

Wskazuje lakierowanym w kolorze pistacjowym paluszkami swoje srebrne kieliszeczki. Kojran opuszcza dyskretnie niedopałek w kupkę błota i zdeptuje kamaszką, odrzutem z eksportu.

- Jeśli Sowieci czekają, to na pewno towar będzie.

A turyści radzieccy rzeczywiście rozgościli się w salonie na dobre. Zbici w karny tłumek drzewią, albo rozglądają się leniwie po rokokowym wystroju ścian oraz sufitu. Tylko jeden z nich patrzy z uporem na mnie. Patrzy i uśmiecha się pocziwie jakimś znanym mi dobrze uśmiechem. Ale i twarz jego skądś pamiętam, przypominam sobie te szare oczy krótkowidza, grubawy nos i wązkie usta o barwie wiosen-

nej dżdżownicy. Śmieje się do mnie, kiwa palcem trochę prostacko, a trochę familarnie. Rozglądam się ostrożnie, czy nie upatrzył kogoś innego. Nie, moi współtowarzysze ogonkowi gapią się bezmyślnie w kryształową ladę. Ten Rosjanin mnie ma na uwadze, do mnie śle uśmiechy i mnie wabi ciężką, spracowaną ręką.

Więc podchodzę niepewnie i on mi rusza na spotkanie.

- Tadźka? Konwicki? - pyta. - Syn Jadwigi?

- A ty Kaziuk? Syn Konstantego?

- Nu tak. No i spotkali się. Ot zdarzenia.

Obejmujemy się, całujemy w policzki koło ust. On wonieje tytoniem samosiejką oraz baranim kozuchem, ja zapewne płynem do goleń "Green Wather".

- Patrzaj, na koniec życia popadli na siebie - dziwi się Kaziuk i uśmiecha się tak serdecznie, tak ufnie, tak radośnie, jak tylko u nas uśmiechali się zdawkowo szczerzy ludzie.

- Myśmy się nigdy w życiu nie widzieli, prawda? Znałem tylko twoją siostrę Alinę z jakichś wakacji?

- Znali my siebie tylko ze słyszenia. Ale ja ciebie zrazu poznał. Zawsze mówili wszyscy, że my podobne jak dwie kapli.

- Poczekaj, myśmy mieli wspólną babkę?

- Tak, babka była wspólna, ale i siostra mego ojca wyszła za twego wuja. A stryjenki Malwiny pierwszy mąż był chrzestny twojej matki. Znowu twoja matka, znaczy się Jadwiga, została szwagierką cioteczną siostry mojej mamy. Te dwa bracia, co żyli koło Wormina, to poženili się z córkami siostry twojej matki, znaczy się Jadwigi...

- Poczekaj, nic nie rozumiem. Ale pamiętam ciebie z opowieści. Ty spadłeś z dachu i zabiłeś koguta?

- Tak, u nas wszystko splątane. My same nigdy nie rozbierali się w powinowactwach. Ale w pokrewieństwach tak.

- To ja jestem twój krewny?

- Koniecznie. I my podobne jak dwie kapli.

- Gdzie ty żyjesz teraz, Kaziuk?

- U siebie. Niedaleko Oszmiany. A ty gdzie żyjesz?

- Tutaj, w Warszawie.

- Też można żyć - zgadza się Kaziuk.

Spod barankowej papacy spada na czoło spocony, siwawy kędzior włosów. Na brodzie przylepiony skrawek bibułki papierosowej podeszły krwią. Widać Kaziuk goli się po dawnemu starą brzytwą. Patrzę na jego szaraczkową burkę uszytą krojem oszmiańskim sprzed pięćdziesięciu lat. W takiej burce ja kiedyś ruszyłem na wojnę. Ruszyłem podbijać świat.

- Do was jedzie się brzegiem puszczy Rudnickiej.

- Można i tak, choć to dalej. Ale puszczy Rudnickiej już nie ma.

- Jak to nie ma?

- Nie ma Rudnickiej, nie ma Nalibockiej, nie ma Ruskiej. - Wycięli ludzie. U nas teraz Europa.

I właściwie temat się wyczerpał. Patrzymy na siebie uśmiechnięci, ale teraz już uśmiechnięci z przymusem, bo rozbolały nas mięśnie szczęk od tego długotrwałego uśmiechu. Więc jeszcze raz bierzemy się w objęcia. Spostrzegam kątem oka na przegubie jego ręki zegarek marki "pobieda" i on, jeśli jest uważny, na moim przegubie również dostrzeże zegarek typu "pobieda".

- Twoja mama, mówią, nie żyje?

- Tak. A twoi rodzice?

- Moi też nie żyją.

- Pracujesz pewnie w kołchozie?

- Tak, brygadzysta chlewni.

- Jak nazywa się wasz kołchoz?

- Jak wszystkie. "Pobieda". A ty pewnie dyrektor?

- Niezupełnie. Ale daję sobie radę.

- Kożuch kupił Tadzia jak pastuch - zauważyła Kaziuk ni to z podziwem ni to znaganą.

- Taka u nas teraz moda.

- Pieniądzy nie potrzebuje? Mów otwarcie, bo u mnie czerwoniców cała kieszeń.

- Ja też mam dość. Gdybyś potrzebował...

- Swoje ciężko wydać. Dziengi są, tylko życia nie ma.

Kaziuk śmieje się ze swojego żartu i uderza mnie ciężką ręką w kark.

- Nie bojsia. Lubię pożartować. Mnie wolno, bo ja gieroj socja-
listiczeskawo truda.

- Ohoho, wybiłeś się. Przynajmniej jeden z całej rodziny.

- Bywa. Chcesz zobaczyć - i nie czekając na moją odpowiedź, roz-
pina burkę, pokazuje złotą gwiazdkę obok kłapy marynarki.

Milkniemy na dłuższą chwilę. Na ulicy buksuje w zaspach tramwaj
z pługiem śnieżnym. Oba ogonki, radziecki i polski, przyglądają się nam
powściągliwie. A my stoimy pośrodku salonu jubilerskiego, stoimy zmę-
czeni już tym nieoczekiwanym spotkaniem.

- Masz dzieci? - pyta Kaziuk.

- Mam. Dwie córki. A ty?

- Też mam. Dwóch synów. Młodszy uczy się, a starszy już w woj-
sku, na Kaukazie służy.

- U ciebie w domu, Kaziuk, nie straszy po nocach? Ja tam często
wracam. Wracam w chorobie, albo w depresji, czasem we snach. Prze-
kraczam nielegalnie granicę w czapce niewidce tęsknoty, chodzę po stecz-
kach dzieciństwa, kąpię się w rzekach młodości, zaglądam do chat pierw-
szej dorosłości.

- Ty patrzaj, Tadzka, żeby ciebie nie chwycili pogranicznicy, bo
obudzisz się w turmie - śmieje się Kaziuk. - Może niepotrzebnie wyjeź-
dzałeś z Wilna?

- I jakie teraz byłoby moje życie?

- Takie jak moje. U nas kołchoz wielki. Za trzy dni nie obejdziesz.

Wszyscy się zmieszczą.

- Jesteś zadowolony ze swego życia?

- Nie myślałem nigdy o tym. Mogłoby być marniej. A ty?

- Ja ciągle myślę o moim życiu i nic nie mogę wymyślić.

- Człowiek stworzony, żeby pracować. Siedzę pod Oszmianą i pil-
nuję naszej ziemi, naszych lasów, naszego pacierza. Więcej nic nie
wiem. Wszystko inne jerunda.

- Jesteś pozytywnym bohaterem.

- Co to znaczy?

- Pałazytielnyj gieroj.

- - U nas gierojew mnoga - śmieje się Kaziuk.

Znowu robi mi się duszno i zimno zarazem. Nie przeszywa mnie raptowny ból, nie trzęsą się ręce, nie ciemnieje w oczach, ale czuję, jakbym wolno z uozuciem przykrości zaczynał umierać. Przyglądam się sobie z życzliwym zdumieniem i widzę, jak rodzi się we mnie straszna mroczność, czarna aksamitność podszyta niespiesznym lękiem. Nie od czuwam obezwładniającej słabości lecz chce mi się położyć na ziemi, koniecznie na zimnej ziemi i przyłożyć policzek do wilgotnego chłodu. Słyszę zgłuszony szum, wszystko oddala się stopniowo jakby widziane przez odwróconą lornetkę, i chcę poszukać ręką krzesła za sobą, i chcę coś powiedzieć pożegnalnie zabawnego, i chcę nie chcieć.

Na horyzoncie nowa jutrzeńka nowej ery. Ludzkość powoli stapia się w jeden nowy naród, w ziemian. Łatwość komunikacji transportowej, komunikacji informacyjnej, komunikacji myśli, obyczaju i kultury, ta łatwość zmniejszyła ogromny dawniej wszechświat świata. Kula ziemską stała się lupiną, na której trwamy porażeni strachem wobec niewiadomej przyszłości.

Rodzi się jakoś wspólnota biologiczna, wykuwa się załazek uniwersalnego języka, którym może być na początek, jak chcą profesorowie nienawidzący literatury, język obrazków, język hieroglifów plakatowych. Jednoczy się ekonomia i polityka w coraz rozleglejsze obszary aż stanie się ogólnościowym oceanem naszej sumy. Zuniwersalizowała się sztuka współczesna, zatary się w wielu miejscach granice państwowe, coraz więcej ludzi różnych ras i różnych narodów zawiera małżeństwa. Jutro będziemy jednym wielkim braterskim narodem.

Ale dzisiaj, jakby w przewidywaniu zguby, poczucie narodowe, plemienne, czy regionalne rozwydrza się, eksploduje, uruchamia katastrofalne reakcje. Najmniejsze grupki narodowościowe, najcichsze wysepki, najskromniejsi spadkobiercy dawno wymarłych społeczeństw domagają się wszędzie wolności. Widzimy zatem, jak stare wyliniałe demokracje burżuazyjne kapitulują posępnie wobec jakichś archipelagów r raf koralowych, wobec ambitnych powiatów, wobec zbisurmanionych stad ludzkich.

Wolność nagle stała się jednym z najważniejszych zasobów naszej lekko już przechodzonej ziemi. Eksploatacja wolności przoduje w sta-

tystykach eksploatacji zasobów globu. Przyszedł więc dzień, kiedy wolność stała się naszą pierwszą potrzebą. Wolność narodów, korporacji i wolność zwykłego anonimowego człowieka, co szamocze się z marnym życiem, ze złą żoną i z kompletnym brakiem zdolności. Powszechna demokratyzacja udostępnia wszystkim ludziom wszystkie dobra tego świata. Wolność również.

A my przecież zawsze byliśmy gorliwymi szermierzami wolności. Wiele natrudziliśmy się w ryzykownym procederze odkrywania i rozpowszechniania tej boskiej witaminy. Wiek dziewiętnasty to epoka naszej wielkości i upadku. Sto kilkadziesiąt lat wyliśmy wilczym głosem o wolności, a wy zatykaliście uszy. Sto lat biegaliśmy z bronią po świecie osłaniając walczących, a wy nas denuncjowaliście policyjnym agentom.

To prawda, w krótkich chwilach wzniosłości podnosiliście nas na rękach jak symbole swobody, ale nazajutrz ekspulsowaliście ze swoich państw sytych i czczących wolność w słowie oraz piśmie. Z rzadka całowaliście nasze męczeńskie czółka, lecz częściej opluwaliście, wyszydzałaście i poniżaliście naszą walkę z przemocą, walkę, która nie znała porwania statków z niewinnymi ludźmi, nie znała kidnaperstwa, nie znała demonstracyjnych mordów dokonywanych na dzieciach i kobietach.

Teraz wolność dają jak chleb. Na wielkim bazarze Narodów Zjednoczonych przydziela się wolność każdemu kto zechce. Kolorowi i monochromatyczni, garbaci i prości, głupi i mądrzy wynoszą z Manhattanu wolność garściami, workami, kontenerami. Dajcie i nam, do cholery powąchać wolności.

Obudziłem się w niebie. Jestem w samym środku miękkiego ciepła, w samym sednie łagodności, jestem dziwnie lekki, tak lekki, że chyba pozbawiony ciężaru własnego ciała. Słyszę muzykę pogodną i majestatyczną, którą w niebie Haydn komponuje na użytek chórów archanioelskich. Lekkie różowawe światło przesyca pachnące powietrze i to światło też jest rajskie, choć zabarwieniem mogłoby komuś przypominać kolory przedśionka piekieł. A nade mną zawisł trójwymiarowy obraz anielicy znanej wszystkim ze starego malarstwa śródziemnomorskiego.

Widzę ciemne włosy o krok od "afra", widzę słodkie wypukłe oczy, widzę trochę odęte usta i widzę łagodność szyi obleczonej w bladą lecz zarazem gorącą skórę.

- Czy chcesz żyć?
- Umiarkowanie, Iwono.
- Nie nazywaj mnie Iwoną. Jeśli wolisz, mogę być Basią.
- Dobrze, pani Iwono. Niech pani będzie Basią. Ale dlaczego

Basią?

- To wszystko jedno, a Basia lepiej brzmi. Coś mi skądś przypomina. Więc chcesz żyć?

- Nie za bardzo. Już dosyć długo żyję.
- Nie przesadzaj. Nie widzę na twojej głowie ani jednego siwego

włosa.

- No tak, włosy się trochę opóźniły. Ale jeśli idzie o to, co można przeżyć, wszystko zaliczyłem. Nie mam już ciekawości, moja ciekawość wyczerpała się, a właściwie pozostała niezaspokojona i nic już jej nie zaspokoi.

- A co chciałbyś jeszcze wiedzieć?

- Ciśnie mi się na język to ostateczne pytanie, tak okropnie banalne, tak nudne i irytujące przez fakt, że ciągle nęka każde indywiduum w całej jego egzystencji, pytanie aż nieprzyzwoite w swojej bezradności, pytanie wstydlive, bo bez odpowiedzi, pytanie, którego nie zadają ludzie ambitni. I po cichu czekam na cud. Czekam stale na odpowiedź. Ludzę się, że pewnej nocy przyjdzie jakiś bliski umarły, ojciec albo matka, ktoś z przyjaciół albo pewna dziewczyna, co bez powodu popełniła samobójstwo, że przyjdzie do mnie upiór i da odpowiedź, na którą tyle lat czekam i chyba nigdy się nie doczekam.

- Już mi mówiłeś o tym pytaniu, a ja proponowałam, że podam ci wzór do rozszyfrowania na długie zimowe wieczory.

- Umówmy się, że jest pani egzotyczną świadomością z egzotycznej galaktyki naszej Drogi Mlecznej, albo z miliona innych egzotycznych Drog Mlecznych, że tę obcą świadomość lub raczej nadświadomość czy superświadomość ubrano jak w standardową odzież w ziemskie, ludzkie ciało, a wybrano ten cielesny przydziewek z pewnym gustem i nosi go pani nie-

dbale, nonszalancko, bez uwagi niczym strzęp wiatru kosmicznego albo garść wodorostów z kanionów wszechświata.

- Dobrze, umówmy się, że jestem duszą z innego wymiaru przystrojoną dla twoich oczu i, jak słyszę, trafnie ucieleśnioną i ty nie zgłaszasz zastrzeżeń. Wolę duszę niż świadomość.

- Z tą cielesnością było pewne ryzyko. Gdyby opatrność posunęła się o odcień dalej, straciłaby we mnie klienta.

- Chwała przeznaczeniu za rozważę. Czy zgodzisz się jeszcze na to, że wybrałam cię przed paruset tysiącami lat i czekam na tę chwilę, kiedy wasze słońce wejdzie w znak waszego koziorożca, to znaczy wasza ziemia odchyli się w śmierć do ostatniego milimetra i zacznie z powrotem wraoac do życia, kiedy ty w tej sekundzie bezruchu zatęsknisz do nieznannej przyszłości i zatęsknisz do nieznannej przeszłości.

- Zgadzam się, chociaż to już za dużo. Zawsze miałem słabość do trochę tajemniczycy kobiet, ale tylko trochę.

Nie widzę ścian ani sufitu. Wszędzie różowawa ciemność. I muzyka pełna głosów dzwonek albo trianguków. A ona pachnie ziemskimi ziołami.

Wyciągam do niej dziwnie lekkie ręce. Dziewczyna pochyla się. Czuję jej chłodny oddech na policzkach. Widzę w jej oczach przyzwolenie, albo raczej ciekawość o wyostrozonym słuchu. Więc unoszę odrobinę swoją lekką głowę, nasze twarze są już tak blisko, że ciepło jej ust dotyka moich warg.

- No i co? - pytam.

- No i nic - odpowiada.

- Zobaczymy, czy aniołowie mają usta.

Całujemy się patrząc sobie w oczy. W jej źrenicach coś się dzieje. Jakby spadała i podnosiła się żaluzja migawki. Jakby przemknął strach, ból, albo pamięć czegoś. Usta jej smakują rozgniecioną wiosenną trawą, nie poznają ulotną słodycz soku wiosennej brzozy czy młodego klonu. Nagle słyszę w sobie powstający szum, też chyba szum wiosenny i widzę, że nie jestem jeszcze taki stary, że budzi się we mnie ta ogłuszająca drżączka, którą pamiętam z dawnych lat. Odgarniam golf i trafiaam palcami na wysmukle przęsła żeber okryte gorącą i pulsującą ma-

terią. Ona też modą ziemianek zrezygnowała ze stanika. Obejmuję piersi pełne życia, piersi prawdziwe, piersi z erotycznych snów, piersi, jakie kiedyś nosiły kobiety w latach mojej młodości. Piersi uwiecznione przepięknymi sutkami, młodowymi kraterami olśniewającej tajemnicy. Piersi, co się mogą trafić raz w życiu i daj Bóg, żeby nie za późno. A sutki smakują nie trawą, nie sokiem, ale słońcem, lipcowym upałem, duszną godziną przedwieczera.

- Przeżyłeś atak serca - mruczy dziewczyna.
- Sprawdzimy, czy aniołowie mają ziemskie piersi.
- Nie boisz się śmierci?
- Nie poraz myśleć o głupstwach.

A ta drżączka przechodzi w konwulsje, które miały mną jeszcze na Wileńszczyźnie, kiedy uczyłem się abecadeł pożądania. Walczą z anielskimi szatami, co bronią dziewczyny i mnie przed grzechem. Wyłuskuję ją z przyzwoitości i oto jest przy mnie gorąca, zdyszana, realna jak we śnie, albo w tęsknocie. Ja też się stałem, sam nie wiem kiedy, zupełnie nagi, też chyba gorący i młody. Haydn lub inny muzyk niebiański podnosi obok głos wypełniony dzwonekami i trangułami. Jej nogi jak skrzydła białej jaskółki, jak skrzydła rozpostarte do lotu.

- Przekonajmy się, czy aniołowie są dziewczynami.
- Nie, nie. Tak strasznie wali ci serce.
- Dobija się do twego serca.

Ogarnia nas mrok, czerwona poc zamkniętych powiek. Krótkie ściemnienie osłaniające łoskot tętnic, chrapliwe zaklęcia i jej albo mój nieludzki krzyk przeszywający podniebną frazą Haydna. Słuchamy długo tego krzyku, który zacicha w nas nieskończoną chwilą przejmującego szczęścia, albo rozkoszy, co zdaje się być szczęściem. Chłodny pot płynie łaskotliwie po moim grzbiecie jak kropla wiosennego deszczu.

- Posuń się, staruszkę - mruczy Basia.

Oddkopuje nogami resztkę naszych ubrań i leży bezwstydnie naga, leży na wznak z rozrzuconymi ramionami, jej dłoń trafiła pod mój kark. Oddycha chciwie, ze smakiem. Widzę przed sobą łagodne wzniesienie jej piersi ze skurczonymi chutliwie sutkami. Pod białą skórą pulsują pracowicie niebieskie żyłki, realne, ziemskie przewody układu krążenia. Na

jej szyi lśni także różowa wilgoć potu. A mieni się ona dlatego różowo, ponieważ nad nami kolebie się lampa z gołą żarówką okrytą niedbale przez kogoś czerwoną okładką jakiegoś tygodnika ilustrowanego. Ta lampa chwile je się od naszego szału i powoli zacicha, jak my zacichamy.

- Nie mów do mnie: staruszk. Sam o tym pamiętam cały czas.

- Przecież jesteś staruszk. Patrz, jakie masz fałdy na brzuchu.

- No bo leżę rozluźniony. Musiałabyś zobaczyć mnie na boisku.

Basia, ta niegdysiejsza anielica, ziewa szeroko. Przez moment widzę spody jej zębów i plombę w trzonowym. To po prostu baba, rosta, dorodna, młoda baba. Kładę rękę na jej gorącym brzuchu, a ona nie uchyła się przed tą poufałością. Patrzy na okładkę tygodnika imitującą abażur. Światło żarówki prześwieca litery intrygującego tytułu.

- Ty się wybierz do lekarza, ja ci radzę - odzywa się leniwie.

- Czy coś było nie w porządku?

Zwraca głowę w moją stronę, całuje mnie zdawkowo w skroń.

- Jeśli chodzi o to, to w porządku. Ale przecież zastąpiłeś tam w sklepie.

- Niepotrzebnie płem.

- W penwym wieku trzeba pilnować serca.

- Znowu wyjeżdżasz z wiekiem?

- Nie obrażaj się, ja lubię starszych panów.

- Do diabła, to coś niesamowitego tak z dnia na dzień stać się starszym panem.

- A ile ty masz lat?

- Co cię to obchodzi?

Basia uśmiecha się, spędza kosmyk włosów ze swego bladego czoła.

- Już polubiłam drażnić ciebie.

Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego tu tak ciepło. Obok poplamionej kozetki, na której leżymy, stoi grzejnik elektryczny. Szczerzy w naszą stronę rozżarzoną do czerwoności spiralę. Haydn skończył już swój występ. Ktoś czyta komunikat meteorologiczny. Zawieje, mrozy, nagle odwilże, ciągle deszcze. Gdzieś zamarzła zatoka, gdzieś rozkwitły

krokusy. Gdzieś połop, gdzieś ludzie umierają z pragnienia.

- Słuchaj, staruszk, co ty chodzisz z jakimis̄ ostatecznymi pytaniami, co ty czekasz na cud, kiedy naprawdę o milimetr nie odrywasz się od chodnika? Przecież ciębie w rzeczywistości obchodzi ziemia, a nie niebo. Stan przedzawałowy nażyłeś ze wściekłości na marne ziemskie sprawy.

- Skąd mnie tak dobrze znasz?

- Powiedzmy, że ze szkoły.

- Ciekaw jestem, co to za szkoła. Bo w normalnych o mnie nie uczą.

- Rozerwiesz się chwytając jedną ręką za niebo, a drugą za ziemię.

- Chyba się rozerwę. Bo męczy mnie moja własna vegetacja, a jeszcze bardziej nęka los tych dziwnych, głupich i nieszczęśliwych ludzi, z którymi mieszkam nad średnio wielką rzekę otrutą ściekami niezdarnie rozwijającego się przemysłu.

- Mów powoli, bo się zapłaczesz.

- Masz rację. Ja stoję w rozkroku. Jestem cudzoziemcem i za bardzo się przejąłem przybraną ojczyznę.

- Dlaczego jesteś cudzoziemcem?

- A dlaczego ty jesteś cudzoziemką?

- Ja jestem Basią z czwartej klasy technikum handlowego. Odbywam praktykę w salonie jubilerskim, gdzie uwiódił mnie podstarzały klient. Całe szczęście, że skończyłam już osiemnaście lat, bo miałbyś spore kłopoty.

Na krzywym stoliku przykrytym papierową serwetą stoi radio mrugające zielono staroświeckim magicznym okiem. Wielka orkiestra symfoniczna gra uroczystą polską kolędę. W jaskiniach mieszkań pod górami śniegu ludzie łamią się opłatkami.

- Gdzie jestem, Basiu z czwartej klasy technikum?

- U mnie w internacie. Albo na zapleczu służbowym salonu jubilerskiego. Jak wolisz.

- Wolałbym, żeby to była przełęcz górska w letni dzień.

- Lubisz góry?

- Nienawidzę gór. Zastaniają widok.

- Padłeś raptem do tyłu, a ten twój kolega nie pozwalał ratować.

On udaje, zgrywa się, bierze na litość, wrzeszczał siny ze złości, On by ci jeszcze dołożył.

- Kto? Kojran?

- Ten, co leci jutro do Ameryki. Na tamten świat.

- Kojran. On ma rację. Jestem mu dłużny życie.

- Ty zawsze tak rozmawiasz z kobietami?

- Coraz rzadziej mam do czynienia z kobietami. Coraz częściej z przyjaciółkami.

- Może i my się zaprzyjaźnimy? Będiesz o dziewiętnastej przychodził pod salon, kiedy kończę pracę. W zimie pójdziemy do kina, później pokochamy się w bramie. Latem zaprowadzisz mnie nad Wisłą, w lasy wiklin, gdzie śpi ptactwo. Będiesz poufnie opowiadał kolegom, że masz jedną taką bruneteczkę, która szaleje za tobą, choć jest młodszą o trzydzieści lat. Ja ci będę odkładała deficytowe towary z branży jubilerskiej. Przechodzimy tak kilka lat, aż na przeszkodzie stanie twoje nadwątlone zdrowie, albo moje pełne rezygnacji zamążpójście.

- Po co mi to mówisz?

- Bo wydałabym się za ciebie. Już dawno cię upatrzyłam. Jesteś delikatny, czuły, zupełnie inny. Kobiety takich lubią.

- Nie mogę, dziecko. Mam rzymski ślub. Wiesz, co to znaczy.

- Wiem, niestety. Ślub, który można rozwiązać tylko przed Bogiem.

- Zostaje nam kino, albo plaża nad Wisłą. Jeśli, oczywiście, zechcesz.

- Pomyślę nad tą propozycją, chociaż nie ma budzącej otuchę przyszłości.

- Nie jest ci zimno?

- Wstydzisz się, że leżę naga?

- Jestem szczęśliwy. A wstydzę się, bo znowu biorą mnie nieprzyzwyczajone chucie.

Na ścianie malowanej w marmurek wisi kalendarz. Ktoś przekreślił dni świątecznego tygodnia na zapas. Czas stanął i czeka na ludzi

w pierwszym dniu powszednim. Jeśli dożyją.

Basia jest większa naga niż w ubraniu. Duże, rozluźnione sutki spoglądają w zadyminyony sufit. Całuję tę najbliższą. Cukruje się od razu jak miód. Basia udaje, że nie widzi, ale wstrzymała oddech. Ślizgam się palcami po pulsującym brzuchu. Spotykam suche zielsko skędzierzawionych włosów. Basia słucha czujnie patrząc gdzieś w bok, chyba na zielone kocie oko radia, które sączy patetyczne kolędy. Jak stary mąż zabieram się do rzeczy.

- Daj spokój. Nie trzeba - szepcze Basia ale rozrzuca nogi i podnosi kolana.

Pieszczę to, co trzeba pieścić i widzę ją całą przed sobą, ze wszystkimi tajemnicami, które już się opatrzyły w czerwonym świetle żarówki, spospolitowały przez kwadrans, albo godziny, kiedy tu leżymy.

- Nie wysilaj się, staruszk - szepcze i zaciska moją dłoń udami i zaraz ją odpuszcza.

- Ja ci dam staruszka.

Osuwam się leniwie na jej powiększone przez nagość ciało, odnajduję drogę, a ona mi usłużnie pomaga. Wzdycha, kiedy już jestem głęboko.

- Może odłożymy do jutra - mamrocę jej do ucha.

- E tam, niech już będzie - stara się odpowiedzieć beznamiętnie.

Potem wspinamy się mozolnie ku fizjologicznemu przeznaczeniu.

Ona szczerze, albo coraz szczerzej a ja lisimi zakosami, jak zawsze obłudny, lub jak pierwszy raz, od dawna, fałszywy. Łączę się z jej uniesieniem, udaję ekstazę, a kiedy ona wypręża się i zamiera, jakby skonała naprawdę, ja ostrożnie, ukradkiem rozpoczynam swoją działalność od początku.

Ona ledwo dostrzegalnie porusza wargami i odczytuję wyrzut:

- Oszukałeś mnie.

- Nie wiem. Jestem roztargniony.

Usta jej rozszerzają się ledwo, ledwo w wewnętrznym uśmiechu.

Potem wolno powrócą do tego kształtu, który oznacza senny, czuły pocałunek. Wreszcie zamyka powieki. Ale teraz i mnie bierze ta dziwna, niekontrolowana siła. Chcę udawać, oszukać, wyprowadzić w pole przejm-

jącego szoku, ale nie potrafię, nie umiem zahamować, odroczyć. Więc razem, zgodnie, spięci tym bólem podarowanym przez Boga albo naturę, więc wczepieni w siebie lecimy na złamanie karku do tego oslepiającego czerwienią rozbłysku światła.

- No i co? - pytam ksztusząc się gorącym, żelazistym powietrzem.

Ona przygarnia się do mnie, albo mnie przygarnia, bo nic nie widzę udławiony zadyszką, więc całuje mnie w niemłode usta, w stary nos i niedowidzące oczy i szepcze wstydliwie:

- Nic. Chyba przekroczyłam uprawnienia służbowe.

- Postarałem się. Ale za późno.

- Nigdy nie jest za późno, jak powiadają ludzie przy różnych okazjach, kiedy jest za późno.

- Kończysz kurs propedeutyki filozofii w technikum?

- Czy ciebie, staruszk, dręczy zagadka bytu, czy niedola bliźnich mówiących tym samym językiem?

- Czasem to, czasem tamto. Widzisz, praktykantko jubilerska, ja już muszę podliczać. Sprawdzić do jakiego stopnia zmarnowałem grzeszne życie.

- Nie tak dawno jeszcze cudzołożyłeś.

- Może to właśnie dobry Bóg wybaczy. Jeśli spostrzeżę, jeśli przyjrzał się ambicjom starszego człowieka, jeśli ocenił ryzykowność starań, to pewnie wybaczy.

- Nie podejrzewasz, że chciałam cię zabić? Zabić twoim własnym, ostatnim skurczem pożądania.

- Dlaczegoś miałabyś mnie zabijać?

- Może lepiej, żebyś już teraz zginął.

- Widzę, że wiesz, co mnie czeka. Zajrzałbym ci w oczy, ale nie mam sił.

Ona znowu mnie całuje z jakąś niepokojącą uwagą.

- Dlaczego milczysz? - pytam.

- Daj papierosa. To wszystko inaczej się stało.

- A jak się miało stać?

- Czego ty ode mnie chcesz? Przypomniałam sobie, że mam dużo zadane na jutro.

- Przecież nie poszłaś dziś do technikum.
- Nie poszłam? - dziwi się Basia. - Racja, nie poszłam. I jutro jest święto.
- To może się umówimy na po świętach?
- Czy warto?
- Sam nie wiem. Mam teraz ogromny naręcz skrupułów. Ale może zatęsknię.
- Lepiej zatęsknić i potem zapomnieć. Potęsknić i zapomnieć.
- Ale nie wiem, jak to jutro, pojutrze podliczę.
- Ty stale liczysz?
- Liczę kępsko, ale mam głowę do liczenia. Dlatego nazywają mnie chytrusem, spryciarzem, cwaniakiem.
- Biedny jesteś, staruszk.
- Nie tak bardzo. Kiedyś się zapominałem. Albo może chciałem być taki jak wszyscy inni. A w ogóle to najwyższej moja strata.
- Wiesz co, może do ciebie zadzwonię? Dobrze?
- Z tej czerwonej okładki imitującej abażur filuje cienki, postny dym. Żarówka przepala papier.
- Dobrze.
- Nie. Będziesz czekał na telefon. To ciebie zamęczy.
- Trochę zamęczy. Nawet już nie pytam, skąd mnie tak znasz.
- Wobec tego przyjdę do ciebie. Albo i nie przyjdę.
- Dobrze. Przyjdiesz, albo i nie przyjdiesz. Może ja do ciebie przyjdę albo i nie przyjdę.
- A skąd wiesz, gdzie mnie znaleźć?
- Może w salonie jubilerskim, może pod technikum, a może na ostatniej planecie naszej Drogi Mlecznej.
- Dobrze, Konwa. Tak do ciebie mówią?
- Tak mówili w młodości, przed kilkoma epokami, nie, raczej przed erami decydującymi o ewolucji ludzkości.
- No to daj zapalić.
- Szukam marynarki. Jest, leży włożona w mój kożuch, który zgorztał Kaziuka. Macam kieszenie. W jednej coś szeleści zdradliwie. Pewnie gotówka. Wyciągam do połowy list w rozdartej kopercie ostem-

powanej rozrzutnie przez naszą pocztę i nasz skrupulatny urząd celny. W tej kolorowej kopercie spoczywa list od Seweryna P., mego przyjaciela z lat dziecinnych. Widzieliśmy się ostatni raz przed moim domem w Kolonii Wileńskiej, a był to świt szóstego lipca czterdziestego czwartego i obaj mieliśmy francuskie karabiny bez amunicji i obaj biegliśmy atakować niemiecki pociąg pancerny, co stanął na naszej stacji wstrzymanym powstaniem wileńskim, bo i u nas pod koniec wojny zdarzyło się powstanie, ale nikt o nim nie pamięta, ja także coraz rzadziej pamiętam. Z tym listem od Seweryna P., czyli od Sowka, chodzę już od paru tygodni i nie mogę się z nim rozstać. Stale słyszę na piersi jego zamierający puls. Stale czuję jego ostre kanty jak niejasne wyrzuty sumienia.

- Co się stało? - pyta zaniepokojona Basia. - Boli cię serce?
- Teraz już zawsze będzie boleć.

Drogi kolego z młodości, drogi przyjacielu, spodziewam się, że mój list dotrze do Ciebie i tylko ta irracjonalna nadzieja usprawiedliwia wysiłek wielu szlachetnych ludzi, którzy uczestniczą w ekspedycji tej przesyłki. Nie znam Twego adresu, więc na kopercie napisałem tylko Twoje nazwisko oraz nazwę kraju, a pisząc tę nazwę już odczuwałem wiele skomplikowanych i szarpiących nerwy uczuć oraz przeczuć.

Wiem, że żyjesz, że wojna nie starła Ciebie z powierzchni naszej zmęczonej ziemi, ponieważ w prasie kraju, który jest teraz moją macoszą ojczyzną, w tej plugawej prasie wyczytałem któregoś dnia obelżywą wzmiankę o jakimś Twoim filmie pokazywanym na mało znacznym festiwalu.

Przebywam teraz w szpitalu, w wielkim przeludnionym gmachu, gdzie pełno bólu, cierpienia i nieszczęść. A te wszystkie nieszczęścia po raz pierwszy od wielu lat ucłowieczają mnie, konstruują wokół mnie niewidoczne ściany bezpiecznego azylu, oddzielając od nieludzkich okoliczności, w których muszą żyć moi przybrani współobywatele. Praktyki systemu, cała ohydna brutalność przemocy człowieka nad człowiekiem, muszą pozostać u progu posępnego gmachu, co jest melancholijnym połączeniem laboratorium i cementarnej kaplicy. W moim azylu rządzi odwieczne i apolityczne przeznaczenie, w moim azylu stępa nocą po ka-

miennych korytarzach zwykła, straszna śmierć, z mojego azyłu widać już daleki drugi brzeg i początek złowrogiej nieskończoności.

Przyczyna, dla której się tu znalazłem, nie jest wzniosła. Cierpię mianowicie na trywialną niedomogę odbytu, lecz z pewnym zdziwieniem stwierdzam, że moja choroba spotyka się tutaj z taką samą powagą, jak atak serca, czy zadawniona rana postrzałowa. A bierze się to chyba stąd, że z czym by człowiek nie przybył do tego sanktuarium, wyjść może tym jedynym wyjściem, które prowadzi do kostnicy.

Ordynator opiekujący się mną z pewną troską jest znakomitym proktologiem oraz - co szczególnie ważne - przyzwoitym, bezpartyjnym jegomościem. I z tego powodu nigdy by nie mógł zajmować tak eksponowanego stanowiska i nigdy by mi nie mógł okazać pomocy w powstaniu tego listu, gdyby nie okoliczność, że pewien wpływowy minister naszego reżymu również cierpi na niedomogę odbytu, ale niedomogę co się zowie, niedomogę chroniczną, niedomogę, jak się zdaje, zagrażającą życiu owego nieznanego dygnitarza. Zatem mój ordynator od pewnego czasu stał się nieoficjalnym, nawet chyba potajemnym, lekarzem przybocznym męża stanu. Dlatego również od czasu do czasu w świecie przybocznej ministra wyjeżdża za granicę kraju, który jest pogodnie ucharakteryzowanym więzieniem. Te obserwacje skłoniły mnie do ryzyka, do kuszącego ryzyka, aby przesłać gryps gdzieś do dalekiego, wolnego świata. Cóż innego mogłem wybrać, jeśli nie starą liberalną Europę, nie moją zwaną ojczyznę i nie Ciebie, z którym uczyłem się palić pierwszego papierosa, z którym kochałem się w tej samej dziewczynie, z którym próbowałem walczyć o tę samą wolność, która śni się wszystkim zniewolonym na świecie.

Wciągnięty w zasadzkę zobligowań moralnych mój bezpartyjny ordynator zdecydował się, nie bez trwogi, wywieźć ten list do pierwszego wolnego kraju i wrzucić go po kryjomu do pocztowej skrzynki. Jeśli więc go nie rozbiorą na lotnisku, jeśli nie wyszperają tego zawilego rękopisu, otrzymasz list z tamtego świata, ale z tamtego świata ziemskiego, co moim zdaniem jest po prostu skromnym, kiepsko funkcjonującym piekiem.

Zacznę jednak od początku. Kiedy wojna się skończyła, trafiłem na zachód /oczywiście zachód Europy/. Próbowałem różnych szans życiowych, ale żadna nie zafartowała. Wobec tego ruszyłem szukać szczęścia na innym kontynencie jak wielu mnie podobnych rozbitków. No i znalazłem się w kraju dość sympatycznym, o burzliwej i dramatycznej historii, kraju od niewielu dziesiątków lat wolnym, średnio zamożnym, ale nie biednym, zamieszkałym przez lekkomyślnych, trochę romantycznych ludzi obdarzonych poczuciem humoru. Jak widzisz, kraj ten mógł mi odrobinę przypominać utraconą ojczyznę.

Ledwo się ustabilizowałem, aż tu objawia się zaskakująca niespodzianka. Pod wpływem wszechmocnego sąsiada z północy dokonuje się zmiana ustroju. Władzę przejmuje junta podrzucona przez tego kategorycznego sąsiada. A ta junta, przywieziona w kufrach, albo raczej w taborach, ze śmiertelną powagą zabiera się do rządzenia. Ogłasza bardzo zdecydowaną ideologię obowiązującą i niesłychanie radykalny program. Krótko mówiąc unieważnia życie dotychczasowe i przystępuje do budowy całkowicie nowej egzystencji. Zostaje powołana jedyna monopolistyczna partia polityczna, którą kieruje nadesłany wódz, początkowo anonimowy dla społeczeństwa, zupełnie niepopularny, ale z biegiem czasu jakby powoli uświęcający się, przekształcany stopniowo w rozhisteryzowanej propagandzie w rozum wszechświata albo po prostu w Boga. Oczywiście domyślasz się, że wdrażanie tej nowej religii politycznej musiało kosztować paręset tysięcy istnień ludzkich. Przy okazji dodam, iż ja także pozostawałem jakiś czas pod urokiem tej agresywnej religii, choć Tobie - obywatelowi starej, łagodnej Europy - wyda się to dziwaczne i niezrozumiałe.

Jak ci opisać moje życie, mój los, od którego nie ma odwrotu? Może najlepiej będzie, jeśli powiem, że nie ma mego życia i nie ma mego losu. Moje życie jest kwękaniem w jakiejś dziwnej zawieszce bez smaku i koloru, a raczej o smaku czczym, przasnym, który obraca się w gorycz i w kolorze, który jest szarzyną beznadziejności. A mój los jest czarną kropką postawioną przez muchy na stronach sfalszowanych statystyk. Istotą mego bytowania jest to, że od rana do nocy, a nawet i we śnie, nie chce mi się żyć, rzygam swoim życiem i marzę o śmierci,

ale śmierć własna, osobista, na swoją odpowiedzialność okazuje się dziwnie trudna, trudna chyba przez jakiś idiotyczny kontrast wobec śmierci państwowej, ideologicznej, masowej śmierci oferowanej codziennie przez reżym.

Nasza partia, która ma długą i śliczną nazwę, jeszcze piękniejszą w egzotycznym języku, przypomina gigantyczny elektroluks, który wszystko zasysa i wszystko wchłania, co się znajdzie w obrębie granic tego nieszczęsnego państwa. Można ją także przyrównać do raka, co to przeżera chciwie każdy strzęp tkanki, każdą komórkę organizmu narodowego, raka rozwścieczonego, raka w totalnych przerzutach, raka w kosmicznej erekcji. Może u was w Europie zdarzały się, albo zdarzają wynaturzenia w funkcjonowaniu państw i w obcowaniu państw, ale nie będziesz w stanie wyobrazić sobie koszmaru, który przypadł nam w udziale.

Obowiązuje nas urzędowa miłość do północnego sąsiada i miłość do własnej ojczyzny. Ale ta miłość do własnej ojczyzny, ten nasz patriotyzm, jest wartością nikomu dotychczas nieznaną, jest nowym odkryciem w regionie uczuć wyższego rzędu. Główną częścią składową, i pierwszą w kolejności, naszego patriotyzmu jest historyczna, rozpasana i lekko zboczona miłość do północnego sąsiada, dopiero jakby dodatkiem, jakby zbyt kowną przyprawą, będzie przywiązanie do własnego kraju. A więc obie urzędowe miłości są w ostatecznym rachunku zupełnie do siebie podobne, gdyż w obu kamieniem węgielnym, a właściwie kamiennym węglem opałowym, okaże się kurewska chuć do bezwzględnego sąsiada.

Za oknem buzuje późne lato. Jeszcze soczyste, jeszcze zielone, jeszcze wesołe, ale już z pośpiesznym, melancholijnym zmierzchem. Na korytarzu, w rzędzie rezerwowych łóżek, leży od kilku dni umierający starzec. Obstawiony kroplówkami, aparatami do transfuzji krwi podśpiwuje albo skowycze jakieś swoje protest - songi. Przed chwilą zesrał się i kałem wysmarował ścianę oraz państwową pościel. Teraz leży w sztywniejszej apartii i słucha rozpaczliwych krzyków obsługi, która go musi umyć i przebrać. Już wkrótce zacznie wrywać sobie igłę kroplówki z żyły, zacznie demolować te skromne urządzenia, comają go przywrócić do życia. Dopiero teraz, ukońca swojej drogi, zdobywa się na bunt przeciw niewoli narzuconej człowiekowi przez innych ludzi.

Tak, nasza ideologia jest podobna do religii. Jest właściwie kontynuacją religii. Bo w tym nieszczęsnym kraju rządziły duszami ludzkimi przez wieki zdeprawowana religia i sprzedajny kościół. Religia na usługach państwa, religia kierowana przez głowę państwa. A istotą tej religii była zawsze forma, rozdęta, zmitologizowana, zabsolutyzowana forma. A w tej formie najważniejsze było słowo. A słowo nigdy nie stawało się ciałem. Słowo było własnym nadrzędnym życiem. Życiem magicznym i abstrakcyjnym. Słowo ignorowało rzeczywistość, rozum ludzki oraz instynkty moralne. Słowo stało się krwawym tyranem, słowo stało się okrutnym zabobonem i bezlitosnym Bogiem.

Nasza wszechzadrosna partia zabiła skompromitowaną religię. Ze świętych grzesznych zwłok zdarła jednak szatę formy i amulet słowa. Teraz forma i słowo służą partii. Teraz partia bije czołem przed słowem, przed swoją służką. Ale ta służka, to słowo, już trzyma w dziwnej niewoli partię, która zamierzała ze słowa uczynić posłuszny sobie fetysz. Już partia nagina do słowa swoją egzystencję, los państwa i obroty gwiazd oraz galaktyk.

Wszyscy żyjemy w dzikiej trwodze przed słowem. Słowo przeraża partię i ministerstwa, słowo budzi lęki generałów i cenzorów, słowo straszy w aparatach podsłuchowych i w niekontrolowanych dostatecznie snach obywateli. A najgorsze jest słowo pisane, słowo utrwalone w znakach ortograficznych lub fonetycznych na papierze, na taśmie celuloidowej, albo na marmurze. Dlatego z taką paniką kreślę owe zdania ukradkiem w tym mglistym jeziorze bólu i nieszczęścia, w tym przybytku sekundowej wolności przed unicestwieniem.

Jak chyba pamiętasz - w gimnazjum naszej wspólnej młodości byłem najlepszym rysownikiem. Pamiętasz zapewne i to, że posyłałem swoje rysunki na różne konkursy młodzieżowe i że odsyłało moje prace z obelżywymi listami grożąc powiadomieniem dyrekcji szkoły o dokonanym przeze mnie oszustwie, ponieważ jurorzy oceniali moje rysunki jako dzieła dojrzałego artysty i domyślali się, że je ukradłem, albo wyłudziłem tylko po to, by pod swoim nazwiskiem wysłać na konkurs i uzyskać nagrodę. Więc pamiętasz, jeśli w ogóle chcesz pamiętać młodość, więc pamiętasz te moje zdolności plastyczne, które przywoziłem ze sobą aż tutaj i chcia-

łem z nich uczynić użytek. Lecz i do tej mojej sposobności plastycznej dobrała się partia. Schwyciła moją rękę, ścisnęła jak kleszczami, zaczęła wodzić nią po papierze tak, aby każda kreska głosiła chwałę partii, aby każda kropka była westchnieniem miłosnym do partii, aby każdy zawijas wyrażał wdzięczność dla partii. Bo my wszyscy jesteśmy naznaczeni grzechem pierworodnym, jakimś strasznym i niejasnym grzechem wobec partii i partia jest zagniewana i partia ma za złe i partia z trudem utrzymuje swoją cierpliwość na wodzy, a my winniśmy pokorę, a my błagamy na kolanach o łaskę, a my leżąc plackiem jesteśmy zobowiązani dziękować partii co godzina za to, że mieszkamy, że jemy, że chodzimy do fabryk, że wypróżniamy się, że jeździmy koleją, że czytamy partyjne dzienniki, że nudzimy się wieczorem, że świeci słońce, że nadchodzi jesień, że atmosfera otacza kulę ziemską. Wyrażanie wdzięczności jest istotą naszego życia. Urodzono nas, żebyśmy mogli wyrażać wdzięczność partii.

Aby schronić się przed nachalną obecnością partii, postanowiłem rzucić grafikę dla historii. Historia jest przeszłością, jest zapomnianym śmietnikiem, w którym grzebać mogą kłoszardzi totalitarnych społeczeństw. Ale gdzie tam, szczęśliwy mój przyjacielu, i w tym pozornym azylu czekała na mnie rozjadzona, drapieżna partia, która nieszczęsną historię przetrzęsała jak kupę gnoju. To już nie była historia, to już była stertka równo poukładanych kłamstewek z silnie woniejącą zawartością wychowawczą. Wpadłem z deszczu pod rynnę. I nie było już gdzie uciekać. Całe życie przeznaczam więc życie umarłych ludzi, umarłych społeczeństw, umarłych idei.

U was z wolna kończy się zima. Topnieją śniegi, zachodni wiatr niesie daleki zapach nowości. Staram się przypomnieć sobie to nasze przedwiośnie pełne oczekiwań, pełne przeczuc, pełne nadziei. Powtarzam sobie w myślach to krótkie słowo "Polska" i wtedy jawi się we mnie jakaś rzewna podniosłość, coś jasnego, swobodnego, kojącego. Polska - ojczyzna wolności, Polska - matecznik tolerancji, Polska - wielki ogród bujnego indywidualizmu. Gdzie ludzie pozdrawiają się uśmiechem, gdzie policjant nosi różę zamiast pałki, gdzie powietrze składa się z tlenu i prawdy. Polska - wielki biały anioł pośrodku Europy.

Nasz reżym od samego początku dogorywa. Gnije, bulgoce, rozpada się, tęchnie, rdzewieje, dusi się, rzezi, kona, ale zarazem stoi

mocno na nogach, trwa dzięki ogromnej sile bezwładu, opiera się wszelkim burzom wbity w opokę ciężarem własnych grzechów. Jaki składnik chemiczny petryfikuje to truchło? Co napędza tę rozregulowaną, na poły zatartą machinę? Czyja wola chroni ten przybytek szatana przed rażeniem boskiego pioruna?

Nasz reżym utrzymuje w agonialnym ruchu magiczne sąsiedztwo północnego mocarstwa. Ta wielka bomba kobaltowa imperialnych aspiracji bombarduje nas w dzień i w nocy, o każdej godzinie i w każdej chwili, bilionami atomów zepsucia, zdrady, sprzedajności, przekupstwa, nihilizmu, prowokacji, nienawiści, indyferentyzmu moralnego i totalnej kapitulacji. Nasz reżym utrzymujemy w agonialnym ruchu my sami. Nasza osobista żądza przemocy nad bliźnim oliwi wyszczerbione tryby, popędza transmisyjne pasy, rozpala na nowo paleniska. Reżym dał szansę głupiemu rządzeniu mądrymi, pozwolił łajdakowi upokarzać uczciwych, kazał silnym tortuować słabych.

Władza. Rozkosz władzy. Magia władzy. Opium władzy. Władca pojedynczym człowiekiem i grupą społeczną. Władca przedmiotami i duchem nieznanego człowieka. Władca historią i futurologią. Korzyć braci i zachłystywać się własną wszechmocą. Na każdym szczeblu. W komórce partyjnej, w kombinacie metalurgicznym, w stacji telewizyjnej albo na najwyższym kongresie partyjnym. Dla własnych zachcianek, animozji, kompleksów uruchamiać aparat państwowy, egzekutywy partyjne, redakcje gazet, policję i wojsko. Lepić codziennie własny pomnik, budować każdej chwili piramidę rozkiełznanej pychy, wyzwąć choć raz prawa natury i prawa boskie. Czy ta apoteoza samodurstwa przetrwa jeden dzień po twojej śmierci? Może, przetrwa. Może pierwszy raz w dziejach ludzkości przetrwa i będzie budzić podziw oraz zawiść gatunku po wsze czasy.

Rak władzy. Amok władzy. Otchłania władzy. Otchłania pochłaniająca miliony sumień i miliony dusz.

Gęste, przedjesienne słońce ogrzewa niebieskie hasło rozpięte na ścianie szpitala. Hasło porywające chorych do walki. Ale chorzy o tej południowej porze wagarują bezwstydnie. Śpią rozmamłani w stanach podgorączkowych, wyzbyci ostrożności, nie pomni podsłuchu i szpiclów gadają sobie przez sen antypaństwowo, jęcząc demoralizująco, złorzecząc bluź-

nierczo. Partia niby skapitulowała, niby dała im spokój, ale przecież gdzieś tam łamie swoją hydrzą głowę i duma, jakby się dobrać tym umrzykom do tej trzeciej, prawdziwej skóry, jakby i ten próg padołu doczesności uczynić progiem prób obywatelskich oraz ideowych.

Wyjdę sobie na korytarz, pójdę aż do holu zwieńczonego dziesiętkiem świetlnych napisów drzwi bloku operacyjnego. To nasza brama triumfalna, to nasze sanktuarium. Tam odbywa się pierwsze losowanie opatrności. Ale dziś krzątają się robotnicy. Robotnicy specjaliści, robotnicy-policjanci. Wynieśli już niepotrzebnych chorych z tego holu, malują ściany, wkręcają nowe żarówki, szukają specjalnymi aparatami ukrytych min i bomb zegarowych. Bo jutro przywiozą tu członka dyrektoriatu partii, najważniejszą osobistość, choć anonimową, bo znaną tylko z nazwiska wymienianego codziennie kilkadziesiąt razy w gazecie i z jękania się słyszanego w radio i telewizji. Właśnie to jękanie się musi być zlikwidowane w tym szpitalu. Nasz neurochirurg, także wysoko postawiony w partii, otworzy jutro trzęsącymi się rękami klatkę piersiową kolegi z dyrektoriatu z zanurzy lancet sprawdzony przez agentów bezpieczeństwa, lancet, który być może przetnie odpowiedni nerw i umożliwi przywódcy poprawne wystawianie się na wiecach i mityngach. To będzie jutro, to stanie się jutro okryte dogłębną tajemnicą, a dziś buzuje ruch cywilny i policyjny, ruch jak przed premierą, ruch jak przed świętem państwowym. I ja biorę świętokradczo udział w tym ruchu, mnie tu znają jako łżej chorego, jako faceta, który lubi pomagać pacjentom i personelowi, więc człapię sobie po kamiennej posadzce sprawdzonej przez wykrywacza min, dotykam lepkich od farb ścian, w których zatopiono przewody instalacji podszuchowych, więc od-dycham powietrzem, w którym wirują molekuly policyjnej podejrzliwości.

A ostatnią otuchą moją w tym wąwozie przedśmiertelnej rozpaczy, ostatnim błyskiem nagłej radości, ostatnim łykiem życiodajnego tlenu jest pamięć o tym kraju, drogi Przyjacielu, o tym kraju, który utraciłem na zawsze.

Polsko, matko wszystkich skrzywdzonych i poniżonych - bądź pozdrowiona.

Orędowniczko zniewolonych i pogrzebanych za życia - bądź pozdrowiona.

Pocieszycielko strapionych i błądzących - bądź pozdrowiona.
Opiekunko tych wszystkich, którym wyrwano języki i wyłupiono
oczy - bądź pozdrowiona.

Wdowo po mordowanych na rozstajnych drogach świata, po upio-
rach, co nigdy nie obudzą sumienia ludzkości - bądź pozdrowiona.

Jestem niewolnikiem. Oddano mnie w nowoczesną niewolę. Niewo-
lę z ery kwasu rybonukleinowego, komputerów i sputników. Dawni niewol-
nicy z epok jawnego niewolnictwa mieli dobre życie. Im można pozazdroś-
cić. Cóż za fenomenalne kariery? Cóż za cudowny start życiowy! Cóż za
wygodna egzystencja na cudzy rachunek! Tamci niewolnicy, których losem
straszą nas szkolne podręczniki, tamci szczęśliwcy mogli zdobyć zaufa-
nie swego właściciela, zaskarbić sobie jego przywiązanie albo nawet mi-
łość, mogli od niego otrzymać majątek, rękę córki lub prawdziwą wolną
wolność. Dlaczego opatrność nie uczyniła mnie niewolnikiem konsulów
rzymskich, dlaczego wyznaczyła mi wegetację raba państwowego, raba
partii, raba idiotycznych doktryn społecznych?

Jestem niewolnikiem. Jestem niewolnikiem pozbawionym własnego
indywidualnego oblicza. Jestem niewolnikiem niewolniczej zbiorowości.
Mój anonimowy właściciel mnie nie zna. Nigdy mnie nie wynagrodzi, nie
pokocha, nie uwolni z niewoli. Jestem niewolnikiem ukrytym w przeraża-
jących i nie zawsze prawdziwych liczbach statystyk państwowych.

Pozwalają mi pracować, umiarkowanie jeść i krótko odpoczywać,
żeby nabrać sił do nowej pracy, w statystykach a i w mentalności moich
nieznanych właścicieli liczy się tylko moja fizyczna zdolność do pracy, bo
ona służy budowie piramid wielkiej nowoczesnej pychy. Moja zdolność ro-
boczego wołu jest codziennie mierzona, podliczana, oprocentowywana
i objawiana w gazetach, w telewizji, w referatach, w wystąpieniach,
w afiszach, w opakowaniach towarów, nawet na ścianach ustępów. Budzę
czyjeś anonimowe zainteresowanie wyłącznie jako wół roboczy i ja sam
powoli zaczynam siebie traktować jako bydło robocze i ja sam ze zwierzę-
cą ospałością pracuję i z bydlęcą zachłannością żuję i z animalną rezygna-
cją drzemię przed następnym wysiłkiem. Tak długo wmawiano mi kondy-
cję bydlęcia, że stałem się wreszcie bydlęciem. I mogą teraz tylko ocze-
kiwać tyle, ile należy oczekiwać od wołu. Jestem już głuchy na słowa,

choćby najpiękniejsze, nie odczuwam wyższych uczuć ani powołań, żeby nie wiem jakie były wzniosłe i nie skrywam żadnych marzeń, co by mogły ucieszyć partię, rząd i państwo. Jestem bydlęciem, za chodzenie w kieracie dajcie żyć, wypróżnić się oraz kapkę wytchnąć, a jeśli nie, to wierzgnę z obu tylnych nóg i wybiję wszystkie zęby, złote, srebrne i nylonowe.

Ale teraz leżę w szpitalu. W wielkim szpitalu, który jest warsztatem naprawczym i rzeźnią. Partia tutaj nie zagląda, albo raczej zagląda niepewnie i bez zwykłej agresywności. Partia w tym gmachu o zakurzonych oknach jest trochę bezradna, chciałaby wtrącić się i do medycyny, lecz w ostatniej chwili zdejmuje ją strach, bo sama się tą medycyną przecież leczy. Więc chwyci za mordę profesorów na krótki moment i odpuści, zaagituje siostry miłosierdzia w kierunku ulubionych doktryn i znieścacka spasuje, obwiesi sale operacyjne sloganami i zaraz je zdejmie w obawie przed bakterią. Częściej wkrada się tu po kryjomu przywożąc swoich wiernych synów, którym od gorliwości spuchła wątroba, zaszły bielmem oczy, albo których zalała zła krew.

Jutro przystąpią do operacji członka dyrektoriatu. Ale przedtem ja wejdę do bloku strzeżonego przez agentów. Będę gorliwie pomagał w przygotowaniach. W syczeniu autoklawów, w brzęczeniu liczników, w metalicznych westchnieniach aparatur reanimacyjnych, w tym wielkim zielonym wnętrzu przypominającym kabinę kosmiczną, kabinę międzygwiazdną, w której pacjent odbywa krótszy albo dłuższy lot do Pana Boga, więc w tej patetycznej aseptyce będę nosił pojemniki z gazikami, będę skraplał podłogę płynami dezynfekcyjnymi, będę odkręcał kran z gorącą wodą dla rąk chirurgów, a jednocześnie zerknę raz i drugi w stronę wielkiego stołu, gdzie pod prześcieradłami leżą zdezynfekowane przez personel i policję narzędzia chirurgiczne, a potem przechodząc obok uniosę ostrożnie to prześcieradło i pierdnę z całej mocy na te święte narzędzia, bzdne okropnie ze swego apokaliptycznego odbytu potężnym strumieniem gonokoków, białych krętków i złocistych gronkowców, huknę miliardami bakterii i wirusów, co zgromadziły się we mnie przez dziesiątki lat hańsnej niewoli.

Żebyż nas tylko torturowali nachalną wszechobecnością, żebyż

nas tylko grzebali w więzieniach, żebyż nam tylko wiercili ideologiczne dziury w brzuchach i mózgach, żebyż nas tylko dehumanizowali codziennie kłamstwem, zdradą i sprzedajnością, żebyż tylko wynaradawiali czyniąc z nas anonimową hordę bydła stepowych, ale oni nas nudzą, zanudzają, zamęczają, ocipiają, zaględzają, obszczywiają nudną nudą od góry do dołu. Nuda z ieje z nieba, z drzew i pól wiejskich, z mórz i oceanów, z gazet i teatrów, z laboratoriów i striptizów, z gmachów i rządowych limuzyn, z rozrywki i z powagi, z dziatwy szkolnej i z fizjonomii dygnitarzy. Nuda jest tajemniczym eliksirem naszego reżymu. Nuda jest ich kochanką i matką. Nuda jest ich naturalną wonią. Nuda paruje z rządowych mózgów i z rządowych pysków. Nuda emanuje z wojska, policji i z aparatów podsłuchowych. Nuda sący się z więzień i komnat tortur. Nuda jest ich własnym przekleństwem. Wstydzą się tej nudy, boją się jej, dławią się nią i nigdy się od niej nie uwolnią. Nuda to bezkresna topiel, w której oni toną i my toniemy z nimi. Nuda to szatan w ziemskiej postaci.

Nadchodzi zmierzch. W holu kładą czerwone dywany, ktoś zawieszona na ścianie wielki obraz przedstawiający szczęśliwe życie mojej przybranej ojczyzny. Z ukrytych głośników płynie pogodna i majestatyczna muzyka. Zbliży się noc i zbliży się dzień mojego pierwszego i ostatniego starcia z przemocą, z tyranią, z piekłem. Siostry rozwożają herbatę, nadliczbowy staruszek na korytarzu zaczyna umierać, ale nikt mu już nie wierzy, albo nie ma czasu wierzyć. Tęgi mężczyzna w przebraniu sanitariusza błdzi po salach. Tu pochyli się nad śpiącym, tam uściśnie dłoń gorączkującemu, ówdzie zainkasuje monetę od ozdrowieńca. A ja wiem, że to kapłan, ukrywający się kapłan zwalczonej religii chodzi wśród chorych niosąc zakazaną pociechę. Bo ta dawna skorumpowana religia wskutek prześladowań wypiękniała, wyszlachetniała i stała się dziwnie ponętna. Zatem kapłan przebrany w strój sanitariusza, mimo tuszy i sprytnych oczu, cieszy się tu powagą apostoła, męczennika, prawie świętego. Nie zbliży się do mnie, tylko z daleko zerka ostrożnie, a ja w jego wzroku odczytuję jakieś transcendentale porozumienie między nim, wysłannikiem niebios i mną, emigrantem z prakolebki ludzkości.

Drogi Przyjacielu, szczęśliwy obywatelu szczęśliwej Europy, kończę swój list i osuwam się na kolana, aby w starożytniej mowie

przodków wyszeptać słowa codziennej modlitwy, którą sam wymyśliłem, i którą - proszę - odmów ze mną za moją duszę:

Boże wolnych gwiazd, swobodnych wiatrów słonecznych, niepodległego wszechświata, święty Boże wolności zmiłuj się nad nami niewolnymi, upokorzonymi, zgnojonymi, co zawisliśmy na wieki między życiem i śmiercią, między niebem i piekłem. Zmiłuj się nad nami i daj nam wieczny odpoczynek od przemocy brata, od tyranii ojca, od zdrady syna.

Ktoś wali pięścią w drzwi aż brzęczy szybka pod perkalową zardrostką.

- Odezwij się! Co się stało? Dlaczego zamykasz się na klucz?

- poznajemy gniewny głos kierowniczkę.

- Nic się nie stało. Klient odpoczywał - odzywa się Basia zbierając odzież z podłogi.

- Dlaczego drzwi są zamknięte?

- Przeciąg otwierał. Chwileczkę, klucz gdzieś wypadł na podłogę.

- Pośpiesz się, już fajrant. Zaraz plombujemy sklep.

- Już, już. Jedną chwileczkę. Pomogę zebrać się klientowi.

Kierowniczka odchodzi w głąb swego królestwa wydając rozkazy jak kapitan przed opuszczeniem tonącego okrętu. Basia ubiera się błyskawicznie. Już jest w golfie i w dżinsowych spodniach. Sprawnie wciąga wysokie buty z miniaturowymi ostrogami. Usiłuję nadążyć w moich czynnościach. Ale stale coś mi wypada z rąk, albo nakłada się z odwrotnej strony. Basia ubiera się sama i mnie ubiera celowymi, szybkimi ruchami.

- Dobrze udają ziemską dziewczynę? - pyta z chytrym uśmiechem.

Znowu jest szczupła, wiotka jak niegdyś, jak na początku naszej znajomości.

- Tak dobrze, że mnie w ogóle zmyliłaś. Teraz załuję, że nie chodzisz do technikum i nie praktykujesz w salonie.

- To się okaże. Spóźnisz się na wigilię, biedaku.

- Moim przywilejem jest spóźnianie się na wigilię. Już wiele razy w ten wieczór odbywałem dalekie podróże, z których budziłem się w rynsztoku.

Zatrzymuje się przy drzwiach z wielkim czarnym kluczem w szczupłej, długiej dłoni jak ptasie skrzydło. Powoli odwraca się, spogląda

na mnie wielkimi i wypukłymi oczami, które zna każdy koneser weneckiego malarstwa. A potem pyta cicho:

- Dziś także obudziłeś się w rynsztoku?

- Nie, Basiu. Kiedyś zdarzało mi się budzić na dnie, ale na gustownym dnie, które z upodobania do demonicznej stylistyki nazywam rynsztokiem. Moje rynsztoki były na ogół wykwintne, ja jestem, Basiu, esteta. Wstydlivy esteta.

- Myślałam, że zapamiętasz dobrze ten wieczór wigilijny.

- Tak, Basiu. Zapamiętam jak ostatni szczęśliwy wieczór. A czy ty w ogóle wiesz, kto ja jestem?

- Jesteś niemłodym klientem, który stał cierpliwie w ogonku po małżeńskie obrączki.

- To chyba za mało.

- Ja wiem, ile potrzeba. Kiedy późną nocą nie możesz zasnąć w swojej nyży i wędrujesz myślami po świecie i nawiedzasz realne i zmyślone dziewczyny, takie dziewczyny, które zmógł wiatr czasu i takie, które się jeszcze nie narodziły i w ogóle się nie narodzą, u mnie zapala się czerwone światełko. Jesteś pod moją kontrolą. Jestem twoim aniołem stróżem.

Przekręca klucz w zamku, otwiera drzwi do czarnego, zimnego korytarza.

- To już koniec, Basiu, aniele stróżu?

- Przecież przyjmujesz go z ulgą.

- I z udręką.

- No właśnie. To jesteś ty cały.

Podchodzę do niej stojącej na progu, na krawędzi naszej różowej jaskini. Przed nami otchłań niedogrzanego salonu jubilerskiego skromnej metropolii socjalistycznego państwa. Z przykrością konstatuuję, że dziewczyna jest wyższa ode mnie o pół głowy. Ale teraz to już wszystko jedno.

- Za parę dni ziemia rozpocznie czteromiliardowy pierwszy obrót dookoła słońca - odzywa się cicho Basia. - Życzę ci szczęśliwej podróży kosmicznej, mój skołowany astronaucy.

- Skąd wiesz tak dokładnie, który to obrót?

- Teraz uczą takich rzeczy w szkole.

- I ja ci życzę, Basiu, ale sam nie wiem, czego ci życzyć. Czy dobrych stopni, czy szybkiej miotły do dalekich podróży?

- Pa, kochany. Pa, dwunogu kręgowy.

- Pa, aniele stróżu z handlu uspołecznionego.

Całujemy się czule jak mąż i żona w ówierówiecze swego małżeństwa. Basia poprawia mój szalik splątany na karku. Powiekami daje mi znak, że wszystko w porządku. I rusza przodem w zatęchłą czerń korytarza. Idzie niedbale, z opuszczonym nonszalancko lewym ramieniem, pobrzękuje miniaturowymi ostrogami. Chłodna, znudzona, obojętna wobec głupiego świata, moja dziwna kontestatorka.

Kierowniczką czeka już z plombą w ręku. A tą plombą jest kapsel od butelki piwa wypełniony plasteliną z zatopionym sznurkiem. Stapirowaną głowę obwiązała jedwabną, kwiecistą chustą. Niecierpliwie macha na nas ręką.

- Prędej, kochani, prędzej. Już zgasła pierwsza gwiazdka.

Salon jest pusty. Wygaszono światła. Odblask neonu zapala się malinowo w kałuży na podłodze i mrugnawszy krótko, gaśnie.

- Może jednak sprowadzić pogotowie? - pyta kierowniczką mocując się z zamkami.

- Nie, dziękuję. Wszystko w porządku.

- A dojdzie pan o własnych siłach?

- Dojdę. Mam niedaleko.

- Jakby przyszły te pierścionki, to panu odłożę.

- Bóg zapłać. A gdzie Basia?

- Jaka Basia?

- Ta dziewczyna, która mną się opiekowała.

- Pewnie już daleko. One dzisiaj takie. Wesółych Świąt.

- Szczęśliwych Świąt.

Wychodzę na ulicę. A tu nieoczekiwane przedwiośnie. Pada deszcz, huczą rynsztoki spienioną wodą, dziki wiatr leci na złamanie karku w dół ku rzece. Podnoszę głowę, żeby się upewnić, że nie ma gwiazd. Jest tylko mokra czerń przyróżowiona od dołu niewidocznym neonem.

Jezdnią brnie furgonetka milicyjna. Tęgi kierowca w stopniu sierżanta wychyla się przez opuszczone boczne okno, przygląda mi się chmurnie i powiada:

- Panie Konwicki, czas do domu. Rodzina z wigilią czeka.
- Tak, tak, już idę.
- No. Żebyśmy się więcej nie spotkali.

Aleja kompletnie pusta aż do Wisły. Tylko deszcz wypełniony wiatrem i wiosenne potoki piętrzące się bełkotliwie przy zatłoczonych studzienkach. Nie, jeszcze zapóźnione stadko szpaków przeleciało płochliwie nad ulicą. W oknach łuny choinkowych świateł.

Kobiecina z parasolem pcha wózek dziecinnie, w którym siedzi okryty pledem inwalida bez obu nóg. Skończył dniówkę i wraca do domu na kolację. Poznaje mnie, uchyla futerkowej czapki.

- Wesołych Świąt - powiada grzecznie.
- I panu Wesołych Świąt oraz szczęśliwego nowego roku.
- Będzie lepszy na pewno. Sam sporządziłem horoskop.
- Horoskopy zawsze dobre, tylko życie takie sobie.
- Życie może byłoby i niezłe, ale nas za dużo. Gwiazd już nie

starcza na każdy los.

Ma rację ten człowiek wielkości wazonu. Nie sposób wadzić się z przeznaczeniem w takiej ciasnocie. Salutujemy siebie uniesionymi dłońmi. Patrzę chwilę za nimi, jak pogrążają się w wodnistą ciemność ulicy. Kobieta walczy z wózkiem na skrzyżowaniu, kiedy trzeba pokonać wysokie krawężniki. Szczęściem nadchodzi patrol milicyjny. Dwóch młodych funkcjonariuszy przenosi wehikuł nad rwącymi rynsztokami.

Skręcam w przecznicę, ale tu czeka na mnie Grzesio otulony w przewiewne płótna dżinsowego stroju.

- Pan pozwoli ze mną - rzecze służbowo.
- O co chodzi?
- Zaraz się pan dowie. To niedaleko. Po drugiej stronie ulicy.

Wskakujemy w kaszowatą breję jezdni. Grzesio ogląda się na mnie, jakby lękał się, że raptem umknę.

- Wiele razy dzwoniłem do pana - odzywa się konfidencjonalnie.
- Nie przypominam sobie.

- Bo ja anonimowo. Jako czytelnik.

- A to pan mi wymyślał od obcych agentów i sjonistów?

- Ja - powiada z odcieniem dumy Grzesio. - Bardzo się cieszę, że poznajemy się osobiście.

Wiedzie mnie do jakiejś bramy. Otwiera ciężkie wierzaje prowadzące na czyste schłodne schody ozdobione pnącą roślinnością. Słyszę dyskretną muzykę akordeonu, obejmuje mnie błogie ciepło dobrze grzejących kaloryferów, a w powietrzu wisi ostra, leśna woń choinki.

Z półmroku wyłania się Kojran.

- To jest cwany babus. Zamyka, żeby nas wypłoszyć.

- Kto?

- No ta kierowniczką. Zobacysz, że zaraz podwiozą towar. Ona ma swoich klientów. Rusczy też pewnie czekają w ukryciu.

- Fakt - dodaje pan Duszek - oni mogą czekać, bo nie mają wigilii.

- Ależ sam widziałem, jak plombowała drzwi - powiadam ze złością.

- Ona mogła sobie plombować, ale wiesz co. Jeśli towar wysłali z magazynu, to musi dojść, szkoda marnego słowa. Zobaczymy, kogo przetrzyma.

I pokazuje mi ukryty w dyskretnym półmroku amfiteatr podestu eleganckiej klatki schodowej. A tu w niedbałych pozach siedząc i półleżąc koczują starzy znajomi: pani w za dużej pelisie, student z anarchistą, wieśniaczka, Grzesio i ta stara kobieta, która okazała się niestara, a teraz siedzi na kolanach robotnika budowlanego. Trochę z boku ulokował się w pozie Rejtana harmonista z orkiestry ulicznej. Oparł o rozchełstnaną pierś swój importowany akordeon i błędzi palcami po klawiaturze wsłuchując się we własną improwizację. Na najwyższym stopniu stoi prawdziwa choinka. Sciekają z niej lśniące krople roztopionego śniegu.

- Wyzdrowiałeś? - pyta Kojran.

- Tak. Już dobrze się czuję.

- Ty masz najlepszy sposób na dziewczyny.

- Kojran, nie wierzysz, że naprawdę poczułem się źle?

- Esz, ty jesteś fałszywy. Dorwałeś się do Iwony.

- To nie Iwona, to Basia.

- Jaka Basia? Znam ją z widzenia pół roku. Iwona, mieszka na Latawcu. Może przysięgniesz, że nie włożyłeś?

- Kojran, jestem ciężko chory.

- No to przysięgnij.

- Po co zaraz przysięgać. Chcę pójść do domu i położyć się we własnym łóżku.

- Co ona w tobie widzi, jak Boga kocham?

- Nic nie widzi. Ratowała słabego.

- Ożesz ty. Bić w ryło i patrzeć czy równo puchnie.

- Czego ty mi zażdrościsz, Kojran? Chodź, zamienimy się naszymi losami. Ja za ciebie polecę jutro do Ameryki, a ty po świętach ruszysz do Kalisza. Obejrzyś tysiącletnie zabytki, posiedzisz w sądzie, spotkasz się z człowiekiem, który cię gorąco nienawidzi od dziesięciu lat. Bierz mój kozuch i odpływaj do mego domu. W chłodną stabilizację przed niedalekim zastygnięciem.

- Patrzcie, kurwa, jakby własną książkę czytał.

Robi się mały ruch na schodach. Z lastrykowego stopnia podniósł się anarchista. Porozpinany aż do żywego ciała. Na żółtej szczecinie zdo-
biącej pierś lśni wilgoć. Zbliża się do nas, wyjmując z kieszeni zardze-
wiały pudełeczko.

- Zapalimy? - pyta. - Dobra rzecz.

Otwiera wieczko. W środku leżą cienkie skręty własnego wyrobu. Misternie ulepione cygaretki w niebieskawej bibułce.

- Proszę - podsuwa mnie i Kojranowi.

Zapalamy, a on częstuje pozostałych.

- Co to jest? - mówi Duszek. - Dziwnie pachną.

- Suvenir od Carlosa - uśmiecha się poufnie anarchista.

- Od jakiego Carlosa? - nastaje Duszek.

- Sztachaj i nie pytaj. Jak będzie pora, to wyjaśnimy.

Na schodach żarzą się czerwone ogienki papierosów. Stara, która okazała się niestara. coś szepcze do ucha budowlanemu. A on drży z zim-
na ciągle jeszcze w tym roboczym ubraniu z emblematem pracy na pier-
siach, z emblematem przedstawiającym literę B uformowaną z ceglanych

żagli. Już ich zebrani traktują jak narzeczonych. Z dyskretną sympatią.

- Ocb Gośka, Gośka - wzdycha robotnik szczerkając zębami.

Może i miałyby ochotę wrócić do domu, nałożyć ciepły sweter, ale przecież nie wypada, więc poddaje się naglemu jak wiosenna burza roman-sowi. Palą oboje jednego papierosa do spótki.

- A ja to pana musiałam czytać - odzywa się niespodzianie wieś-niaczka wyłaniając się zza poręczy. Rozpięła karakułowe futro, pod któ-rym srebrzy się wieczorowa suknia.

- Dlaczego musiała mnie pani czytać, ślicznotko? - pytam z uczu-ciem dobrze znanej przykrości.

- Był pan w lekturze szkolnej, zanim pana nie wykreślili. Coś o jakiejś budowie. Produkcyjny reportaż. Straszna nuda.

- Przepraszam. Padam do nóg i przepraszam. Ale, jak pamiętam, było to krótkie i z humorem.

- Nie takie krótkie. Straszna nuda.

- Kokietujesz, stara larwo.

- Co pan mówi?

- Mówię, że to było bardzo dawno. Lepiej się nie przyznawać. Le-piej dla pani i dla mnie.

- Ale był pan socrealistą, prawda?

- Byłem socrealistą, kroweniu.

- Pan jest cham.

- Nie jestem cham, tylko mi się w głowie kręci.

Ale oto nadpływa Kojran. Z nieodstępnym panem Duszkciem. Zacią-gają się chciwie swoimi skrętami.

- Co to jest? Czym on nas poczęstował?

- To jest zapach swobody. Woń dalekiego świata! - woła student rozwalony pod choinką.

- Bracie Konwo, on nas truje, ten terrorysta.

Wieśniaczka puszcza misterne kółka z dymu.

- Niech pan nie pali. Może pan zadusić butem ten zapach swobody.

- Ale pani pali.

- Bo mnie smakuje.

- Mnie też smakuje. Trzeba się chyba położyć. Scina z nóg.

- Tak musi być - mruczy student. - Hosanna.
- Konwa, co tak stoisz i nic nie mówisz?
- Polak jak pochędoży, to zmartwiony - konstatuje Duszek.
- Trzeba iść do domu - powiada.
- No to idź.
- Ale mi się nie chce. Słyszycie organy?
- Jakie organy? To harmonista. Duszek, o czym miałem pamiętać?

tać?

- O prezencie od kuzyna.
- Prawda. Widzisz, ten turysta radziecki coś ci zostawił na pamiątkę. Szukał po kieszeniach, martwił się, chciał zostawić coś okazałego. A zostawił to.

Kojran otwiera torebkę zwaną pederastką i wydobywa podłużny kamień malachitowy. I ja poznaję ten zielono czarny pręcik jak zjedzona grynszpanem stara łuska karabinowa. Widywałem go niegdyś w rodzinnych szufladach. A teraz dopadł mnie pod starość.

- No - przynagła Kojran. - Do czego to służy?
- Do niczego. Stary rupieć rodzinny.
- Chciałem mu podać twój adres, ale on nie chciał adresu.
- Ja też nie chcę jego adresu.
- Dziwna rodzina, jak Boga kocham. Może to cacko ze złota?
- Nie. Ze skały. A takie skały są nad Bajkałem. Nad jeziorem większym od morza.

Odchodzę z trudem w głąb bramy, gdzie świeci pod matowym szkłem żółta żarówka. Tak, to ten sam stempelek, który przywiózł jakiś dziadek albo może pradziadek z zesłania. Słabo pamiętam, a co pamiętam, płacze mi się z tym, co w życiu czytałem. Był jakiś bunt zesłańców, którzy budowali drogę nad Bajkałem. Było sprzysiężenie więźniów zakończone, jak zwykle, niepowodzeniem. Był zryw nieszczęśliwy, który zostawił po sobie życiodajną legendę.

Tak, to ten stempelek, nic nie znaczący za mego dzieciństwa. Czarno żyłkowany zielony kamień z rewersem, na którym ktoś wygrawerował rylcem obraz orła z rozpostartymi skrzydłami, prymitywny wizerunek ptaka wolności. A ten ptak jest czarny, bo w żłobinach zwęglił się

tusz sprzed stu lat, lecz na papierze zostałyby białe cię tego ptaka, co kocha wolność, co kiedyś na pewno kochał wolność.

Podchodzi chwiejnie Kojran prowadząc Duszka.

- Miałem ci o nim powiedzieć, kiedy przyjdzie pora. On trzyma ten kantor komisowy w Hali Mirowskiej. Ale kiedyś pracował w organach.

- Mnie już zbrzydło tego słuchać - spluwa pan Duszek. - Jak wypije, zaraz przypomina. Już dwadzieścia lat.

- Bo ja noszę, tu w zanadru, twoje rozgrzeszenie. Jeszcze, bracie Duszku, nie odpuściłem, ale może jutro odpuszczę na lotnisku.

Wytrzeszczone oczy Kojrana nagle maleją i zezują ku nieodstępnemu oprawcy, albo nieodstępnej ofierze.

- To ty mnie wypędzasz do tej Ameryki!

- Cśś. Przymknij dziób. Widzisz, że ten noktowid za nami chodzi

- pan Duszek pokazuje Grzesia, który akurat leży bez sił na pierwszym schodku.

- Ależ on mnie wypieścił, rany boskie, dziś już chyba nigdzie tak nie pieszczą. Zaraz ci pokażę, tylko muszę się rozpiąć.

- No dosyć. Wystarczy. Nikt tu nie jest ciekaw - pan Duszek chwytając przyjaciela w potężne ramiona i usiłuje go z powrotem pozapinać.

- Ale jak go zwolnili z organów, przykleił się do mnie i czeka na odpuszczenie starych grzechów.

- Ty grzeszyłeś, ja grzeszyłem, pan także grzeszył. Cały świat jest grzeszny.

Obaj mnie szarpną jak sędziego szukając sprawiedliwości. A ja w sobie słyszę ciężki, masywny głos fisharmonii.

- Chodźmy się przyłożyć - powiadam. - Ten anarchista zadał nam lubczyku.

- Silne papierosy pali dziś młodzież.

- Jeśli się położymy, to już nie wstaniemy - stęka Kojran.

- Dobrze byłoby się położyć i nie wstać - szepczę szukając zaciśnietego miejsca u nóg budowlanego i Gośki, którzy patrzą przed siebie białymi oczami, patrzą szepiwszy się dłońmi, jakby widzieli pożar miasta, rozstępowanie się morza, lub sypiącą się mannę z nieba.

Przy poręczy stoi paka w brązowym papierze. Coś w niej błyska

srebrem, jakąś odświętną drogocennością. Zdzieram obwisłe ucho pakowego papieru. W środku lśni wielki samowar elektryczny.

- Czyj to zakup? - pytam.

Kojran sadowi się bezwładnie obok

- Mój. Coś trzeba było kupić.

- Wygrał wycieczkę do Rosji - odzywa się pani w za dużym kapeluszu. - Jak ktoś ma szczęście, to i w dziurawej kieszeni znajdzie. Niech pan pokaże paragon.

Kojran grzebie w zanadrzu.

- Po co mi wycieczka? Czy ja harcerz jestem? Rany boskie, w którą stronę wybrać? Zapytaj pan tego anarchistę.

Student pyta swego podopiecznego, a Kojran wydobyl już szczęśliwy paragon i sprawdza go pod światło.

- Patrz co za cholera. Numer z samych trzynastek i wygrał. Do takich rzeczy to zawsze miałem szczęście.

- Ty się nie martw. Może to pomyłka - rzekę.

- Jaka tam pomyłka. Kierowniczką dzwoniła do dyrekcji. Sprawdzano w tabeli. Wygrana jak drut.

Student resztką sił przyczołguje się do naszego schodka.

- On mówi, że lepszy tydzień w Rosji niż całe życie w Ameryce.

- Ale czy on jest dobrze poinformowany - dzieli się wątpliwością

Kojran.

- Tak. On zwiedzał Amerykę.

- Ale czy zwiedzał Rosję?

- Nie mogę gwarantować.

Harmonista wlecze bez pośpiechu jakieś złowieszcze oratorium. Budowlany zanurzył spracowaną dłoń pod spódnicę nie starej Gośki. Te schody sprawiają wrażenie, jakby prowadziły do gwiazd.

Kojran składa paragon na czworo i chowa go do skórzanej torebki zwanej żartobliwie pederastką. Potem kiwa z wysiłkiem poblądłą ręką na Grzesia.

- Pozwól do mnie, chłopcze.

Ale Grzesio także osłabł. Chwiejnym krokiem podpywa do naszej łoży.

- Bądź łaskaw wyjść na ulicę i spojrzeć, co z tym sklepem. Może od tyłu noszą towar.

- Panie Tadeu, przecież dziś wigilia - leni się młody człowiek.

- Wigilia najlepsza do nadużyć.

Więc Grzesio bez ochoty rusza w głąb czarnej bramy, gdzie kotłują się wiry wiosennego huraganu.

- Ty jesteś też Tadeusz? - pytam zaskoczony.

- A tak. Ja też.

- To dziwne.

- Właściwie nie musi być dziwne. W naszych stronach co drugi to Tadeusz. Ale jest dziwne. Powinno być dziwne.

- Może być normalne. Daj te swoje bilety do Ameryki, zrobimy z nich ognie sztuczne na choinkę. Wystarczy ci szczęśliwy paragon. Przejedziesz się, popatrzysz i wrócisz, żeby rozpić ze mną pół litra moskiewskiej wódki. Po co ryzykować, czy nie lepsza nasza własna codzienna normalka?

- Słuchaj, Konwa, co się ze mną zrobiło. Byłem kiedyś chłopcem z bajki, Jankiem Muzykantem, uczniem czarnoksiężnika, młodym Byronem. Jak to się stało, że poszedłem na dno? Jak to się pokręciło, że jestem starym, prymitywnym dziadem. Wiesz, to pewnie brak treningu. Moja świadomość, mój system wyczuleniowy, ścięła mojej duszy, soczewki mego jasnowidztwa, to wszystko pozostało w spoczynku. Nigdy tego nie ćwiczyłem, nie doskonaliłem, nie dopingowałem. I dlatego zastygło, a więc umarło we mnie, zanim ja umarłem. Sam siebie skazałem na zbydłecenie. A mo że los mnie zbydłcił?

- Tobie dobrze. Przed tobą wielka podróż. Albo na wschód, albo na zachód - powiadam sennie.

- Ochże w Nobla kopany - jęczy Kojran. - Nie mam siły wstać i kopnąć w ten literacki zadek.

Student zgniata swego peta na sinawej lamperii ściany słuchając szemrzenia cudzoziemskiego proroka, który czochna się po żółtawej pierśsi zapatrzonej w pochyły sufit albo w niewidoczne niebo.

- On mówi - tłumaczy półgłosem student - że przeżyły się dotychczasowe formy organizacji społeczeństw. On powiada, że każda władza

podświadomie i świadomie zdąża ze wszystkich sił do ułatwienia sobie sprawowania władzy. A więc celem każdej władzy jest pełna i niczym nieskrępowana totalitarna dyktatura. Jeśli nie wszędzie realizuje się ona do końca, to tylko dlatego, że stają jej na przeszkodzie coraz węższe i z dnia na dzień zanikające przeszkody w postaci starych nawyków demokratycznych czy liberalnych, kiedyś gdzieś żywych i zmateriałizowanych w instytucjach konstytucyjnych, parlamentarnych, czy socjalnych. Każdy prezydent demokratycznego państwa, który w ciągu dnia plecie o wolności jednostki, o parlamentarystyce, o praworządności, w nocy wije się z paroksyzmach zazdrości wobec sąsiedniego prezydenta, co kazał się wybrać dożywotnio, wprowadził cenzurę, doraźne sądy i rządzi przy pomocy dekretów; w nocy śni więc rajskie sny o tym dniu szczęśliwym, kiedy będzie mógł rozwiązać parlament, założyć wszystkim podsłuchy, ustokrotnie policję polityczną, wybudować obozy koncentracyjne i ogłosić się bogiem. Jeśli można założyć, że istnieje międzynarodówka proletariatu, to tym bardziej możemy być pewni, że egzystuje i prosperuje międzynarodówka prezydentów, szegów junt, tyranów i dyktatorów. Jeśli wierzymy w obecność Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, to tym łatwiej możemy się przekonać o funkcjonowaniu międzynarodowej policji politycznej, która służy spiskowi tyranów. Niech nas nie mylą obelgi, którymi obrzucają się głowy państw i przywódcy narodów, niech nas nie omamią konflikty policji, albo incydenty wojskowe. Niech nas nie oszukają kampanie ideologiczne rozgrywane na naszych oczach między blokami politycznymi czy systemami społecznymi. To wszystko to opium dla mas. To wielki show dla maluczkich. To wszechświatowe saturnalia, kiedy chciwi bezgranicznej boskiej władzy despoty dokonują zamachów stanu, zamachów na naszą godność, na naszą wolność, na nasze ludzkie życie.

Z ciemności nadchodzi Grzesio otrzępując się z kropel deszczu. Już z daleka pachnie wiatrem i wodą.

- Co ty czytasz? - pyta studenta. - Gdzie to wydrukowano?

- Rasowy łaps - śmieje się dobrodusznie pan Duszek. Grzesio go irytuje, ale częściej rozrzewnia.

- Salon zamknęty na amen - melduje przybyły. - Już go nie otworzą do sądnego dnia.

- Nie kupisz swoich obrączek - powiada sennie Kojran.

- Nie kupię - wzdycham.

- A czy to jakiś rocznica?

- Nie. Nic okrągłego i znaczącego. Raz w życiu, a właściwie pod koniec życia, chciałem zrobić niespodziankę. Niczym nie umotywowany odruch albo wybryk, coś w rodzaju kraksy drogowej.

Wieśniaczka rozwiązuje toból i czegoś szuka. Po chwili zaczepia na choince świeczki oraz pręty sztucznych ogni. Niedomknięta brama uderza z namysłem w futrynę. Wiatr gna bezsensownie tam i z powrotem pustą i nagą aleją.

- A ty? - pytam studenta. - Prowadzisz go jak niewidomego, albo jak Wernyhorę. Ale co ty, ty sam?

- Jeszcze nie wiem. Na początek nie uczyłem się. Uniknąłem przyswojenia wielu gównien. Powiedziałem sobie: tego i tego nie będę wkuwał, bo to śmiecie czasu, układu, liturgii państwowej, tego i tamtego nie przeczytam, bo to łajno wypchane gwałtem. Taki był mój skromny program, żeby nie nałykać się przymusowej rycyny, choćbym miał nie zdać matury i zawalić studia. Uchroniłem się, posiadam lekki, pustawy żołądek, mogę trawić to wszystko, co warto trawić. Jestem czysty, może mnie pan kupić.

- On też jest do kupienia - kwituje Kojran spoglądając na mnie porcelanowym okiem.

- Byłem do kupienia, ale już minął czas.

- Ty nie dosmuczaj nas, tylko pisz, kurwa, dla pokrzepienia serc.

Terrorysta przysuwa się do wieśniaczki, która zrzuciła z ramion karakułowe futro i walczy z pudełkiem wilgotnych zapalek. Wspólnie krzeszą ogień z niepełnowartościowego produktu monopolu zapalczanego. Wreszcie błyska sinawy płomyk i zaczyna kąsać zziębnięte świeczki. Terrorysta wzruszony archaicznym obrzędkiem składa wielką, czerwoną dłoń na biodrze wieśniaczki. Ona wprawnym ruchem kibici zrzuca obce brzemię. Terrorysta chce coś wyjaśnić.

- On mówi - tłumaczy student - że jemu ciągle stoi. W dzień i w nocy, od piętnastego roku życia.

- A cóż to nas obchodzi. Niech idzie do lekarza - rzecze wyniosłe wieśniaczka.

- Był u wielu lekarzy. Żaden nie pomógł.

- Panie, takie bzdury, komu on to będzie opowiadał - irytuje się pan Duszek.

- On mówi, że to prawda. Chce nawet pokazać. On bardzo się męczy.

- Ja go nie będę leczyć - prycha nieprzystępnie wieśniaczka, która była kiedyś artystką estradową.

- Może pani ma życzenie? - pyta student tej w za dużym przyodziewku.

- Ze mną proszę ostrożnie, bo zawołam milicję.

W tym momencie jęczy brama, jakby przepi lowywana na dwie połowy. Z ciemności słychać miarowe stąpnięcia i siąkanie nosem. Fojawiają się przed nami dwaj młodzi milicjanci upośledzeni przez katar.

- Dobry wieczór - odzywa się nosowym głosem starszy z trzema naszymi. - Można wiedzieć, co to za zgromadzenie?

- Idziemy w gości. Na wigilię - powiada Duszek.

- Przysiedliśmy, żeby odpocząć, bo winda zepsuta - dodaje Kojran.

- A do kogo?

Milkiemy zaskoczeni. Płomyki świeczek na choince również objawiają zaniepokojenie. Milicjant z czerwonym świdruje nas kolejno załamionym wzrokiem.

- Do kogo państwo idą na Wigilię?

Grzesio przewraca się na drugi bok.

- Do pana Nowaka. Pod siedemnastym.

Funkcjonariusz taksuje jego lekko przemoczone dżinsy. - Poproszę o dowód.

Grzesio machinalnie sięga do bocznej kieszeni spodni, ale jednak przytomnieje. Wyciąga z zanadru wymiętoszoną książeczkę.

- Chciał pokazać numerki - chichocze pan Duszek. - Jeszcze nie-doświadczony skryciarz.

Starszy milicjant spisuje biednego Grzesia, młodszy patrzy na nas umęczonymi, czerwonymi oczami chorego królika. Harmonista ćwiczy jakąś dodekafonię utkaną z poświstywania miechów. Wreszcie funkcjonariusz zwraca dokument i rzece:

- Proszę udać się na Wigilię i nie robić zbiegowiska. Wesółtych Świąt.

- Wszystkiego najlepszego - kłania się pan Duszek.

Odmierzonym krokiem milicjanci ruszają w stronę bramy.

- Spisali ciebie - odzywa się z satysfakcją student. - Będziemy sąsiadować w rejestrze.

- A niech spisują, stóje powiatowe.

Terrorysta zapalił sztuczny ogień, sypią się rozgwieżdżone iskry na lastrykowe schody, które wieczorem upodabniają się do karraryjskiego marmuru. Budowlany i Gośka szczepili się pod balustradą. Niby drzemią, ale coś nimi jednak podrzuca, bo po chwilach zastoju szarpia się, jakby chcieli oswobodzić się z niewidocznych więzów. Za wielkim oknem na półpiętrze widać przez zbite szybki starą ruinę z oberwanymi ścianami. Tam również w ocalałych mieszkaniach świecą się choinki.

Dopiero teraz spostrzegam, że chuda twarz studenta z mizerną brodą i wyliniałymi wąsami podobna jest do twarzy Chrystusa tak jak wszystkie twarze młodych ludzi mojej starości. Czy to oni przyjęli rysy dawno zamęczonego człowieka, czy Chrystus okrył się zewnętrznością epoki największego kryzysu, epoki, która potrzebuje Chrystusa albo tylko Mefista.

- Ty świnió! - podnosi głos Duszek. - Wyruchałeś panią na schodach!

Budowlany puszcza Gośkę z objęć, poprawia na sobie odzież, strzepuje igliwie z roboczej kurtki ozdobionej ceglastymi żaglami.

- Co? Co? Czego się czepiasz?

- Ja wszystko widziałem, świntuchu. Oczu nie masz? To starsza osoba. Wstyd, cholera.

- Tylko bez starszych osób - wstaje Gośka z wygrzanego stopnia.

- Mogłabym być pańską córką. Pan zobaczy, jakie mam jeszcze ciało.

- Ona ma ciało - syczy wściekle wieśniaczka. - To co mam ja?

Zaczyna otwierać zamek błyskawiczny w swojej wieczorowej sukni ze srebrnej lamy. Anarchista śpieszy z pomocą.

- Won z łapami. Ja sama. Niech ten literat porówna.

- Dlaczego ja? Mam krótki wzrok.

- Ale z tą gończynią to pan znalazł drogę na zaplecze.
- Serce nawaliło. Ja się zegnám ze światem, proszę pani.
- Pan nas wszystkich przeżyje. W przyszłym tysiącleciu trzeba będzie pana uspić za państwowe pieniądze.
- Dlaczego pani dla mnie taka niezycziwa?
- Pan sam wie.
- Z powodu jednej kiepskiej książeczki, królowo?
- Ze stu powodów. A każdy powód jak kwiat. Kwiat zła.
- Boże, pani taka czytana.
- Niech pan tu podejdzie.
- Lękam się, lepiej nie.

Kojran otwiera oczy. Patrzy intensywnie ponad lamperią w to miejsce, gdzie na lizaju ściany trwa w monotonnym ruchu mała galaktyka zbiorowości mrówek. Małych, niezniszczalnych mrówek faraona, które nie wiadomo skąd wyruszyły na podbój cywilizacji. Cywilizacji, co straciła wiarę sama w siebie.

- Cicho. Posłuchajcie - szepcze Kojran.

Milkniemy bez sprzeciwu. Wieśniaczka zamarła z dłonią na nie do końca otwartym zamku jak na kaburze pistoletu. Świecek razem z gałkami chwieją się od dziwnych pionowych przeciągów.

- I co? - pytam.

Kojran przymyka powieki, unosi je ociężale.

- Dzieci śpiewają kolędy.

Rzeczywiście gdzieś słyhać anielski chór, bo głosy przed mutacją zawsze wydawały się nam głosami niebian.

- Kurwa, jakby mi czegoś żal.

- Czego ci żal?

- Wszystko jedno. Strasznie żal. Słyszałem kolędy w lesie partyzanckim, słyszałem w więzieniu, i wśród kurew słyszałem, ale takiej nie słyszałem.

- Może i ty już wierzysz w cud?

- W jaki cud?

- W coś, co się nie może zdarzyć i nigdy się nie zdarzy.

- Z kim?

- Z nami tutaj i z nami w ogóle.
- Och, daleko.
- Co daleko?
- Aż boli.
- Taka noc.
- Noc to zasłonięcie się przed słońcem.
- A może więcej?

Zdaje mi się, że ten śpiew spada skądś z góry, z wysokiej głębi klatki schodowej nieznanego domu. Więc wstaję, przekraczam nogi Gołki i budowlanego, omijam anarchistę, który obraca w palcach ziarna buddyjskiego różańca. Wspinam się po schodach coraz ciemniejszych, a wokół mnie wzmaga się ten śpiew, co wydał się kolędą. Ale to nie jest kolęda. Za wiele wnim skargi i powstrzymywanego płaczu.

Nastaje ciemność. Szukam ściany. Jest zimna, oślizgła, jak chiński mur podnosi się na niewidzialne wzgórze. I słyszę już wiatry hulające na tym zgarbionym wzgórzcu, wiatry rozpędzające niczym mgłę posępne pienie anielskich głosów.

Palce moje odnajdują drewnianą futrynę z płataniną słojów dębowych. Spotykam i klamkę, ogromną, mosiężną, przesyconą ciepłem rąk, które ją niedawno obejmowały. Otwieram drzwi, które przed sekundą jeszcze były czernią ślepoty.

I oto jestem na progu kaplicy wypełnionej sinawym światłem lamp elektrycznych jak kwiaty konwalii. Przede mną w ławkach siedzą kobiety w różnobarwnych szlafrokach. Gdzieś tam widzę mężczyzn odzianych także szpitalnie. Tu i ówdzie nad ławą sterczy głowica kul inwalidzkich. A pod ołtarzem stoją dwie białe dziewczyny z grubymi świecami w dłoniach. Patrzą na młodego dominikanina, który intonuje wersety litanii. Obok mnie stara zakonnica trzyma chude ręce na żółtej fisharmonii. Wtóruje litanijnemu odzywowi wiernych.

Widzę przygotowany dzbanek ze święconą wodą. Widzę puszkę z olejami świętymi. Te dziewczyny przyjmą chrzest z rąk młodego księdza, swego rówieśnika, którego nazywają ojcem.

Po mojej lewej stronie stoi konfesjonał z czarnego drzewa. Z parapetu drzwiczek zwisa koniec fioletowej stuły. A w głębi majaczy okrą-

gła, niemłoda twarz mężczyzny w binoklach, albo może w okularach. Anonimowa i pospolita twarz człowieka, który czeka na drugiego człowieka.

Jestem pewien, że on patrzy na moje plecy. Patrzy i myśli o mnie. Myśli może jak kapłan, a może jak zwykły człowiek znudzony zimowym wieczorem.

Nagle odwracam się, podchodzę do konfesjonału i klękam na wydeptanym schodku. Przede mną czarna drewniana krata. Czyjaś nieznaną obecność. On słucha mnie, ja słucham jego. Nie wiem jak zacząć.

Skończyła się litania. Młody mnich wstępuje za ołtarz n niewielki jak ogrodowy stolik. Będzie odprawiał mszę na intencję neofitek.

- Proszę księdza - szepczę - dawno nie byłem u spowiedzi. Kilkadziesiąt lat.

Milczymy przez chwilę.

- Słucham. Mów - szepcze drugi człowiek za kratą.

- Przez te lata grzeszyłem jak wszyscy. Kłamałem, byłem zawistny, wypierałem się Boga.

Na moment przerywam, a potem dodaję:

- I cudzołożyłem.

- Mów - zachęca ten cień ludzkiej obecności.

To są moje grzechy z dzieciństwa, z młodości. Wyliczałem je co miesiąc w tym drewnianym kościółku pod Wilnem. Słuchał ich ksiądz Pereświat - Sołtan, używający binokli albo okularów. Ale ksiądz Sołtan nie żyje. Umarł we własnym łóżku, lub zamęczony przez bezbożników. Jakie grzechy popełniłem w dorosłym życiu?

Kłamałem, zazdrościłem, cudzołożyłem, traciłem wiarę i ją odnajdywałem, czyż to grzechy, czyż Bóg ich ciekaw, czyż to nie powszedniość naszego życia, smętna statystyka człowieczej egzystencji? A ja czuję się przecież winny, dotkliwie, przejmująco winny wobec swego czasu i wobec Boga. Ale Boga nie jestem pewien, bo jawi się w ułomnym ludzkim wyobrażeniu poganianym przez strach, niepewność, rozpacz, a czasu swego nie rozumiem, bo zobaczyłem go tylko na mgnienie pięćdziesięciu lat.

Skąd się bierze moja wina? Czy z mego charakteru, czy z dławią-

cego lękiem przeczucia nieprzeczuwalności? Czy z chciwości poznania i zrozumienia, czego nie można poznać i zrozumieć, czy z zapomnienia obowiązków wobec ludzi, którzy mówią tym samym językiem, którzy wloką się w złowieszczą przyszłość tą samą koleiną?

Zakonnik błyska obnażonym kielichem. Białe dziewczyny stoją nieruchomo strzegąc wątlých płomyków świec. Fisharmonia odzywa się z dychawicznym westchnieniem i milknie w raptownym jęku. Między wysokimi oknami wiszą portrety studenta, fizjonomie współczesnych młodych ludzi. To są brodate twarze Boga-Człowieka i człowieczeństwo jego potwierdza kwas rybonukleinowy. A boskość jego gwarantują przyplawy i odpływy nadziei jak gwałtowne poddmuchy wiatru słonecznego.

Skąd się biorą moje winy? Czy z agresji bliźnich, czy z przeczucia grzechu pierwotnego, co go popełniły we wszechświecie istoty, po których dziedziczą neutrony moich mięśni albo energii mojej duszy? A może jestem winien wobec swego losu, bo go nie spełniam i nie realizuję, bo sabotuję przeznaczenie w każdej chwili codzienności mamiony przez własną świadomość, która urywa się z uwięzi, wymyka się kontroli, odpływa jak obłok narkotycznego dymu w próżnię morlaną nad nami?

- Mów. Ja słucham - powtarza ksiądz Pereświat-Sołtan, albo inny ksiądz, który umrze we własnym łóżku, lub zmęczony przez bezbożników.

Nie. Chcę być winnym najprościej. Chcę być winnym wobec nieznaných ludzi, którzy zatopieni w morzu anonimowości wypełniają zgrzebny człowieczy obowiązek, którzy w mroku beznadziei zagradzają swoimi kośćmi drogę potopom zła czasu albo historii, którzy w mozołe i bólu rodzą mnie po to, żebym krzyczał jak najgłośniej, żebym wył do końca ziemi i do końca nieba, żebym ocucił siebie i Boga.

Niewola współczesna przypomina pewne sytuacje z filmów gangsterskich: oto dzwoni telefon, gangster każe zaszantażowanej ofierze podnieść słuchawkę i normalnym, towarzyskim tonem rozmawiać o byle czym z osobą telefonującą. Oto ktoś wszedł niespodzianie do domu opazanowanego przez gangsterów. Właściciel mieszkania, czując siebie na muszce pistoletu ukrytych bandytów, podejmuje gościa jakby nigdy nic,

częstuje go drinkiem, stara się normalnie zachować i pozbyć najszybciej tego jedyne go człowieka, który mógłby mu pomóc. Oto gangsterzy uciekają z banku wiodąc przed sobą sterroryzowaną urzędniczkę, pod osłoną jej ciała biegną do samochodu, a kobieta błaga stróżów sprawiedliwości, żeby nie strzelali i dali sposobność bezpiecznej ucieczki gangsterom.

Tak się dzieje i z całymi narodami w dzisiejszym świecie. Gdzież te piękne czasy staroświeckiej niewoli? Gdzież podniosła walka najeźdźcy z językiem ciemiężonych, z ich godłami państwowymi, gdzież jawne i ceremonialne ściganie patriotów, gdzież uroczyste egzekucje bohaterów? Ta niewola w stylu retro była jawna, teatralna, celebrowana. I wiadomo było wszystkim, kto zniewala słabszych i kto za owo zniewalanie odpowie przed sądem historii.

Dziś niewola stała się niewidzialna. Jakiś biedny naród zachowuje się z pozorów naturalnie, słucha z czcią swego hymnu, wybiera parlament, wysyła posłów, zasiada w Radzie Bezpieczeństwa, jednym słowem postępuje jak każde niezawisłe, suwerenne państwo. I nikt nie widzi, że do pleców przystawiono mu rewolwer, odbezpieczony rewolwer sąsiada albo i nie sąsiada. Taki naród wypowiada słowa rzeczowe, roztropne, głębokie, siakie i owakie, wypowiada je z twarzą pokerzysty i nikt się nie domyśla, że naród ten chciałby z całych sił, z głębi trzewi zarzyczyć niczym zarzynane zwierzę, zawyc jak obdzierany ze skóry królik, zaskowyczeć do Boga o pomoc przed nieuchronną zgubą.

Dawniej zniewolonemu przysługiwało prawo krzyku, dziś niewolnikom zapewniono prawo milczenia, niemoty. Krzyk przynosił ulgę, krzepił zdrowie jak noworodkowi, hartował na przyszłość. Milczenie, niemota degenerują, duszą, zabijają. Dawniej zniewolony, kiedy odzyskał wolność, mógł bez przeszkód włączyć się do wielkiej rodziny wolnych narodów. Dziś, przypadkiem uwolniony, nie będzie już zdatny do życia. Sam zginie od jądów, które zgromadził w sobie podczas czarnej nocy ubezwłasnowolnienia.

Świat przeżywa wielki kryzys. Kryzys filozofii, etyki, obyczaju, kultury, środowiska, samopoczucia zbiorowego i indywidualnego. Wyobraźcie sobie, jak ten kryzys wygląda w kraju, którego sytuacja jest kryzysowa, a więc w państwie, które dogorywa w jasności przeźroczystej

niewoli. Jeśli na świecie spłowiwały jakiegokolwiek kryteria człowiecze, to u więźniów nikt już nawet nie pamięta, że kiedyś były. Jeśli w wolnych krajach zachwiała się moralność, to u rabów dawno zmielono ją na proszek. Jeśli gdziekolwiek sztuka skarlała, to u niewolników przepoczwarzyła się w wesz. A ta wesz - dodam od siebie - lubi przybierać pozy modne, gesty kontestacyjne, miny uniwersalne. Pamiętajcie o tym.

Zaraz, ale ja chciałem o czym innym. Przecież miałem co innego na myśli. Znowu zgubiłem wątek jak zawsze gubiłem. Lecz teraz gubię coraz częściej. Pewnie myślałem o przymusie dokonywaniu wyborów. O tym przeklętym balotażu moralnym, któremu podlegają całe generacje i każdy pojedynczy, Bogu ducha winien, szary zjadacz chleba. W zniewolonym świecie trwają permanentne wybory zachowań wobec władzy, wobec jej przymusów, kaprysów i zbrodni. Codziennie trzeba dokonywać rachunków sumienia, codziennie należy rodzić się moralnie od nowa, codziennie pod grozą utraty części albo głowy przychodzi wybierać między niebem i piekłem. To upiorna dolina Józefata, gdzie każdej chwili sędzi nas w trybie doraźnym Sąd Ostateczny. Nie, to dwa trybunały, trybunał pychy i przemocy ludzkiej oraz trybunał sumienia człowieczego w stanie zapalnym, to te dwa trybunały diabła i Pana Boga osądzają nas na króciutką wieczność aż do następnej rozprawy.

Ale ja chciałem podnieść inny problem. Coś mi się majaczy, czego nie umiem objaśnić. Pamiętam jakieś chwile z dzieciństwa, może zimowe, a może wiosenne, momenty tragiczności w moim głupim życiu, a albo w losie moich bliskich. Widzę twarz babki, twarz niemłodej kobiety, na której przebiegają jakieś tektoniczne, górotwórcze albo może sejsmiczne przeobrażenia. Jak twarz ta kurczy się, mnie się dziwnie, bruździ nowymi zmarszczkami, jak to oblicze takie swojskie, tak dobrze znane na pamięć, jak to lustro mąci się nieoczekiwaną brzydota rozpaczy, szpetnością nieszczęścia, ohydą bólu, jak mętne łyzy toczą się po tym krajobrazie biedy, a ja krztuszę się ze śmiechu, chowam się pod stół i umieram ze śmiechu, uciekam przed siebie i wydaję ostatnie tchnienie ze śmiechu.

A dziś ja straszę ludzi twarzą mojej babki nieboszczki. I ucieka przede mną wszelkie stworzenie boskie. I brzydzi się mnie cudzoziemiec, bo cuchnę niewolą, i śmieje się ulica, bo z kaprawych moich uczu płyną

bezwstydne ły, i kopie mnie ktoś w tyłek, bo pokraczną mizernością swojej doli zasłaniam mu słońce.

Już wiem. To wszystko nie to. Marzył mi się traktat o tragiczności i błazeństwie. U nas często tragizm chadza pod rękę z błazeńską. A ja w tym upatruję naszą siłę. Ja kocham to dwuznaczne pokrewieństwo, tę ryzykowną symbiozę, ten geniusz narodu zaklęty w dwóch postawach. Nasz tragizm opalizuje, mieni się niejasnymi barwami, bulgoce bezwstydem, dotyka brzegiem granic obłąkości, kszusi się histerycznym chichotem. Nasze błazeństwo ma szloch w gardle, nasze błazeństwo gryzie palce do krwi, nasze błazeństwo wiąże powróż na własnej szyi.

Stójmy, przypomniałem sobie, co pragnę obwieścić. Uświadomiłem sobie wreszcie nowinę, którą trzymam w zanadru. Tak, z tą wicią biegnę do was i nie mogę dobiec. Ziemia spóźniła się o sekundę. W swojej montonnej podróży kosmicznej w brzuchu galaktyki tego roku trzecia planeta układu słonecznego doznała kataklizmu spóźnienia o jedno nieskończenie długie mgnienie czasu. A ta sekunda to jest włos wyrwany z brody nierozpoznanego Boga. Boga czasu.

Co to znaczy dla ludzi? Co to znaczy dla mnie?

Ktoś mnie klepie po policzku. Czuję chłodne, miękkie palce wymierzające mi karę, albo częstujące niewczesną pieszczotą.

- Spi pan na cudzych schodach?

- A co się stało?

- Ja pytam, co się stało. Znika pan na pół godziny. Może panu słabo?

- To ty, Basiu?

- Nie, Julia.

- Jaka Julia?

- Ta sama, co przedtem.

Podnoszę się ze schodów i widzę przed sobą w mroku tę naszą wieśniaczkę znowu otuloną w wyliniałe karakuły.

- Głowa mnie boli - powiadam. - Nie poszły nam na zdrowie francuskie papierosiki.

- Basia, to ta z salonu jubilerskiego?

Była na pewno gorącą pięknością w czasach zimnej wojny. Jeszcze teraz żelazny makijaż utrzymuje w ryzach przejrzejącą urodę twardej jak skała polskiej blondynki. Wiele niespodzianek spotkało mnie od takich kobiet.

- Basi już nie ma i nie będzie - wzdycham melancholijnie.
- Pan mi wygląda na kochliwego.
- To tylko pozory, pani Julio skrzywdzona przez lektury szkolne.
- Ubodło pana. Wiele ładnych dziewczyn przeklinało w liceach ten

pański zakalec.

- Co to jest, że wszyscy czytają moje kiepskie rzeczy, a nikt nie czyta tych lepszych?

- Sporo ludzi nie lubi pana. A i kobiety wspominają nie najlepiej.

- To pani wie coś i o moich kobietach?

- Słyszysz się to lub owo. Swego czasu kłusował pan na terenie Warszawy lewobrzeżnej.

- Myślałem, że już ludzie zapomnieli.

- Ludzie tak, ale kobiety nie. Skarżą się, że z panem kiepsko szło.

- Ja się starałem, proszę pani.

Znowu odzywa się daleki chór, jakby z sąsiedniego zaścianka albo z głębi boru.

- Kolędy śpiewają i powiadają ze zdziwieniem.

- Przecież to wigilia.

- Racja, to Boże Narodzenie.

Schodzę w dół, gdzie przy zepsutej windzie z czerwonym, kaprawym okiem trwa w letargu kolejka do zamkniętego salonu jubilerskiego. Świecek wypaliły się już do połowy, a na gałązkach bieleją długie łyżki zastygłej parafiny.

- Gdzie ty byłeś, panie K.? - pyta sennie Kojran.

- Chodziłem do spowiedzi.

- I co, lżej?

- Trudno powiedzieć.

- A ja byłem wczoraj i mnie lżej.

- Patrz, rdzewieje twój samowar.

Kojran przyciąga do siebie wielki nikłowy przedmiot obłupiony z papieru, ogląda go z troską, zaczyna wycierać rękawem rozdęte boki zbiornika.

- To nie rdza - mruczy uspokojony - to krew.
- Czyja krew?
- Grzesia albo studenta. Bili się, kiedy odszedłeś.
- A o co?
- O nic. Wzięli i pobili się.

Grzesio leży obok na trzecim schodku. Przyłożył chusteczkę do nosa i patrzy wytrzeszczonymi oczami w otchłań wielopiętrowej klatki schodowej. Student rozmawia szeptem z anarchistą. Na nim nie widać śladów walki. Na takich żyłastych szczapach nie odciska się kanciastość życia.

- Dokąd idziesz?
- Spojrzę, czy warto czekać.
- A na co ty czekasz?
- Na towar. Przywiozą radzieckie obrączki.
- Ach tak, tak - kiwa głową Kojran. - Widzisz, ty masz lepszą pamięć.

W wielkiej sieni skrzypi lód pod nogami. Zjadliwy wiatr tłucze się od ściany do ściany. Zerwał już ogłoszenia komitetów blokowych, osiedlowych, lokatorskich i rozjemczych. Całe życie publiczne kamienicy warszawskiej poniewiera się na ziemi.

Odpycham wiekowe skrzydła bramy. Z bolesnym rżeniem przecacza się i uderza w oszkloną szafkę, w której spoczywa damski kapelusz przykryty dziurawym plastykiem. To warszawski Tiffany reklamuje swoje wyroby u wejścia do naszej kryjówki. Widzę ze zgrozą, że w tej szklanej klatce oświetlonej i ogrzanej gołą żarówką, że w tym zakurzonej prostokącie mikrokosmosu miota się uwięziona mucha. Chce wydostać się na wolność i nie wie, że na wolności czeka ją śmierć.

Coś się stało w atmosferze. Tak przejrzystego powietrza nie widziałem dawno, chyba od dzieciństwa, od siarczystych zimowych nocy na Wileńszczyźnie. Deszcz ustał i przyszedł nowy mróz, który świerka jak świerszcz. W studzienkach ulicznych scedza się resztkę odwilży. Na

rondzie stoi nieruchomo wielopiętrowa choinka. Wiatr stłuki większość kolorowych żarówek. Ale za to błyska obficie i czerwono sztuczny ogień spięcia elektrycznego. Coś się stało w tej mętnej ligninie, którą opatulono nasz świat, świat rozpoczynający czteromiliardowe pierwsze okrążenie wokół gwiazdy zwanej słońcem.

Widzę swoje odbicie w konstelacji splekanych luster spółdzielni krawieckiej. Podstarzały mężczyzna w wymiętych spodniach i grubym baraním kożuchu. Mizerna istota z rozedną duszą. Istota rozumna z rakiem świadomości istnienia. A czy świadomość istnienia to rozum?

- Zaraz, jak to było z tą spowiedzią? Wypowiadałem się, czy tylko chciałem się wypowiadać i uczyniłem rachunek sumienia, plan sprawozdania rewizyjnego, dyspozycję do poetyckiej samokrytyki?

Między masywem alei i spiczastą górą Pałacu Kultury coś błyszczy jak światło lądującego samolotu.

- Ale nikt mnie nie rozgrzeszył, nikt nie zadał pokuty. Nie pamiętam, żeby w czerni konfesjonału cień człowieka wyszeptał te słowa z dawnych lat "ego te absolve", żeby ten cień bezgłośnie zapukał w ścianę konfesjonału, w dębowy mur pustelni, żeby ten cień wysunął nad drzwiczkami taśmę fioletowej stuy ze znakiem naszej wiary, ze znakiem, który można posłać w przestrzeń międzygwiazdną jako kod ludzkiego istnienia i ludzkiej męki.

To nie jest światło lądującego samolotu w spóźnionym rejsie. Ono tkwi nad aleją, choć zmienia położenie. Odeszło zygzakiem ku dachom secesyjnych kamienic i po chwili wraca na poprzednie miejsce, by znów uskoczyć w cień pałacu. To światło przypomina spłaszczoną jak moneta gwiazdę zwróconą ku mnie ostrą krawędzią, a z tej rozjaśnionej krawędzi wznosi się w górę strumyk czerwonego światła jak żagielek. I ten żagiel kosmiczny chwieje się w lewo, w prawo niczym płomyk choinkowej świeczki. Więc raptem zdaje mi się, że to ogień raketowego silnika, który napędza niezidentyfikowany obiekt latający.

Ostrożnie, bez popłochu, oglądam niebo. Jest wiele gwiazd. Skrzą się jak w dawnych wierszach. Dziś już tak nie zachowują się gwiazdy. Dlatego odczuwam jakiś dziwaczny niepokój w tej przestrzeni nad przyczajonym miastem. Nadciąga noc osobliwa. Ale ta noc osobli-

wa mogła zwabić niezidentyfikowany obiekt latający, w który nie wierzę, ale który unosi się nad aleją i patrzy na niezrozumiałe miasto pośrodku Europy.

Wracam do sieni, do swojej kompanii.

- Chodźcie, coś wam pokażę.
- Co chcesz pokazać - pyta Kojran.
- Warto zobaczyć, daję słowo.
- Może gwiazdę Betlejemską?
- Może gwiazdę, a może sondę kosmiczną.

Wychodzą ze mną na zamarzną ulicę. Gdzieś w trzewiach miastopojękuje syrena wozu milicyjnego. Stoję milcząco i czekam.

- Tak, to gwiazda zaranna, czyli jutrzienka, a mówiąc po prostu nasza sąsiadka Wenus - powiada trzeźwym głosem Kojran.

- Ale ostro świeci - dziwi się Grzesio z chusteczką przy nosie.

- Nigdy nie widziałem takiej gwiazdy.

- Patrzenie, skoczyła w lewo! - woła Gośka.

- O, a teraz poszła na dół.

- Wiecie co, zawałam anarchistę - decyduje student. - On zaliczył dwa lata stronomii.

Przyprowadza grubego cudzoziemca, który spuchł nie z dobrobytu, ale ze zmartwień.

- On mówi, że to Wenus - tłumaczy student. - O takiej porze roku Wenus pokazuje się w tej części nieba i szybko wędruje nisko nad północnym horyzontem w stronę wschodu.

Milczymy zawiedzeni. Po drugiej stronie ulicy, w mieszkaniach nad wymarłym salonem jubilerskim, ludzie śpiewają kolędy. Gdzieś zapaliła się firanka od choinki, sypie się szkło okienne, ktoś wzywa pomocy. Ale my patrzymy uparcie na tę szczelinę jaskrawego światła z purpurowym pióropuszem.

Terrorysta zwinął dłoń i przyłożył do oczu jak lornetkę. Coś szepcze do studenta.

- On mówi, że to jednak nie Wenus.

- Może sonda kosmiczna, amerykański balon? - pytam nieśmiało.

- Dlaczego akurat amerykański? - rzecze pani w za dużej pelisie.

- No a jaki?

- To w ogóle jest nic - odpowiada gniewnie. - Po co mi zwracacie głowę.

- On mówi - mruczy student.

- Co on mówi? - denerwuje się Kojran.

- Mówi, że nie wie. Zjawisko wygląda na niezidentyfikowany obiekt latający.

Obok mnie stoi Julia - wieśniaczka. Drży z chłodu albo emocji astronomicznej. Patrząc w to światło astralne odzywa się cicho:

- Pan na mnie obrażony?

- A pani na mnie obrażona?

- Wie pan co, zapraszam do mnie na wigilię.

- To znaczy dokąd?

- Na moją fermę, bo ja prowadzę fermę i tam mieszkam. Między Radością a Miłosną.

- Bardzo dobry adres.

- Weźmiemy choinkę ze schodów, mam jeszcze zapasowe świece, złapiemy ostatnią taksówkę i na wieś, w zacisze, w głąb przyrody, do sedna prawdy. Ja wszystko mam. Ładny dom, wygodne meble, spore pieniądze. Brakuje mi drobnostki. Drugiego człowieka.

- Na mnie czeka żona.

- Podzielimy się jakoś panem. Ja już nie mam nadmiernych wymagań.

Światło jarzeniowej lampy oblewa ją zielonkawą poświatą. Ta ładna jeszcze kobieta trzyma w zaciśniętych zębach resztkę życia. Jest zamożna w gorzką wiedzę i melancholijną rezygnację. Na ten ostatek dojrzałej urody połakomiły się nie jeden. Ale, widać, nikt się nie łakomi.

- To za daleko dla mnie, pani Julio. Za daleko do Radości i Miłosnej.

- Bo ja palnęłam wielkie głupstwo, z którego teraz żyję. Wyszłam za męża za miliardera amerykańskiego, słowo daję. Jako głupia polska dziewczyna trafiłam faceta dosłownie w wodzie, bo w morzu, na plaży. Nie stary był i nawet przystojny. Ja się topiłam, a on próbował ratować. Topiłam się naprawdę, bo nie umiem pływać, on był w zwykłych

kąpielówkach, to nawet nie wiedziałam, komu zawdzięczam życie. Pan wie, co to osiemset milionów dolarów? Tyle panu powiem, że on miał własną linię lotniczą. Jak lecieliśmy swoim odrzutowcem do Europy, to w lukach stały nasze dwa ulubione samochody. On był piątym albo szóstym podatnikiem Stanów Zjednoczonych.

- No i co?

- No i nic. Okazał się trochę kurwiarzem, a trochę szajbowatym. Niech mu ziemia będzie lekka. Oczywiście po długim życiu. Ale wyposażył mnie jak należy. Kupiłam sobie fermę i nie przewidziałam, że nikt nie przyjdzie do mnie do roboty za marne sześć tysięcy złotych.

- Proponuje pani, żebyśmy razem wozili cielęcinę do miasta?

- Będziemy razem siał, orać, karmić bydło. Będziemy razem podziwiać wschody i zachody słońca, bać się letnich burz i męczyć się bezsennością w długie mgliste noce jesienne. Możemy się też kochać.

- Nie bardzo mam po drodze. Ja szukam ucieczki w głąb ludzi, w ścisku, w tłumie. Dwadzieścia lat temu rozważyłbym troskliwie tę ofertę.

- Dwadzieścia lat temu pan by dla mnie nie istniał.

- Przeleciała się pani po życiu.

- O tak, z góry na dół, albo z dołu na górę. Wszystko jedno. Czy ja jestem brzydka?

- Nie. Jest pani ładna, pewnie i rozumna, umie być miła i będzie się pani męczyć sama do końca jak wiele ładnych, mądrych kobiet, które skoczyły głową do wody, zachłysnęły się, podtopiły i wyciągnięte na brzeg... i wyciągnięte na brzeg...

- Co na tym brzegu?

- No właśnie. Nic. Niebo i ziemia.

- Dlaczego nie spotykamy ludzi, którym poszło w życiu?

- Stale spotykamy. Lecz instynktownie przed nimi wijemy, gdzie pieprz rośnie.

- To znaczy jest pozytywny bohater, socrealisto?

- Jest. Ale już nie dla nas.

- Pan Duszek by powiedział: Polka jak zechce, to rzuci miliardera.

- Szajbniętego od tych miliardów.

- Szajba odbija wszędzie.

Srodkiem ulicy toczy się polewaczka miejska, która pomyliła klimaty. A całe miasto brzmi śpiewaniem jak stadion piłkarski albo jak prawosławne niebo.

- No to co, panie K.?

- Mój garb trochę inny. Nie spasujemy.

- Że kilka książek panu nie wyszło? Mam forszę, najmiemy dublera, który za pana napisze dziesięć besesellerów.

- Nęch pani nie kusi.

- Wiem tyle o życiu, co cały wydział na uniwersytecie i do tego jeszcze zostało trochę tej naszej siły przebicia.

- Pani jest warta lepszego faceta.

- Przepraszam, ale niech pan pokaże, gdzie są ci lepsi? Polska zawsze była krajem fajnych kobiet i marnych mężczyzn.

- Wie pani, akurat teraz rozwidliłem się, rozdziwiłem, rozkrzyżowałem.

- Co to znaczy?

- Ja też przeleciałem po wierzchu życia. Przyszła pora, żeby płacić. Nie, nie płacić, bo czym mogę zapłacić? Ale trochę po czasie trzeba wybierać. Do ja się zgubiłem. Wie pani, przysnąłem sobie dekadenco na eschatologicznych poduchach. Klepski to był sen, dokuczliwy jak zмора, pełny banalnych widziadeł i pospolitych strachów, sen nie warty śnicia, albo śnięcia, jak pani woli. A tu mnie, w taką niewygodną porę, budzi życie, nasze chujowe i anielskie życie. Czy ja się pozbięram? Chciałbym, ale jak? Z kim? Dokąd? Bo jeszcze powiem pani w tajemnicy, że, jak się zdaje, umarłem w zeszłym roku na początku czerwca. A stało się to w pół do czwartej rano w pewnej knajpie. Kto wie, czy nie pod wpływem przykrości. To znaczy bezpośrednio wskutek nadużycia alkoholu. Więc popełniłem samobójstwo i pewnie nie żyję, choć mi życie wystawia teraz rachunek. Trzeba jednak nawrócić i zacząć od nowa, ale jak to zrobić, jeśli jestem martwy.

- Czy jest sens bić głową w mur?

- A jeżeli jest?

Podjeżdża oblodzona taksówka świergocząc oponami w świeżym lodzie. Staje tuż obok nas zarywszy przodem w wysokim śnieżnym kra-
wężniku.

- Jest gabłota. Bierzemy? - pyta Julia.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, otwierają się drzwi samochodu. Najpierw wysiada z trudem dziewczyna w szlafroku, na który narzuciła zimowy płaszcz, obuta w jakieś bambosze, ale ze świątecznym makijażem na twarzy. Za nią wydobywa się ze staroświeckiego wnętrza facet z beci-
kiem na rękach. Początkowo zdaje się nam, że opalił się w Zakopanem na murzyna, ale to jest właśnie Murzyn, młody energiczny Murzyn, ojciec niemowlęcia.

- Chłopcy, pomóżcie zabrać graty - powiada do nas i rusza bez obawy do sieni domu, w którym koczujemy.

Więc chwytam z Kojranem składany wózek dziecinniej, walizkę i kupę plastikowych torebek. Widać, że ten czarny dbał sumiennie o połoźnicę.

Idziemy za młodymi rodzicami w głąb bramy, potem przez podwó-
rze do tej ruiny, która przed wojną była solidną oficyną czcigodnej ka-
mienicy. Po drewnianych, cuchnących uryną schodach wspinamy się na pierwsze piętro, do pierwszych drzwi, choć w rzeczywistości jest to chy-
ba trzecie piętro, bo dwa poprzednie zamurowano naглуcho.

A tu dzika prowizorka. Jakby korytarz dawnego mieszkania z bal-
konem zarwanym, jakieś drzwi do dawnych salonów, które teraz stały
się pojedynczymi mieszkaniami. Murzyn staje przed wierzejami zdobny-
mi w plakat murzyńskiego śpiewaka. Przekłada becik z niemowlęciem
z ręki do ręki szukając kluczy po kieszeniach.

- Obalymy pół lyterka? - pyta z warszawskim knajackim akcen-
tem.

- Śpieszymy się na wigilię - powiadam.

On błyska dzikimi oczyma, lecz przemawia jak rodak.

- Wigilię macie u nas. Wiecie, co to podszyta ze śłyżkami?

- Mowa - rzekę. - Kto jak kto, ale ja wiem.

- Widzisz, Zocha, swój gość.

- Ja też wiem, co to podszyta ze śliżykami - odzywa się Kojran.

- Widzisz, Zocha, drugi swój gość. No to ładujcie, chłopcy.

Otwiera drzwi i widzimy duży pokój niczym seraj wschodni. Otmiany, puffy, dywany, paciorki. Jest i nowoczesność zaklęta w plastyki i nikle stereofonicznych adapterów oraz magnetofonów. Ten Murzyn to albo syn cesarza Bokassy albo handlarz walutowy z bazarów Pragi.

- Ledwo zdążyliśmy z kłyniki. No dobra, rzućcie graty w kąć.

- Gwiazda betlejemaska świeci. Może to dla waszego syna?

- To już nie dla niego. On urodził się przed tygodniem. Chłopcy, śmiało.

- Zdzisiek - powiada ostrzegawczo Zocha.

- No kochana, trzeba wypić po kielychu.

- Zdzisiek, panowie się śpieszą.

Murzyn traci werwę. Żeby pokryć zmieszanie, zaczyna przewijać dziecko. Niemowlę podnosi krzyk. My na palcach, kontrolowani lodowatym wzrokiem anemicznej Zochy, wycofujemy się do korytarza.

- On będzie dobry - szepcze Kojran. - Już poznał, co to ręka naszych dziewczyn.

Ledwo dostrzegaliśmy wiaterek goni po korytarzu pył śnieżny.

W tych drzwiach balkonowych nie ma szyb. Ktoś je kiedyś uchylił i tak zostały w geście zaprosin na balkon, z którego zostały tylko zardzewiałe szyny. W tej wojennej ruderze także słychać kolędy. Pokój ludziom dobrej woli.

- Widzisz, ile gwiazd? - pytam Kojrana.

- Ale się szczerzą. Dawno nie widziałem takiego nieba.

- Jak myślisz, ktoś nas podglądał z latającego talerza?

- Kto wie. Może jutro w gazetach napiszą.

- Najpewniej nie napiszą. Tylko my ich widzieliśmy. A oni nas.

Podchodzę do balkonu, otwieram te drzwi bez szyb. Pode mną dwa piętka pustki i na dole beton cienko przykryty szklanym lodem. Jakiś Wartburg obleczony w zaśnieżoną szmatę. Czarny kot przebiega zygzakiem szukając sobie wiadomych okienek piwnicznych. Dawniej czarne koty wróżyły nieszczęście. Dziś niczego nie wróżą. Kto inny zaczął wróżyć. Co innego przynosi nieszczęście.

- Strasznie dużo gwiazd - powiadam szeptem. - Gdzieś tam są nasi wszyscy, twoi i moi, a dużo już ich teraz, więcej niż na ziemi. Chyba w tej próżni zimno. Wieczny mróz. To trochę zniechęca. Nie lubię chłodu. I ciemności.

- Na pewno nie jest zimno. Mogę ci dać słowo. Temperatura nijaka. Niezauważalna. Nie przeziębisz się, to fakt.

Nad dachem frontowej kamienicy błysnęło jak w lecie. Pałak tramwaju, chyba ostatniego tramwaju, gibnął się na złączu trakcji i sychnął niebieskimi piorunami.

Robię krok do przodu, staję na śliskiej szynie, co jak czarny palec sterczy nad podwórzem. Odwracam się do Kojrana. Pod krótki kożuch wpełza kaśliwy chłód.

- Kojran, ja ci jestem coś winien?

- Co ty mi jesteś winien? Pieniądze, wódkę, dobre słowo?

- Jak to, nie pamiętasz? Jestem ci winien swoje życie. Miałeś już je подарowane. Chodziłeś za mną z tym prezentem.

- Daj spokój. Wszystko się obróciło dokoła. Może lepiej było nie przypominać. Czy ja wiem, kto za mną teraz chodzi.

- Nie Kojran, podobno nic nie ginie, ani umiera. Odciskamy się w czasie jak żuczki w żywicy. Chodź żuczku, podejdź dwa kroki i pchnij mnie lekko. Widzisz, ja ledwo stoję, wystarczy dmuch a stanie się sprawiedliwość.

- Po co? Przecież już raz dziś korkowałeś. Jutro, pojutrze też się może zdarzyć. Bóg wie lepiej, kiedy pora.

- To tylko nerwica. Nerwica serca. Narowy serca. Bunty serca. A ja chodzę bez rozgrzeszenia. Jeśli teraz pożałuję swoich uczynków, jeśli dokonam błyskawicznego aktu skruchy, tak szybkiego jak nagłe wspomnienie przykrości doznanej od ciebie, od przyjaciół czy od losu, jeśli spiesznie się rozliczę z pięćdziesięcioletnią chwilą życia, a ty mnie popchniesz wykonując sprawiedliwy wyrok, który noszę na karku, to lecąc w dół, już na wysokości parteru będę zbawiony. Popatrz Kojran, rzadko się zdarza, żeby spełnić okrutną powinność i uszczęśliwić drugiego człowieka.

Kojran czyni krok do przodu, ale staje jeszcze przed drzwiami. Chwyta się rękami futryny drzwi, jakby tymi spróchniałymi deskami chciał się ode mnie odgradzić.

- Nie braciszku, ja cię teraz nie popchnę. Kiedyś to co innego, a teraz co innego. Jak chcesz, sam skocz. Wystarczy tylko podnieść stopę, zawiesić w powietrzu. I przysłonić oczy powiekami.

- To po co chodziłeś tyle tygodni za mną i wpadłeś przeze mnie do więzienia?

Kojran szuka papierosa. Potem go zapala. W naglej czerwieni żaru papierosowego wygląda młodo, jak kiedyś pewnie wyglądał, gdy był Jankiem Muzykantem albo lordem Byronem.

- Wiesz co, Tadźka. Tak naprawdę, to ja za tobą nie wędrowałem z wyrokiem. Ty sam na siebie wydałeś wyrok. W każdym twoim kawałku ktoś kogoś boi się i przed kimś ucieka. Jako czytelnik uważny posłużyłem się twoim motywem, żeby namotać intrygę w ogonku. Ty zadekretowałeś wyrok i ty go wykonaj.

- Tadźka, przecież ty uciekasz. Jutro wsiądziesz do samolotu i przeniesiesz się na tamten świat, który nie jest tamtym światem.

- Ja uciekam?

- No tak, po prostu nawiewasz, jak całe życie nawiewałeś. Co-raz dalej od epicentrum. A może od nie wykonania tego zapomnianego wyroku zawisa cała konstrukcja? Może ona stoi jedną nogą na tym ziarenku?

Kojran zaciąga się papierosem. Błyska w jego ustach nieznaną srebrny ząb, ząb polpolicności.

- Nie skusisz mnie, Tadzia - czuję w jego słowach uśmiech.

- Ale jestem jedynym świadkiem twojej ucieczki. Lepiej pozbyć się świadka.

- Może ucieknę, a może nie. Chcesz, razem to rzucimy w tę studnię niepamięci.

I pokazuje mi przez otwór po szybie swoją torebkę zwaną pedera-
rastką.

- Potem zbiegniesz i odszukasz. To jak, ułaskawisz mnie?

- Uch, fałszywy jesteś, kręcisz, kręcisz i nic się nie wykręca.

A można prościej, po ludzku.

- W jaki sposób po ludzku?

- Sam musisz odnaleźć sposób.

- No dobrze. Już strasznie późno. Co ja powiem w domu?

Wchodzę na korytarz. Dziecko płacze za murem. Pewnie ten nowo narodzony mulat. Zstępujemy po schodach trzymając się ścian chydnych jak ściana latryny. Oto i podwórze, nad którym zawisła ta stara ruderą niczym czarne wieko. Ktoś nadchodzi wolno od bramy. Wielki, zwalisty mężczyzna w mokrej kurtce. To pan Duszek.

- Polak jak widzi balkon, to chce skoczyć - rzecze ochrypiłym basem.

- Zwijamy majdan - mówi Kojran. - Co za cholera skusiła, żeby zmarnować cały dzień. Gdzie mój samowar?

- Stoi na schodach, jak stał.

- A oni?

- Czekają.

- Na co czekają?

- Na was. Chcą życzyć wesółych świąt.

Wchodzimy do bramy, w której uciął wiatr. Oni stoją na podeście schodów jak złodowaciałe chochoły.

- Może papieroska? - anarchista otwiera blaszane pudełko.

- Idź do diabła. Pani Julio, znajdzie się strzemienny?

Nasza wieśniaczka sięga do tobołka.

- Może najpierw opłatek?

Zaczynamy łamać się białym symbolem chleba, który trzaska nieprzyzwoicie głośno.

- Szczęśliwej drogi, Tadźka, jeśli nazywasz się Tadźka.

- A ty, Tadźka, wiesz, żeby krzepić serca, kapewu?

Student znowu tłumaczy oświadczenie anarchisty, który wpycha między rude wąsy całą połowę opłatka.

- On mówi, że będzie tu razem z nami czekać.

- Tu, w tej sieni?

- Nie, w ogóle.

- A na co chce czekać?

- Na to, na co czekają wszyscy ludzie.

Grzesio rozbija zgrabiałe ręce. Pod jego nosem zaschnął czarny gil skrzepu.

- Wytrwały donosowa - rzecze pobłaźliwie pan Duszek. - Chyba się z nim przełamie opłatkiem. Chodźno tutaj, smródółko.

- A pani co tu jeszcze robi? - pytam tę w za dużym przyodziewku.

- Jestem wdową. Nie ma do kogo wracać.

- To podzielmy się opłatkiem, jeśli pani nie ubliża religijny zabobon.

- Ach, raz do roku można. W taki wieczór. Pan mnie nie lubi, bo ja jestem obiektywna.

- Dziś nie będziemy wypominać. Od jutra zaczniemy.

- Co od jutra zaczniemy? - pyta budowlany objęty ciasno z Goską.

- Coś trzeba zacząć.

Gwiazdy nad nami wychodzą z orbit. Mróz ściska miasto, które sennym murmurandum nuci ciągle jeszcze kołędy. Pokój ludziom dobrej woli.

Zbliża się student. Bierze mnie za ramię i odciąga w bok. Patrzy mi w oczy natężonym wzrokiem.

- Zbieramy pieniądze. Zrobi pan zrzutkę?

- Na co?

- Na ludzi.

- Na jakich ludzi?

On przysuwa usta do mojego ucha. Czuję na policzku mizerne ciepło jego oddechu.

- Na tych, co walczą o wolność.

Chwyta mnie nagły dreszcz. Mam plecy całe mokre. Przeziębilem się na święta. Straszna magia tych gazetowych słów. Pod gwiazdzistym niebem rezonują przejmująco do szpiku kości, nie, do ostatniego włókna serca.

- Za waszą i naszą - powtarzam zdrętwiałymi ustami.

On nic nie mówi. Stoi i czeka. Jak wyrzut sumienia.

- Mam tu forsę. Na obrączki - szepczę grzebiąc w zanadrzu.

- Po co komu obrączki? To symbol kajdanów.

Odnajduję kieszeń, ale kieszeń jest pusta. Wywracam ją na wszystkie strony.

- Nie ma pieniędzy. Zgubiłem, albo ktoś rąbnął. Nie ma nawet na bramę. Na bramę do więzienia codzienności.

- To przepraszam.

- Czekaj, mam tu bibelot z domu rodzinnego - wyciągam tę malachitową pieczętkę i chcę mu podać, lecz on cofa rękę przed ułomkiem obcej skały. Myśli, że sztych z niego, że kpię z jego misji. - Weź, to także pieniądz. Można dobrze sprzedać w antykwarjacie uczęszczanym przez sentymentalnych cudzoziemców.

Tak mogło być: Traugutt bez pośpiechu zstępował z ażurowych schodków wagonu. Nie rozglądając się, wprawnym okiem konspiratora zdołał spostrzec, że peron jest prawie pusty. Koło parowozu stał naczelnik stacji i o coś pytał maszynistę. W drzwiach budynku dworcowego, obok mosiężnego dzwonu, kolebał się sennie wielki, brodaty portier. Wzdłuż pociągu szedł niespiesznie patrol żandarmerii: młody, elegancki oficer w błękitnym mundurze i dwóch podoficerów. Widzieli już Traugutta. I on ich widział, choć zajęty był porównywaniem swego starego repetiera z zegarem stacyjnym.

Postawił sakwojaż na żwirze peronu, rozejrzał się niedbale za bagażowym. Stało ich kilku za zielonym płotkiem, który oddzielał teren dworcowy od ulicy obsadzonej młodymi lipami. Ale żaden z nich nie kwapił się z pomocą samotnemu podróżnemu. Oni też czekali.

Traugutt schował troskliwie zegarek w kieszonce kamizelki. Wtedy patrol zatrzymał się o dwa kroki przed nim. Oficer salutował grzecznie, feldfeble przytrzymywali czerwonymi od chłodu rękami wielkie szable w skórzanych pochwach.

- Czy mogę prosić pański paszport? - spytał oficer.

- Oczywiście, proszę bardzo - Traugutt podał wielką kartę papieru złożoną we czworo.

Żandarm czytał uważnie dokument zerkając z powściągliwą ciekawością na podróżnego. Portier dworcowy uderzył w dzwon i krzyknął coś po rosyjsku z nadwołżańskim akcentem.

- Pańska godność? - spytał oficer nie podnosząc wzroku znad papierów.

- Czarnecki.

- Tak. A imię?

- Michał.

- Kupiec? Pan tu za interesami?

- Tak, za interesem. Na jeden dzień.

- Domyślam się, że stanie pan w Hotelu Europejskim.

- Jeśli dostanę numer.

- Mam nadzieję, że pan dostanie. Życzę przyjemnego pobytu

- oficer zwrócił dokument ponownie salutując.

Wtedy dopiero nadbiegł bagażowy w wielkim zgrzebnym fartuchu. Był to z pewnością starowier, barczysty, zarośnięty chłop ponuro uśmiechnięty.

- Są tu u was dorożki? - spytał Traugutt po polsku.

- Skolko ugodno - odparł basem tragarz. - Dorożek to mamy pod dostatkiem, wasza wielmożność.

- Więc prowadź.

Ruszyli przed dworzec odprowadzani dyskretnym spojrzeniem oficera żandarmów. W złocistym powietrzu leciały splecione nitki babiego lata. Traugutt przystanął i popatrzył na to przymgłone niebo, którego nie widział od miesięcy.

W skok podjechała dorożka. Bagażowy postawił sakwojaz u stóp młodego jeszcze furmana. Traugutt przetarł śpiesznie końcem szalika potniejące okulary, wsiadł do chybotliwego pojazdu. Wtedy dorożkarz odwrócił się na krótką chwilę i przeciągle spojrział mu w oczy. Ale Traugutt nie odwzajemnił mu spojrzenia, choć od razu zauważył na jego plecach odwrótnie przyszyty numer porządkowy, co w niektórych guberniach było oznaką wtajemniczenia.

- Do Europejskiego - powiedział patrząc w głąb obłej ulicy wyłożonej czerwonym kamieniem polnym.

- Ja znam dobrze miasto - dorożkarz chlasnął lejcami spalone boki karego konia. - Jak by co było trzeba pomóc...

- Dziękuję. Ja tu na jeden dzień.

Dorożkarz odwrócił się znowu, tym razem czujnie uśmiechnięty.

- Może szanowny pan chciałby zapoznać bardzo eleganckie damy? Ja znam adresy. Tu można się zabawić. Z Łodzi, nawet z samej Warszawy przyjeżdżają kupcy i oficerowie.

Traugutt unikał jego spojrzenia. Przymrużył oczy za okularami, bo lodowaty wiatr nadleciał z głębi ulicy pędząc przed sobą obłok krwawych liści.

- Nie mam czasu, przyjacielu. Może innym razem.

Dorożkarz zrezygnował. Zajął się leniwym koniem, który podniósł ogon i zaczął sypać zielonobrazowymi jabłkami. Miasto warowało przyczajone w tych resztkach jesiennego słońca nad zachodem. Przechodnie szli śpiesznie nie pozdrawiając się nawzajem, strójkowi zabijali zgrabięte ręce na rogach ulic, tylko w oknach można było dostrzec ukryte za firankami twarze ludzi, którzy czekali, od wielu miesięcy czekali z nadzieją i rozpaczą.

Raptem zrobił się ruch na ulicy. Środkiem leciał konny oficer z obnażoną szablą.

- Udiraj! Udiraj! - krzyczał przeraźliwym głosem.

Dorożkarz zjechał błyskawicznie do rynsztoka i zatrzymał konia. Obok przemknęła hałaśliwie zbrojna kawalkada: półsotnia kozaków otaczająca otwarty powóz, w którym na czarnym, pikowanym siedzeniu leżał wyorderowany generał, a obok niego tkwił wyprostowany służbiście młody oficer, zapewne adiutant.

- Gubernator - poinformował dorożkarz. Potem dodał ostrożnie:
- Srodi człowiek.

- Tak, widzę - rzekł obojętnie Traugutt.

Znowu ucichło. Z bram wynurzyli się ludzie, którzy tam znaleźli schronienie. Gdzieś w podwórzu odezwał się domokrażca zachwalający jękliwie swoje towary. Północny wiatr duł coraz silniej. Traugutt zdecydował się postawić kołnierza palta wyłożony granatowym aksamitem.

Dorożka znowu stanęła. Furman pokazał biczyskiem zamglony skwer nad rzeką, gdzie jaśniały w ostatku światła dziennego trzy wysokie, złamane słupy.

- Gubernator srogi człowiek - powtórzył.

Dopiero teraz Traugutt dostrzegł trzy ciemne toboły obracane przez wiatr pod tymi słupami. To były szubienice. Trzy szubienice jak trzy krzyże.

- No to dojechaliśmy - rzekł dorożkarz.

Traugutt ocknął się z nagłej zapaści.

- Ile bierzesz?

- Co łaska, szanowny panie.

Wchodząc do recepcji zobaczył jeszcze, że dorożkarz nie odjeżdża - że patrzy za nim, jakby na coś czekając. Później zbliżył się do pojazdu człowiek w kaszkiecie, rozmawiali chwilę o czymś, wreszcie ten w kaszkiecie wskoczył na stopień dorożki, która ruszyła klusem z powrotem na dworzec.

- Szpieg, czy bojownik? - spytał Traugutt sam siebie.

W hotelowym westybulu kręcili się oficerowie w połowych mundurach. Jedni wbiegali po schodach do numerów, albo zbiegali gotowi do wyjścia, inni przysiadali w skórzanych wytartych fotelach jakby na dobrą wróżbę przed daleką podróżą. Niewysoki, łysy jegomość z bródką spojrział pytająco na Traugutta.

- Potrzebuję ładnego pokoju na jedną noc.

Łysy brodacz uśmiechnął się wyrozumiale.

- Panowie oficerowie rozebrali najlepsze numery. Też na jedną noc.

Traugutt zaszeleścił papierowym rubelkiem mieniącym się jak tęczą.

- Nie zrobisz mi, kochasiu, zawodu. Jestem tu już umówiony, sam rozumiesz, że to delikatna sprawa.

- Ja wszystko rozumiem - rzekł recepcjonista chowając rubelka w rękawie. - Może znajdę coś odpowiedniego dla pana dziedzica. Poproszę tylko o paszport, bo paszport to najważniejsza rzecz w dzisiejszych czasach - i mrugnął dwuznacznie ale zarazem wesoło do klienta.

Poszperał w księdze unosząc wysoko krzaczaste brwi z jakimś zdziwieniem, znowu się uśmiechnął jeszcze dwuznaczniej, strzepnął palcami gorliwie i podał wreszcie klucz obciążony dębową gruszką.

- Zameldować damę, czy od razu wpuścić - spytał przyciszonym głosem.

- Puszczaj od razu, bo szkoda czasu.

- Ototo - zarechotał brodac. - Dziś takie czasy, że każdej chwili szkoda. Wincenty, weź багаż pana dziedzica.

Siwy posługacz w milczeniu przyjrzał się niechętnym wzrokiem Trauguttowi, wziął sakwojaż i bez słowa ruszył schodami na piętro.

Milcząc otworzył drzwi numeru, milcząc wziął napiwek i milcząc chciał odejść. Ale Traugutt skinieniem dłoni zatrzymał go na progu.

- Dobry macie szampan?

Wincenty wzruszył ramionami.

- Dobry. Taki sam jak wszędzie.

- Coś ty taki niechętny?

- A skąd tu brać chęci? Człowiek sam powinien rozumieć.

- Co rozumieć, kochasiu?

- Co uchodzi, a co nie uchodzi.

Traugutt namyślał się przez chwilę z płaszczem w rękach. W rynnach za ścianą skowytnął raptem wiatr, nagie drzewo schyliło się i zająrzało do okna.

- No dobrze. Każ wstawić butelkę szampana na lód, jeśli macie lód.

- Mam, dlaczego nie - burknął Wincenty i wyszedł zamykając drzwi odrobinę za głośno.

Traugutt podszedł do wielkiego lustra stojącego w kącie. W mętej, szerniałej tafli zobaczył swoje odbicie: niewielkiego, chudego mężczyznę w drucianych okularach. Westchnął jakby z zawodem i przyglądał ciemne włosy przy odstających uszach. Wiatr szarpnął oknem, zabrzęczały cieniutko źle zakitowane szyby. W pokoju obok ktoś chodził wielkimi krokami po skrzypiącej podłodze.

Traugutt zbliżył się do okna, odsunął brudną, lepłą firankę i wzdrygnął się znowu jak wtedy w dorozce. Ponad słabowitym gołym drzewem zobaczył tę perspektywę skweru, smugę rzeki i białe haki szubienicy. Recepcjonista postarał się, dał dobry pokój od frontu.

Traugutt zasunął szczelnie firankę i wyjrzał na korytarz.

- Wincenty!

- Czego? - odezwał się zakatarzony głos z dołu.

- Dajcie światło.

W sąsiednim pokoju rozmawiało kilku mężczyzn. Traugutt słuchał chwilę ich stłumionej mowy, zanim poznał Rosjan. Mimowolnie podszedł do okna i jeszcze raz odsunął ostrożnie firankę. Ciemniało na ulicy. Drzewa biły histeryczne pokłony maltretowane przez huraganowy jesienny wiatr, czarne, rzadkie chmury leciały na południe jak olbrzymie drapieżne ptaki. Ale szubienice pochłonęła już ciemność. Skwer roztopiał się w mroku i widać było tylko zarysy rabatów z uschniętymi kwiatami przedwczesnej jesieni.

Skrzypnęły drzwi. Wincenty niósł dwa cynowe świeczniki, na których szamotały się niepewne płomyki. Postawił jeden na stole, a drugi na chwiejnej etażerce przyprószonej kurzem. Wyszedł jeszcze i zaraz wrócił niosąc mokre wiaderko, z którego sterczała szyjka zielonkawej butelki.

- Co macie na kolację? - spytał Traugutt.

- A co pan życzy? Mogą być kotlety cielęce.

- Niech będą.

Wincenty stał przy drzwiach wdychając przeciągle.

- Chcesz coś rzec?

- Nie. Nic.

Jeszcze raz westchnął i wyszedł z pokoju, a płomyki zaniepokoiły się szarpniętym niewidzialnym przeciągiem. Traugutt wyjął zegarek, spojrział na cyferblat, potem chciał kluczykiem nakręcić mechanizm, ale się okazało, że jest nakręcony do oporu. Więc schował zegarek i podszedł do sakwojaża. Otworzył go, wyjął flakon z wielkim korkiem szklarym, nalał do dłoni trochę przejrzystej zawartości, natarł szyję, skronie, ręce. Chciał podejść do lustra, lecz zrezygnował machnąwszy dłonią, a przy okazji powąchał tę silnie pachnącą rękę. Obok sąsiedzi zaczęli szczełkać zastawą. Tam też szykowała się kolacja.

Potem siadł na łóżku przykrytym wyliniałą kapą i czekał. Przemagał rozwlekłe sekundy i minuty. Za ścianą brzęknęły struny gitary. Jakaś mucha, co nie zdążyła umrzeć przy pierwszym przymrozku, marodziła pod sufitem ze szerniałymi stiukami gipsowymi. Traugutt wstawał, jakby chciał gdzieś śpiesznie pójść, ale znowu siadał na łóżku

zacierając kościste ręce. Czas marudził.

Wreszcie usłyszał ciche pukanie. Skoczył do drzwi, otworzył jednym ruchem gwałtownym. Stała w mroku, ale poznał od razu te zielonkawę błyszczące jak u kota oczy i zadarty nos.

Wciągnął ją do pokoju, zatrzasnął drzwi. Padli sobie w objęcia i tak objęci długo zbierali myśli.

- No co, Kościuszkówno? Jak życie, jak wszystko?

Wysunęła się z jego ramion, podniosła cienką woalkę. Uśmiechała się niepewnie, ze wstydem.

- To może siadajmy - rzekł Traugutt powstrzymując drżezenie rąk. - Na tym krześle będzie ci wygodniej. Albo na łóżku.

- Nie, tu będzie dobrze - siadła szybko na wyplatane krzesło, ręce ukryła w futrzanej mufce.

- Sam nie wiem, od czego zaczynać, Toni. Jak w domu, jak dzieci?

- W domu po dawnemu. Dzieci rosną. Martwimy się o ciebie.

Tak dawno nie było wiadomości.

- Teraz wszystko będzie dobrze.

- Jak dobrze? Dlaczego nie wracasz do domu?

- Wojna, Toni. Nie mogę wracać.

Patrzyli na siebie chchiwie, jakby pierwszy raz się widzieli.

Ona patrzyła na jego pierwsze siwe włosy i na okulary, w których płonęły dwie malutkie świeczki, na jego przejmującą pospolitość, on przyglądał się jej młodej twarzy zarumienionej od chłodu, jej noskowi zadartemu, tej relikwi dziedziczonej po stryjecznym dziadku i pełnym ustrom, które były jej osobistą własnością.

Otworzyły się drzwi, wszedł Wincenty niosąc kolację. Postawił jedzenie na stole, spojrział karcąco w stronę Toni i wyszedł zamykając drzwi odrobinę za głośno.

- Może wypijmy najpierw szampana? - spytał Traugutt.

- Jak chcesz - szepnęła.

Strzelił korek i zbiegiem okoliczności za ścianą wybuchnął śmiech wielu mężczyzn.

- Jesteś bezpieczny?

- Tak jak wszyscy - podniósł kieliszek. - Wiesz za co piję?

- Wiem.

Umaczali ze skrępowaniem usta dręczeni jakąś niestosownością tego hotelu, tych krzyków za ścianą i tego szampana. Gdzieś w mieście huknął oddalony strzał pochłonięty natychmiast przez nagły skowyt wiatru.

Traugutt wstał, podszedł do kobiety. Objął niezręcznie, poruszona woalka znów skryła jej twarz.

- No co, Toniu? no co?

- Żenuje mnie ten hotel.

- Mnie też. Ale co robić. Może zdejmiesz płaszcz?

Wstała posłusznie, oddała ciepły płaszczyk pachnący wrzosami. W jej dłoniach lysnęło coś głęboką czerwienią. Spozjręła jego wzrok.

- Daj rękę - rzekła.

Sypnęła garstką małych, ciepłych kasztanów.

- Z Ostrowia - dodała. - Dokąd jedziesz?

- Do Warszawy. Może jesteś głodna? Kotlety wystygną.

- Nie chce mi się jeść.

- Mnie też nie. Chodź, siądziemy na łóżku. Trzeba mówić szep-
tem.

Ulokowali się na wysokim posłaniu opierając plecy o wielkie poduchy cuchnące żelazkiem. Za ścianą ktoś brał na gitarze głębokie, melancholijne akordy.

- Po co jedziesz do Warszawy?

- Obejmuję kierownictwo Rządu Narodowego.

- Dlaczego właśnie ty?

- Dlatego właśnie ja? Może taka jest wola Opatrzności.

Płomyki świece kołysały się sennie w mroku jak nagrobkowe znicze. Hotel żył wieczornym, pijanym życiem. Ktoś przebiegał korytarzem, ktoś inny krzyczał z dołu, ktoś niecierpliwym łomotał drzwiami. Śród tych hałasów odzywał się czasem złowieszczy, pełen tragicznej determinacji głos wiatru złej jesieni.

- Mówią, że powstanie umiera - szepnęła.

- Sytuacja jest ciężka. Ale Polska przecież nie umrze.

- Czy był sens powstawać przeciw takiej sile?

- I ty to mówisz, Kościuszkówno?

- Właśnie ja to mówię.

- Nie wiem, czy był sens. Wiem, że był mus.

- Zdradzieccy wodzowie, głupi politycy, niechętnie sobie warstwy narodu, a wszędzie armia szpiegów. Czasem nachodzi mnie straszna myśl, że powstanie trwa jeszcze tylko dlatego, gdyż podtrzymują je prowokatorzy ochrony.

Traugutt milczał. Słyszeli własne oddechy i słyszeli gwar w numerze sąsiadów. Jeszcze raz odezwała się gitara. Przyspieszonym rytmem skwapliwego akompaniamentu wabiła głos człowieczy. Wreszcie pokazał się nieśmiały, gardłowy tenor:

- Praszczaj, niemytaja Rasija,
Strana rabow, strana gaspod,
I wy, mundiry gałubyje,
I ty, paskusznij im narod...

Traugutt poszukał małej, gorącej dłoni kobiety.

- Tak, istnieje moc podejrzeń, że do ruchu patriotycznego przyniknęło wielu agentów i prowokatorów. Być może zatarła się granica między czynem spontanicznym a sprowokowanym, między postępkiem szlachetnym a nikczemnym. Więc skryć się w bierną podejrzliwość, więc usprawiedliwić zgubną beczynność hasłami rozwagi?

- Naród musi przetrwać.

- Aktóż odróżni trwanie od agonii?

- Ja wiem, ja wiem, kochany. Ale serce krwawi, gdy widzę codziennie kibitki wywożące młodzież na Sybir, gdy patrzę na szubienice z zamordowanymi męczennikami.

- Nie ma chyba innej drogi, Toniu. Nie ma innej drogi, jeśli nie chcemy znikczemnieć, skarlec i umrzeć we wzgardzie innych ludów.

Za ścianą kilka głosów podjęło śmieiej drugą strofkę pieśni:

- Byt' mozet za chrebtom Kawkaza
Ukrojuś at twaich paszej.
At ich wsiewidziaszczewo głaza,
At ich wsiesłyszaszczych uszej.

Tonia słuchała ze zmarszczonym czołem pod wieńcem jasnych włosów. Zacisnęła drobne palce na dłoni męża.

- Oni śpiewają zabronione wiersze? - szepnęła.
- Im wszystko wolno. Dziś śpiewają, jutro będą wieszać.
- Nie jesteś zmęczony? Masz daleką podróż za sobą.
- Teraz nie mogę być zmęczonym. Straszna odpowiedzialność

spada na mój grzbiet.

- Czuję, że drżysz?
- To z chłodu. Zapomniałem kazać napalić w piecu.
- Nakryjemy się pierzyną. Ale zgaś przedtem świece.

Zdmuchnął oba płomyki i trzęsącymi się rękami zaczął zdejmować odzież przy wyplatanych krzeselku. Kątem oka widział cień Tonia, która mocowała się z suknią. Słyszał szklisty szelest halek. Z czerni wycinało się powoli trupie widmo okna.

Boso przebiegł po lodowatej ziemi do wysokiego łóżka. Tonia czekała odchyliwszy róg wilgotnej pierzyny. Nakryli się z głowami i własnym oddechem jęli ogrzewać kryjówkę.

- Pamiętasz mnie jeszcze, Toniu?
- A ty mnie pamiętasz?
- Stale pamiętam. Każdą noc. I każdy dzień.
- Zapomniałeś zdjąć okulary.
- Zapomniałem.

Wysunął się z gorącego gniazda i omackiem położył szkła na podłodze.

- Strasznie się najadłem wstydu wchodząc sama do hotelu.
- Ja też się wstydzę przyjmując w numerze młodą damę.

Położył nieśmiało rękę na jej piersi okrytej cienką koszulą. Słuchała z napięciem tego poufałego gestu. Suchymi wargami ucałował kędzierzawy kosmyk włosów koło gorącego ucha. Ale w tym momencie ktoś zastukał do drzwi.

- Nie zamknąłeś? - szepnęła z trwogą.
- Nie zamknąłem.

Wyskoczył z łóżka, narzucił płaszcz na ramiona i otworzył drzwi. W korytarzu stał Wincenty z latarką w ręce.

- Panie Czarnecki, przychodzę ostrzec. Na policji zatrzymali pański paszport - rzekł starzec cicho bez poprzedniej wrogości.

- Sprawdzają pilnie, ale mój dokument dobry, kupiecki. Jutro oddadzą.

- Jakby pan chciał wyjechać po kryjomu, to mogę pomóc.

- Dziękuję za dobrą wolę. Nie muszę uciekać. Nie potrzebuję uciekać.

- Jak pan uważa. Ale w razie czego, jestem na dole.

Starzec wpatrywał się pilnie w oczy Traugutta, chcąc widocznie odczytać prawdę. Z sąsiedniego pokoju ktoś wybiegł i zleciał na łeb na szyję po schodach.

- No to spokojnej nocy.

- Bóg zapłać - rzekł Traugutt przekręcając klucz w zamku.

Wrócił na łóżko, Tonia czekała wyprostowana, napięta, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

- Ocean poświęcenia ludzkiego. Miałoby to obrócić się w niewiecz... - szepnęła i sięgnęła do skroni, żeby zdjąć okulary, ale okulary leżały na ziemi odbijając słabo siwy prostokąt okna.

Wtedy ona zwróciła się w jego stronę, raptem przyłgnęła chowając twarz w załomie barku. Chciał ją objąć, lecz w tej ośnucie rozgrzanej kryjówki zadarła się koszula i poczuł nagle w dłońach młode pulsujące ciało. Ogarnęła go szybka i słodka panika, zaczął śpiesznie całować rozedrganymi wargami gorącą skórę, szorstkość napiętych sutek, wilgoć potu woniejącego zębami. Ona ścisnęła go wiotkimi ramionami za szyję, skryła powieką lśnienie oka i czekała wstrzymawszy oddech. A on w jakimś dziwnym, rozpaczliwym lękiem, co zdać się mógł brutalnością, wdzierał się w nią na oślep i wdzierając się już słyszał w sobie straszne dudnienie krwi i ledwo wdarł się w tę spazmatyczną, bolesną gorącość, gdy targnęło nim nagle wielkie ukojenie, jakiego dotychczas nigdy nie zaznał.

Znowu słychać było brzęczenie tej upartej muchy pod sufitem. Tonia leżała bez ruchu w daremnym oczekiwaniu. Patrzyła na sufit szeszeroko otwartymi oczami, w których szamotały się pomniejszone cienie drzew w wietrznej ulicy.

- Dawno nie miałem kobiety - szepnął wreszcie z rozpaczą.
 - Dawno nie miałeś mnie, generale - i uśmiechnęła się zwracając głowę w jego stronę.

Zaczął całować ją w gorące, wilgotne usta uwolniony zupełnie z pożądania, a ona to czuła, oddawała pocałunki z wyrozumiałą powściągliwością.

- Wybacz - chciał szepnąć, ale mu nie pozwoliła zakrywając usta dłonią.

- Cała noc przed nami.

- Tak, cała noc.

- A potem odjedziesz do Warszawy.

- Tak, Toniu, odjadę.

- Ale dlaczego ty, właśnie ty?

- To mój obowiązek - chciał dodać: męski, ale zrezygnował.

Za ścianą podniósł się dziki, zwierzęcy wrzask i ktoś runął w przesiady, aż odezwała się monotonnym drżeniem bambusowa etażerka.

- Czy wiesz, że jedziesz na pewną śmierć? - rzekła raptem Tonia.

- Pragnę uniknąć przedwczesnej śmierci jak każdy człowiek

- szepnął po namyśle.

- Jeśli wytrwasz na posterunku do końca, znajdziesz śmierć.

- Ktoś musi umierać...

- ... Żeby inni mogli żyć - dokończyła szydyczko Tonia.

- Kim ja jestem, Toniu? Anonimowym człowiekiem. Ani pięknym, ani szczególnie zdolnym, ani znaczącym dla ogółu. Jestem zwykłą częścią tego narodu. I samemu mnie siebie nie szkoda.

U sąsiadów strzeliło rozbijane szkło. Ktoś wył do niewidocznego księżycza.

- Nie dadzą usnąć.

- Toniu, jakim prawem miałbym strzec swego życia? Czyż ono nie takie samo jak wszystkie inne?

- A ja? A twoje dzieci?

- Nie wiem, czy dałem ci szczęście. Czy w ogóle coś ci dałem.

Mam samopoczucie oszusta.

Teraz ona go pocałowała. Widział przed sobą jej ściemniałą od

nocy twarz, jak twarz ruskiej madonny.

- Głupi jesteś, generale.

Za ścianą łamano meble. Ktoś walił głową w stół przy akompaniamencie chrapliwych śmiechów. Traugutt w milczeniu wstał z łóżka i zaczął nakładać płaszcz na bieliznę.

- Daj spokój. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi - odezwała się Tonia.

- Nie wytrzymamy do rana. Oni dopiero zaczynają.

Wyszedł na korytarz i zastukał do sąsiednich drzwi. Nikt nie otwierał, bo też i nikt nie słyszał tego pukania w pianym wrzasku. Nacisnął klamkę, drzwi ustąpiły pokazując wielki apartament wypełniony porożpinanymi oficerami wszelkich rodzajów broni. Spozrzegł też od razu ten błękitny, "gałuboj" mundur oficera żandarmerii, oficera, który legitymował go na dworcu. Nie od razu zauważyli przybysza. Milkli kolejno zwracając oczy na otwarte drzwi. Wreszcie uczyniło się cicho i tylko w kącie kapała monotonna rozlana woda.

- Przepraszam panów, ale moja żona czuje się niezdrowa. Chciałbym prosić o spokój, bo nie można zasnąć.

Od stołu podniósł się młody kapitan i Traugutt ze zgrozą poznał na nim saperski uniform z cyframi pułku, w którym sam nie tak dawno służył.

- To my pana przepraszamy, panie... - rzekł trzaskając obcasami kapitan.

- Czarnecki - skłonił się Traugutt.

- Mamy zaszczyt, panie Czarnecki, przeprosić małżonkę i pana za ten nieporządek, prawda - chwiał się mocno w swojej postawie zasadniczej. - Niech nas usprawiedliwi, prawda, okoliczność, że to nasz kawalerski, pożegnalny wieczór, prawda. Jutro ruszamy w pole, panie Czarnecki, i jutro, prawda, o tej godzinie połowa z nas może nie żyć, prawda.

- Rozumiem, wszakże...

- To ja rozumiem, panie Czarnecki, my oficerowie jewo wieliczestwa...

- Alosza, daj spokój - odezwał się żandarm patrząc w dno wysokiego kieliszka.

- Cśś, sza - kapitan chybnął w stronę gościa. - Życzymy dobrej nocy madam Czarneckiej, prawda.

Traugutt wrócił do swego pokoju. Zdejmując płaszcz powiedział niegłośno:

- Oni też boją się śmierci.

Wsunął się pod pierzynę ogrzaną ciałem Toni.

- Czy policja wyda ci jutro paszport?

- Myślisz, że los mnie utaskawi? że schwytają mnie jutro i żeś-
lą na Sybir miast powiesić za miesiąc albo za rok. Nie, oddadzą jutro paszport i pojedę do Warszawy objąć dyktaturę nieistniejącego państwa.

- Mówię tak jak jest. Jak wypadło żyć.

W sąsiednim numerze ucichło. Od czasu do czasu skrzypnęła tylko podłoga, albo ktoś odezwał się głośniejszym słowem. Wiatr gnał górą objając się o stare, nieszczęsne dachy.

- A u nas na Litwie pewnie już zima. Ty widzisz, jakie tu pogody. Popada deszcz, przeleci wiatr, ot i wszystko. Toniu, śpisz?

Ale spost rzęgi, że patrzy znowu w sufit nieruchomym wzrokiem. Przymgnął ją raptem do siebie.

- Tak cię kocham. Toniu. Tyle ci zawdzięczam.

- Co mi możesz zawdzięczać?

Więc wyszukał skraj koszuli, objął dłońmi młode biodra jak snop świeżego żyta, zaczął całować gorliwie pulsującą śpiesznie szyję, szyję wiotką, pachnącą zapomnianym domem, dalekim Ostrowiem, utraconą bezpieczeńścią. Zdało mu się, że wraca to samo co przedtem pożądanie, zagarnął ją pod siebie, a ona poddawała się ze wstydliwą biernością, ale pełna upokarzającego oczekiwania, z całej mocy jej pragnął, budził w sobie tę tkliwą siłę, zdusił piersi roztrzęsionymi palcami, aż syknęła boleśnie, i przygniół ją sobą i tak zamarł, bo owo płytkie pożądanie roztopiło się już w sennej ociężałości, w tępej rezygnacji. Leżał na niej i zbierał z rozpaczą rozpierzchnięte myśli. Za oknem słychać było soczyste klaskanie kopyt na kamiennym bruku. Patrol kozaków przeleciał z ciemności w ciemność.

- Zdrętwiała mi ręka - poskarżyła się Tonia.

Rozumiał, że pragnie spowszednić tę sytuację. Z wdzięcznością

pocałował ją jeszcze raz i upadł na wielką poduszkę obok.

- Zła pora na spotkanie - szepnęła. - Ale może wszystko minie i wrócisz na Litwę.

- Tونیu, chciałbym wrócić, ale mogę i nie wrócić.

Wtedy ona zastoniła się szczupłymi plecami. Leżała długo w tej pozycji i Traugutt pomyślał, że chyba usnęła. Ale kędzierzawy kosmyk nad gorącym uchem drżał ledwo dostrzegalnym spazmem jak szczygłe piórko.

- Kościuszkówno, ty płaczesz? - spytał ze ściśniętym sercem.

- A nic, nic - szepnęła chowając twarz w poduszkę. - Baby muszą czasem pobeczeć.

Na ulicy ktoś rozdarł się raptem wielkim krzykiem:

- Karau! Karau!

Odezwały się gwizdki policyjne, jacyś ludzie przebiegali tam i z powrotem wzdłuż budynku hotelowego. Tonia usiadła okrywając się rogiem pierzyny.

- Słyszysz?

- Tونیu, trwa jeszcze wojna.

- Tak, ścigają jakiegoś człowieka. Nieznanego.

- Nieznani ludzie wywalczali zawsze wolność. Dla pamięci, dla otuchy zachowywano nazwiska mianowanych bohaterów, ale kajdany rozgryzał własnymi zębami o każdej porze, w każdej złej czy dobrej chwili, w każdym momencie obrotu ziemi anonimowy człowiek.

- Patrz, dnieje - powiedziała cicho.

Okno rozjaśniało się z wolna i wiatr ucichał, jakby w oczekiwaniu na dzień, na jeszcze jeden krótki, jesienny dzień tego złowrogiego roku.

- Trzeba wstać i ruszyć naprzeciw śmierci - szepnęła do siebie Traugutt.

Ona chciała zapytać, co mąż mówi, ale w raptownym, pełnym zgrozy przecuciu zrezygnowała i zastygła z dłonią nieśmiało wyciągniętą ku twarzy, na której odcisnęły się ślady drucianych okularów: tak mogło być.

Idziemy chodnikiem pokrytym odłamkami szkła. To szkło chrzęści jak grudniowy lód. Słuchamy ciszy umarłego miasta. Nad pasieką ruin

wielki niezwykle czytelny księżyc. Widać na nim góry i doliny, rumowiska skał i kaniony nieistniejących rzek. Widać też ścieżki wydeptane przez astronautów i zamrożone na wieczność ich ekskrementy.

Dźwigam na plecach ciężki tobół w zgrzebnej płachcie. Obok mnie truchta Julia, i teraz jest ona znowu starą babą, której zabito synów. Za nami wlecze się reszta uchodźców. Kojran niesie zdobyczny samowar. Znalazł go w rozbitym mieszkaniu kolekcjonera, ale na brzegu cuchnącej trupami rzeki. Idzie pan Duszek chuchając w zgrabiałe dłonie. Przed nim już tylko kąsek życia. Nie będzie musiał wybierać. Gosia i budowlany trzymają się za ręce. Pogubili swoje rodziny. Zaczynają od nowa. Od suteryny w spalonym domu. Pani w za dużej pelisie nie zginie, bo pod tą pelisą jest woreczek z biżuterią. Student kaszle: to mróz jątrzy postrzelone płuco. Student wiedzie ślepego anarchistę, któremu w obozie wydłubano oczy. Na końcu jak widmo majaczy Grzesio ze sznurem na szyi. Są wszyscy.

- A nie mówiłam? - jęczy pani w za dużej pelisie. - Ja zawsze przestrzegałam.

- Zaczniemy od nowa - powiadam.

- My umiemy rozpoczynać - dodaje Kojran. - Pan Bóg nas tego nauczył.

- A co z naszymi grzechami? - dogania idących Duszek. - Co z tą czarną chmurą grzechów, panie K.?

- Spalił ją piorun. Szczeła w ogniu. Został tylko popiół. Popiół jak zmierzch wiosenny. Posypimy sobie nim głowy.

Oto salon jubilerski. Czarne osmalone jamy wystaw. Ślepy neon. Pod murem błyszczą rozsypane uralskie samocwiety. Jak żużel uranowe rudy.

- A od czego ja mam zacząć? - pyta płaczący Grzesio.

W poprzek ulicy leży wagon tramwajowy. W kawałku szyby nieczym w lustrze zmieścił się cały księżyc. Martwy portret martwego satelity.

- A ja? - powtarza Grzesio.

- Zaczniemy od przebaczenia - rzecze Kojran. - Ja przebaczam tobie, za którym chodziłem z wyrokiem śmierci kilka najlepszych

lat młodości.

Przetrażony pień hotelu, co niegdyś sięgał chmur. Wychłostany świeżymi kulami kawał muru straceń i roztrzaskana lampa z wiecznym ogniem przed murem - pomnikiem. Ale czyjaś ręka już wzniciła płomyk na choinkowej świeczce. Ta czerwona, ledwo żywa kropla ogrzewa zmartwychwstającą pamięć.

- Słyszysz? - powtarza Kojran. - Przebaczam i proszę o przebaczenie.

- Słyszę - odpowiadam. - I ja was proszę wszystkich o przebaczenie.

- Dokąd teraz pójdziemy? - pyta ta w pelisie.

- Do swego życia.

- Od początku.

- Jeszcze raz.

Do nieba wspina się zagasła pochodnia Pałacu Kultury. Spękany jak wypalony pień starego dębu. Wstrząśnięty wielu wybuchami, co miały go skruszyć. Biała sadza pruszy jeszcze w powietrzu. A wyżej podziurawiona blacha nieboskłonu i drobiny tajemniczego światła, które ani świeci, ani grzeje.

- Zasiejemy inną trawę.

- Posadzimy inne drzewa.

- Wybudujemy inne takie same miasto.

- Wesółych świąt, Robinsonowie.

- Wesółych świąt, wolni Robinsonowie.

- Wesółych świąt wolności.

- Wesółych świąt innej takiej samej wolności.

Odchodzą na wszystkie strony świata z tego skrzyżowania szerokich ulic, które było i jest pępkiem świata, naszego świata. Znikają w czarnych piekielnych cieniach śmierci, co będzie początkiem nowego życia.

- No i jak? - pyta Julia. - Nie ciężko panu z moim tobołem?

Poprawia makijaż w świetle tego wynaturzonego księżycy zerkając do lusterka puderniczki. To twarda tutejsza dziewczyna pod czterdziestkę z obliczem madonny i charakterem furmana. Choinka na rondzie wyprostowała się, odpoczywa świecąc rzadkimi ocalałymi żarówkami. Z pogodnego nieba lecą wolno pojedyncze kosmate płatki śniegu lub szadzi.

- Proszę spojrzeć. Miasto wygląda jak nieżywe.
- To dlatego, że cicho - szepcze Julia. - I światło straszne.

Fatalna noc dla lunatyków.

- Dla pani i dla mnie.
- Dla wszystkich.
- Już nie ma tej gwiazdy albo niezidentyfikowanego obiektu lata-

jącego.

- Tak, odlecieli.
- W jakim mgnieniu czasu nas zobaczyli?
- I czy w ogóle dostrzegli. A jeśli dostrzegli, to czy zrozumieli?
- Ale zawsze raźniej, że ktoś nas widział stamtąd.

Na Pałacu Kultury błyszczą czerwone latarnie pozycyjne. W kilku oknach jasno. Pewno strażnicy drzemią nad kubeczkiem zimnej herbaty, lub odmawiają pacierz. Pusty tramwaj toczy się z turkotem hłopskiego wozu z południa na północ.

- Chodźmy pod hotel - mówi Julia. - Tam łatwiej złapać taksówkę.

Przekraczamy jezdnię ślizgając się po lodzie, który trzaska pod naszymi stopami jak szkło okienne. W niebotycznym hotelu także bezruch. Na dachu zapala się i gaśnie w monotonnym rytmie zielony neon.

- No to co, pojedzie pan ze mną do Radości? - pyta Julia.
- Przecież pani wie, że nigdzie nie pojedę, bo dla mnie nie warto

już nigdzie jechać.

- Szybko pan spasował. To co panu zostało?

- Czysta kartka papieru i bezsenność.

- Szkoda.

- Pani Julio, ja się zmęczyłem udawaniem. Udawaniem mężczyzny, literata, kochanka. Fingowaniem uczuć, zamiłowań, namiętności. Bóg mnie stworzył mniej albo bardziej na swoje podobieństwo. Jestem w zмовie z takimi jak ja. Oni na mnie czekają, bo mnie potrzebują.

- Ale pana przecież nęka ta jedna obsesja, o której pan ciągle myśli.

- Tak, nęka i sam się sobie dziwię. Ona mnie trzyma przykutego do ziemi. Chcę się zerwać do lotu w przestworza, które pragnąłbym uznać za swoją ojczyznę i nie mogę, bo jestem, kurwa, przykuty.

- Nie, to nie. Tam coś jedzie.
- To chyba pogotowie ratunkowe.
- W sam raz dla mnie.

Julia schodzi na jezdnię i zagradza drogę karetce pędzącej w poślizgach ku mostom. Wóz zatrzymuje się, gasi syrenę. Wychyla się szofer o aparycji starego szlagona.

- Co jest, kiciuniu?
- Podrzuci pan do Radości?
- Cholera, nie pasuje.
- Będzie dobry bakczysz.
- No tak, ale ja się śpieszę.
- Widzę i potrafię docenić.

Kierowca waha się, spogląda na kogoś skrytego w cieniu szoferki.

- Nie można zostawić dziewczyny na mrozie - powiada z westchnieniem. - Nałożymy trochę drogi. Siadaj pani, ale z tyłu, tam będzie wygodniej.

Otwieram tylnie drzwi karetki i kładę toból obok noszy, na których leży związana jak wariat dorodna choinka. Pomagam wsiąść Julii.

- No to do zobaczenia w jakiejś kolejce, bo kolejek będzie coraz więcej na świecie - powiada wieśniaczka z Radości.

- Żegnaj Julio i wesołych świąt.
- Ech, kurwa, może by nam było dobrze razem?
- Jest dobrze, kurwa, a może będzie lepiej.
- Wesołych świąt, panie Konwicki.

Zabuksowały opony na lodzie seledynowym od neonu, karetka rusza gwałtownie i mknie w stronę Pragi wyjąc wilczym głosem. A tu w kręgu ronda potop martwego światła księżycowego i przepastne cienie jak pogorzelniska. Wchodzę na to rondo sam nie wiem po co. Chociaż właściwie domyślałam się, dlaczego wstępuję na to niskie wzniesienie, od którego mierzymy naszą odległość od reszty świata.

- Basiu! - krzyczę ni z tego ni z owego, zaskoczony swoim krzykiem.

Ale miasto nie oddaje echa. Miasto pożera wszelkie echa.

- Iwona!

Straszna, wiejska cisza. Śnieg, lód, gwiazdy.

- Basiu!

Jakieś nowe światło uderza mnie w oczy. To niewidoczna ciężarówka zapaliła reflektory. Spod brezentowej budy wychyla się milicjant.

- Zamknij dziób, bo zejdę do ciebie!

Nie chcę fatygować milicjanta, więc oddalam się na ukos przez jezdnię w cieniu urwiska domów towarowych. A przecież miałem jakąś idiotyczną nadzieję, że z którejś kamienicy wybiegnie dziewczyna okryta w pośpiechu płaszczem, albo ciepłym szlafrokiem, co pachnie lawendą, rumiankiem, a najlepiej maciejką. Dlaczego miewam jeszcze takie nadzieje i będę je żywił aż do nieznanego końca? Infantylnizm to nasza ciężka opoka. Jesteśmy jeszcze młodym gatunkiem.

Po drugiej stronie wre gorączkowy ruch skryty w gęstym mroku. W kokonie ciemności uwija się spora gromada ludzi wznosząc jakąś ażurową budowlę z rur. A pod tą budowlą leżą gotowe do zawieszenia gigantyczne białe romby z rozczłonkowanym napisem: "dni Moskwy w Warszawie". Więc i Moskwa wybiera się do nas w gości?

Spieszę do tych ludzi napotkanych na śnieżnej pustyni. Zaczynają spawać swoje rury i jakby dla rozgrzewki, dla treningu, sypią iskrami na wszystkie strony, regulują aparaty przypominające miotacze ognia. Wybieram najstarszego, takiego, co zna życie. Łypie na mnie okiem i podkręca palnik. Wielka struga czerwono niebieskiego ognia kryje lód jak masło. A ja przecież jestem cieplejszy od lodu.

Podchodzę, uchylam czapki-spuszczanki, którą donoszą po szwagrze.

- Najmocniej pana przepraszam.

Majster zezuje nieufnie.

- Czego?

- Czy mógłby pan łaskawie pierdolnąć we mnie z tego kulomiotu?

- O co chodzi? Nie rozumiem.

- Chodzi o to, żeby pan siknął tym świętecznym płomykiem i utlecił mnie na zawsze.

- A idźże ty bydłaku. Napił się pod opłatek i szczęścia szuka.

- Nie, to nie. Obejdzie się. Wesółych świąt.

- Paszół, łachadojda.

On ma rację. Słuszność niezniszczalnego instynktu. Trzeba żyć.

- Jest sens w bezsensie.

Wzdłuż domów towarowych idzie tyraliera podochoconych turystów. Wracają do hotelu ze świątecznej kolacji. Ujęli się pod ręce i falują na boki jak przy tyrolskim walcu. "Heilige Nacht, stille Nacht".

- Oni też mają apetyt na nas. Czekają w kolejce.

Zatrzymali się przed wystawą wypełnioną tłumem martwych plastikowych dziewcząt i chłopców znieruchomiłych w nagrobnych pozach aniołów. Ktoś zaczyna jodłować. Ruszają w niedaleką drogę do gościnnego hotelu, który wybudowano na miejscu straceń.

- Zaraz, dokąd ja wracam? Czy do Kolonii Wileńskiej, czy do domu, w którym umrę, czy może do tej doliny, co wymyśliłem jako suwerenny i niepodległy azyl w codzienności?

Chwytają mnie dreszcze. Czuję znowu pot na grzbiecie. Strasznie dużo gwiazd. Obojętnych, nikomu nie potrzebnych. Strasznie dużo nieba przyzwyczajonego do naszego widoku. Strasznie dużo Boga. Wielkiego Sędziego, który czeka na sąd.

Wtedy powiedziałam:

- Polak jak wpadnie w szal, to biada ślepej, gnuśnej, sprzedawanej Europie.

A przede mną rozległy masyw przyczajonego miasta. Milczącej warowni, Pieczar ze śpiącymi rycerzami. W górze luna czerwona jak oddech miasta. Ta czerwień wiruje po niewidzialnej spirali i układa się w nieczytelne zjawy podobne odbiciu toni oceanu spokojnego, spokojnego oceanu czasu. I ja nie wiem, czy to kształt olbrzymiej gwiazdy, czy obraz płaczącej kobiety, czy otwarta czeluść piekła.

Nakładem Niezależnej Oficyny
Wydawniczej ukazały się:

Władysław Bienkowski

SOCJALIZM PO 60 LATACH

Kazimierz Brandys

NIERZECZYWISTOŚĆ

Władysław Gnomacki

TOW. SZMACIAK czyli
WSZYSTKO DOBRE CO
SIĘ DOBRZE KONCZY

Zdzisław Jaskuła

DWA POEMATY

Andrzej Kijowski

NIEDRUKOWANE

Adam Michnik

CIENIE ZAPOMNIANYCH PRZODKÓW

Maria Ossowska

O PEWNYCH PRZEMIANACH ETYKI
WALKI

Marek Tarniewski

POCHODZENIE SYSTEMU
DZIAŁANIE I PRZYSZŁOŚĆ

KSIEGA ZAPISÓW GŁÓWNEGO
URZĘDU KONTROLI PRASY,
PUBLIKACJI I WIDOWISK

Nakładem Niezależnej Oficyny
Wydawniczej ukazują się kwarta-
lniki literackie:
ZAPIS I PULS.

D L A C Z E G O " Z A P I S "

/ Z artykułu wstępnego Stanisława Barańczaka w
"ZAPISIE nr 1"/

"ZAPIS" nie jest fanaberią kilkunastu literatów, którzy równie dobrze mogliby publikować swoje utwory w sposób "normalny". Publikujemy "ZAPIS" tylko dlatego, że oficjalne możliwości druku zawartych w nim materiałów zostały nam odjęte.

Czym wobec tego jest "ZAPIS"? Sens tego tytułu jest świadomie niejednoznaczny. Znaczenie nasuwa się już w związku z "samizdatowym" charakterem publikacji. Jest to po prostu prezentacja utworów, na których ciąży z a p i s, jak popularnie określa się zakaz druku. /.../ Znaczenie drugie wiąże się z faktem, że mimo wszelkich różnic gatunków, światopoglądów i poetyk zebrane tu utwory wzięły się ze wspólnego źródła: z przekonania, że nie tylko prawem, ale i obowiązkiem jest z a p i s y w a n i e, utrwalanie w słowie wszystkiego, co ma dla niego wartość prawdy - prawdy zarówno w sensie poznawczym, jak psychologicznym czy artystycznym. Tej prawdy - być może błędnej, mylnej, źle rozpoznanej - nie wolno ukrywać, tłumić w sobie, poddawać autocenzurze, zmiękczać, przesłaniać aluzjami, godzić się na okrojenia i okaleczenia. /.../ Po trzecie wreszcie, "ZAPIS" chce być - pośrednio - również zapisem sytuacji. Mam nadzieję, że już na podstawie tej pierwszej, wrywkowej i niezupełnej, prezentacji "zakazanych" tekstów czytelnik zorientuje się choćby pobieżnie w charakterze ograniczeń w jakich zmuszona jest rozwijać się nasza literatura.